DIUNA
Frank Herbert

Przełożył
MAREK MARSZAŁ

ISKRY .WARSZAWA .1985

Tytuł oryginału Dune

Opracowanie graficzne Kazimierz Hałajkiewicz

Redaktor Żona Uhrynowska
Redaktor techniczny Elżbieta Kozak
Korektor Agata Bołdok

ISBN 83-207-0772-2

Frank Herbert urodzi} się w roku 1920 w stanie Washington i tam ukończył studia Jak przystało na Amerykanina, często zmieniał miejsce zamieszkania, ale zawsze przemieszczał się wzdłuż Zachodniego Wybrzeża USA Najdłużej, bo około 10 lat, pracował jako dziennikarz w San Francisko Uczestniczył w badaniach naukowych w tak różnych dziedzinach jak geologia podmorska, psychologia, nawigacja, botanika dżungli i antropologia Pracował również jako operator filmowy, fotograf, komentator radiowy i poławiacz ostryg, a także wykładał na uniwersytetach Obecnie mieszka z rodziną w Port Townsend w rodzinnym stanie Washington

Debiutował w roku 1952 w prasie fantastyczno-naukowej jako autor opowiadań, ale nie osiągnął na tym polu oszałamiających sukcesów Przez następne 10 lat opublikował zaledwie około dwudziestu opowiadań Właściwą dla siebie formę wyrazu znalazł Herbert publikując w roku 1956 powieść The Dragon m the Sea, fantastyczno-naukowy kryminał ze skomplikowanym śledztwem psychologicznym Akcja powieści rozgrywa się na pokładzie superłodzi podwodnej w XXI wieku Powieść jest do dzisiaj czytana i wznawiana

Następnie była JUŻ Diuna Drukowana początkowo w dwóch częściach w czasopiśmie „Astounding Science Fiction" w latach 1963—1965, ukazała się w postaci książki w roku 1965 zdobywając obie najważniejsze nagrody za twórczość fantastyczno-naukową Hugo i Nebula (a więc "czytelników i autorów)

Zgodnie z ustalonym JUŻ w świecie SF zwyczajem sukces pociągnął za sobą całą serię powieści rozgrywających się w tym samym wymyślonym świecie Ukazały się kolejno Dune Messiah (1970), Chiidren of Dune (1976), God Emperor of Dune (1981) — największy sukces komercjalny, bestseller, który osiągnął jak dotychczas w tanim wydaniu masowym 900 tysięcy egzemplarzy — oraz Heretics of Dune (1984)

Seria Herberta zawiera problemy typowe dla literatury fantastyczno-naukowej" manipulowanie historią, ewolucję gatunku ludzkiego l eksperymenty genetyczne prowadzące do powstania nadczłowieka, rolę religii i mesjasza w historii itp Tym jednak, co zdecydowało o unikalnej pozycji powieści o planecie Diuna, czyli Arrakis. było wprowadzenie na wielką skalę tematyki ekologicznej w momencie, kiedy zaczęła ona docierać do świadomości społecznej

Pod względem znaczenia w historii science fiction pięcioksiąg Herberta nasuwa porównania z równie masywnymi powieściami Roberta Hemlema dziejącymi się w wymyślonej przyszłej historii oraz z cyklem Isaaca Asimova o Fundacji, zapoczątkowanym w latach czterdziestych i uznawanym dotychczas za najbardziej udaną serię (Nagroda Hugo w roku 1966 z powyższym uzasadnieniem). Z Asimovem łączy Herberta zamiłowanie do bizantyjskich intryg na skalę ga-

laktyczną i charakterystyczne dla science fiction przeświadczenie o możliwości manipulowania historią z tysiącletnią perspektywą.

Wybitny polski krytyk Karol Irzykowski pisał w roku 1918:

„Główną zaletą poety-fantastyka musi być wynalazczość. Może mu nie dopisywać opracowanie, ale nowość głównego pomysłu jest warunkiem niezbędnym". Ilustracją powyższej tezy może być twórczość Franka Herberta, w której świeżość i aktualność problematyki — rzadko spotykany rozmach wizji i umiejętność budowania intrygi przysłaniają pewne słabości stylu. Ze względu na wielorakość elementów, jakie musi łączyć utwór science fiction, niezwykle trudno jest stworzyć powieść, której nie można by zarzucić braków i niedociągnięć — tym trudniejsze jest to przy tak monumentalnym dziele jak seria Herberta. A jednak już dzisiaj nie ulega wątpliwości, że powieści o Diunie stanowią jedno z największych osiągnięć amerykańskiej i światowej science fiction i pozostaną na trwałe w historii tej literatury.

Frank Herbert jest również autorem wielu innych powieści, a jeden z jego ulubionych tematów to przedstawianie różnych typów inteligencji, w tym zbiorowej inteligencji typu owadziego (powieść Thc Green Brain z roku 1966). Zasadę owadziego społeczeństwa w zastosowaniu do ludzi przedstawił w jednej z najciekawszych swoich powieści Hellstrom's Hive z roku 1973. Jest to przykład zrealizowanej, „udanej" utopii, której uczestnicy mają poczucie pełnego szczęścia, choć ich świat jest nie do przyjęcia dla obserwatora z zewnątrz. Inne najbardziej znane powieści Herberta to Destination: Void (1966), Whipping Star (1970) i The Dosadi Experiment (1970).

Lech Jęczmyk

Ludziom, których trudy wynoszą ponad idee w królestwo „tworzywa rzeczywistości" — ekologom krain bezwodnych, obojętne gdzie i kiedy działają, niniejszy przyczynek futurologiczny w pokorze i z podziwem dla ich pracy poświęcam.

KSIĘGA PIERWSZA
Diuna

Początek to czas dla podjęcia najbardziej pedantycznych starań, by wszystko znajdowało się na swoim miejscu. O tym wie każda siostra Bene Gesserit. Rozpoczynając studia nad życiem Muad'Diba postaraj się więc najpierw umieścić go w czasie: urodził się w 57 roku Padyszacha Imperatora Szaddama IV. A szczególnie postaraj się osadzić Muad'Diba w miejscu: planeta Arrakis. Niechaj nie zwiedzie cię to, że urodził się na Kaladanie i tam przeżył pierwsze piętnaście lat. Arrakis, planeta zwana Diuną, pozostanie

jego miejscem po wsze czasy. „ . ., .,_... ... .,,

J ° " r ' z .Księgi o Muad'Dibie pióra księżniczki Irulan

W tygodniu poprzedzającym ich wyjazd na Arrakis, gdy ledwie już mogli wytrzymać szaleństwo całej tej końcowej bieganiny, stara kobieta przybyła z wizytą do matki chłopca Paula. Ciepła noc otulała Zamek Kaladański i ta starożytna kupa ka-

mienia, od dwudziestu sześciu pokoleń służąca za dom rodowi Atrydów, tonęła w aurze wystygłej łaźni, jaką otaczała się na zmianę pogody.

Staruchę wprowadzono bocznym wejściem przez sklepiony korytarz obok sypialni Paula, pozwalając jej zajrzeć na chwilę do leżącego w łóżku chłopca. W półświetle dryfowej lampy, przyciemnionej i spuszczonej nisko nad podłogę, rozbudzony chłopiec zobaczył w drzwiach masywną postać kobiety stojącej o krok przed jego matką. Postać wiedźmowatej zjawy — włosy jak zmierzwiona pajęczyna kryły jej rysy w ciemności, oczy migotały jak klejnoty.

— Czy nie za mały na swój wiek, Jessiko? — spytała. Jej głos skrzypiał i brzęczał niczym rozstrojona baliseta.

— Jak wiadomo, Atrydzi późno zaczynają rosnąć. Wasza Wielebność — odpowiedział delikatny kontralt matki Paula.

— Tak mówią, tak mówią — zaskrzypiała stara. — Jednak ma już piętnaście lat.

— Tak, Wasza Wielebność.

— Nie śpi i słucha — powiedziała stara. — Mały chytry gałgan. — Zachichotała. — Ale tron wymaga chytrości. I jeśli on rzeczywiście jest Kwisatz Haderach... hmmm...

Pośród cieni wokół łóżka Paul mrużył powieki w najcieńsze szparki. Wydawało

mu się, że dwa ptasio bystre owale — źrenice staruchy —
szerzają się i świecą.

• zaglądając mu do oczu roz-
• Musisz zebrać wszystkie

— Śpij dobrze, mały chytrusku — powiedziała stara.
siły na jutrzejsze spotkanie z gom dżabbar.

I wypchnąwszy jego matkę zniknęła za drzwiami zamykając je solidnym trzaśnięciem.

Paul leżał zachodząc w głowę, co to takiego gom dżabbar. W całym zamieszaniu przeprowadzki stara była największym dziwem, jaki oglądał.
Wasza Wielebność.

I to, że do matki mówiła „Jessiko", jak do zwykłej służebnej dziewki, a nie do tej, którą była — damy Bene Gesserit, książęcej konkubiny, matki książęcego syna. Może ten gom dżabbar ma jakiś związek z Arrakis, o. czym powinienem wiedzieć, zanim tam pojedziemy? — zastanawiał się. Przesylabizował dziwne słowa: gom dżabbar... kwisatz haderach. Ileż jeszcze musi się nauczyć! Arrakis będzie tak zupełnie inna niż Kaladan, że aż kręciło mu się w głowie od nawału nowych faktów.

Arrakis — Diuna — Pustynna Planeta.

Thufir Hawat, mistrz assassinów ojca to wyjaśnił: ich śmiertelny wróg, Harkonnenowie, dostali planetę w pseudolenno i siedzieli na niej przez osiemdziesiąt lat na mocy układu z kompanią KHOAM, wydobywając geriatryczną przyprawę melanż. Teraz Harkonnenowie opuszczali Arrakis, oddaną w całkowite lenno rodowi Atrydów; było to bezsprzeczne zwycięstwo księcia Leto. Jednakże, mówił Hawat, z tej przyczyny zagraża im śmiertelne niebezpieczeństwo, ponieważ książę Leto cieszy się popularnością wśród wyższych rodów Landsraadu. Popularny człowiek wzbudza zawiść potężnych — powiedział Hawat.

Arrakis — Diuna — Pustynna Planeta.

Zapadł w sen, który go przeniósł do arrakańskiej jaskini; dookoła w mdłym świetle kuł świętojańskich snuł się tłum milczących postaci. Było tam uroczyście jak w katedrze, a on wsłuchiwał się w cichy szmer spadających kropli wody: kap... kap... kap... Nawet śniąc Pauł wiedział, że gdy się obudzi, będzie wszystko pamiętał. Nigdy nie zapominał snów-przepowiedni.

Sen rozwiał się. Na wpół rozbudzony, świadom ciepła własnego'łóżka'Pauł rozmyślał... rozmyślał. Ten świat Zamku Kaladańskiego, bez zabaw, bez rówieśników... może i nie warto żegnać go z żalem. Jego nauczyciel doktor Yueh napomknął, że na Arrakis nie przestrzegano zbyt rygorystycznie klasowego faufreluches. Na planecie znaleźli schronienie ludzie pustyni, nie potrzebujący kaidów ani baszarów nad sobą:

ludzie — lotne piaski, zwani Fremenami, pomijani we wszystkich rejestrach Cenzusu Imperialnego.

Arrakis.— Diuna — Pustynna Planeta.

Odczuwając niepokój wewnętrzny Pauł zdecydował się na jedno z ćwiczeń koncentracyjno-relaksacyjnych, jakich nauczyła go matka. Trzy pośpieszne oddechy wyzwoliły reakcję: porwał go swobodny strumień świadomości...teraz świadoma koncentracja...zwiększyć przepustowość aorty...uniknąć mechanizmu podświadomej dekoncentracji...być świadomym świadomie...wzbogacona krew tłoczy się do przeciążonych obszarów ciała...sam instynkt nie wystarczy do pokonania progów poży-

wienia — bezpieczeństwa — wolności...świadomość zwierzęcia nie sięga poza daną chwilę ani idei, że jego ofiary mogą wyginąć...zwierzę niszczy, nie tworzy...jego popędy trzymają się progu doznań zmysłowych i unikają percepcji...istota ludzka potrzebuje siatki percepcyjnej, przez którą patrzy na swój wszechświat...kierowana wolą koncentracja świadoma, oto co tworzy ową siatkę...obieg impulsów nerwowych i krwinek daje ciału integralność zgodną z najgłębszą świadomością potrzeb komórki...wszystkie rzeczo-komórko-istoty są nietrwałe...trzeba osiągnąć trwałość obiegu

świadomości...

Jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze wałkowała się ta lekcja w swobodnym strumieniu świadomości Paula. Wyczuwając przez zamknięte powieki, że żółte promienie świtu dotknęły parapetu okiennego, otworzył oczy i zapatrzony w znajomy ornament światłocieni na suficie sypialni przysłuchiwał się na nowo podjętej krzątaninie i hałasom na zamku. Otworzyły się drzwi od korytarza i zajrzała matka — czarna wstążka przytrzymywała jej miedzianobrązowe włosy, niewzruszone zielone oczy w owalnej

twarzy patrzyły z powagą.

— Nie śpisz — powiedziała. — Wyspałeś się?

— Tak.

Obserwując jej wysoką postać zauważył oznaki napięcia w ramionach, kiedy wybierała mu ubranie z szafy. Ktoś inny by to przeoczył, ale ona wyćwiczyła go w Metodzie Bene Gesserit — W najdrobniejszych niuansach postrzegania. Odwróciła się do niego trzymając półurzędową marynarkę w rękach. Tę z czerwonym jastrzębiem

Atrydów nad kieszenią na piersi.

— Pośpiesz się — powiedziała. — Matka Wielebna czeka.

— Śniła mi się kiedyś— powiedział Pauł. — Kto to jest?
;— Była moją nauczycielką w szkole Bene Gesserit, Obecnie jest Prawdomów-

czynią Imperatora. I... — zawahała się — Paul, musisz jej opowiedzieć swoje sny.

— Opowiem. Czy to dzięki niej mamy Arrakis?

— Nie mamy Arrakis!

Jessika strzepnęła pyłek ze spodni, powiesiła je obok marynarki na wieszaku

przy jego łóżku.

— Nie każ czekać na siebie Matce Wielebnej.
Paul usiadł i rękami objął kolana.

— Co to jest gom dżabbar?

Po raz wtóry dzięki naukom matki dostrzegł jej właściwie niedostrzegalne wahanie, nieposłuszeństwo nerwów, które odczytał jako strach. Jessika podeszła do okna, odsunęła story, zapatrzyła się na szczyt Sjubi za nadrzecznymi sadami.

— Dowiesz się... już wkrótce. — Zdumiał go lęk w jej głosie. Nie odwracając się Jessika powiedziała: — Matka Wielebna oczekuje cię w moim saloniku. Pośpiesz się,

proszę.

Matka Wielebna Gaius Helen Mohiam siedziała na wyściełanym krześle obserwując zbliżanie się matki z synem. Okna znajdujące się z jej prawej, i z jej lewej strony wychodziły na południowe zakole rzeki i zielone pola uprawne włości Atrydów, lecz Matki Wielebnej nie interesowały krajobrazy. Tego ranka odczuwała swoje lata jako coś więcej niż tylko drobną dokuczliwość. Winiła za to podróż i kontakty z tą obmier-

złą Gildią Planetarną z jej sekretami. Ale czekające ją tutaj zadanie wymagało osobistej interwencji Bene Gesserit Jasnowidzącej. Nawet prawdomówczyni Padyszacha Imperatora nie mogła uchylić się od odpowiedzialności, kiedy wzywały obowiązki. Piekło by pochłonęło tę diablicę Jessikę! — pomyślała Matka Wielebna. — Gdybyż to urotiziła nam córkę, jak miała nakazane.

Jessika zatrzymała się trzy kroki przed krzesłem składając lekki dyg — ledwie muśnięcie rąbka sukni lewą dłonią. Paul wykonał oszczędny ukłon, którego nauczył się od swego mistrza tańca na wypadek, gdy nie jest się pewnym pozycji drugiej osoby. Subtelności powitania Paula nie uszły uwagi Matki Wielebnej.

— Jest ostrożny, Jessiko — powiedziała.

Palce Jessiki dotknęły ramienia Paula, zacisnęły się na nim. Przez moment czuł w nich pulsowanie strachy. Opanowała się w mgnieniu oka.

— Tak go nauczono. Matko Wielebna.

Czego ona się boi? — nie mógł zrozumieć Paul.

Stara kobieta zmierzyła go krótkim, gestaltycznym błyskiem oka: owal twarzy Jessiki, ale kości masywne... włosy — krucza czerń księcia, za to brwi po dziadku ze strony matki, którego imienia nie wolno wspominać, jak również i ten cienki, dumny nos; kształt zielonych, hardo spoglądających oczu: jak u Starego Księcia, nieżyjącego dziadka ?c strony ojca. Tak, był kiedyś mężczyzna doceniający potęgę brawury, nawet w śmierci — pomyślała Matka Wielebna.

— Nauka to jedno — powiedziała — a pierwiastek pierwotny drugie. Zobaczymy.
Starcze oczy rzuciły twarde spojrzenie na Jessikę.

— Zostaw nas samych. Zalecam duchowe medytacje.
Jessika zdjęła dłoń z ramienia Paula.

— Wasza Wielebność, ja...

— Jessika, wiesz, że to musi się stać.

Paul, zaintrygowany, podniósł oczy na matkę.

— Tak... oczywiście — powiedziała.

Z kolei obrócił spojrzenie na Matkę Wielebną. Grzeczność i wyraźny strach matki przed tą staruchą nakazywały ostrożność. Gniewał go jednak lęk, który wyczuwał w matce. .

— Paul... — Jessika odetchnęła głęboko •— próba, do jakiej za chwilę przystąpisz... jest dla mnie ważna.

— Próba? — popatrzył na nią.

— Pamiętaj, że jesteś synem księcia — powiedziała. Odwróciła się gwałtownie i wymaszerowała z pokoju wielkimi krokami, z suchym szelestem sukni. Zatrzasnęły się za nią drzwi.

Tłumiąc gniew Paul stanął twarzą w twarz ze starą kobietą.

— Czyż odprawia się jaśnie panią Jessikę'jak służebną dziewkę?
Uśmiech zadrgał w kącikach pomarszczonych ze starości ust.

— Jaśnie pani Jessika była, chłopcze, moją służebną dziewką w szkole przez czternaście lat. — Pokiwała głową. — I to w dodatku dobrą. A teraz podejdź tu!

Rozkaz był jak cięcie biczem. Posłuchał, zanim zdał sobie z tego sprawę. Używa na mnie Głosu — pomyślał. Zatrzymał się na skinienie starej, stając przy jej kolanach.

— Widzisz to? — zapytała.

Z fałd togi dobyła zielony metalowy sześcian o boku około piętnastu centymetrów. Odwróciła go i Paul.zauważył, że nie ma on jednej ściany, tylko otwór — czarny i dziwnie straszny. Ani odrobina światła nie przenikała owej ziejącej czerni.

— Włóż prawą rękę do pudełka — powiedziała.

Strach przeszył Paula. Zaczął się cofać, ale usłyszał głos starej:

— To tak się słucha matki?

Zajrzał w ptasio bystre źrenice. Powolutku, pod wpływem wewnętrznego nakazu, któremu nie był w stanie się przeciwstawić, włożył dłoń do pudełka. Najpierw poczuł chłód, kiedy czerń zamknęła się na jego dłoni, następnie gładki metal pod palcami i mrowienie, jakby dłoń mu zdrętwiała. Rysy starej kobiety przybrały drapieżny wyraz. Podniosła prawą rękę znad skrzynki, zatrzymując ją przy szyi Paula. Dostrzegł w niej błysk metalu i począł'odwracać się w tym kierunku.

— Nie ruszaj się! — warknęła.

Znowu używa Głosu! Skoncentrował się ponownie na jej twarzy.

— Trzymam przy twej szyi gom dżabbar — powiedziała. — Gom dżabbar, czyli wróg ostateczny. To igła z kroplą trucizny na czubku. Aaaach! Nie ruszaj się, bo poczujesz jej działanie.

Paul próbował przełknąć bez śliny. Nie mógł odwrócić uwagi od pomarszczonej, starczej twarzy, błyszczących oczu, bladych dziąseł nad srebrzystymi zębami z metalu, połyskującymi przy każdym słowie.

— Syn księcia musi się znać na truciznach —powiedziała. — To znak naszych czasów, hę? Piżmin do zatruwania nam napojów, aumas do zatruwania nam jedzenia. Trucizny natychmiastowe i powolne, i wszystkie pośrednie między nimi. Oto nie znana ci trucizna: gom dżabbar. Zabija wyłącznie zwierzęta.

Duma przemogła w Paulu strach.

— Ośmielasz się sugerować, że książęcy syn jest zwierzęciem? — zapytał.

— Sugeruję, powiedzmy, że możesz być człowiekiem — powiedziała. — Spokojnie! Ostrzegam, byś nie próbował się wyrywać. Stara jestem, lecz moja ręka zdąży ci wsadzić'tę igłę w szyję, nim uciekniesz.

- — Kim jesteś? — wyszeptał. — Jak zwiodłaś moją matkę, że zostawiła mnie z tobą samego? Czy przysłali cię Harkonnenowie?

— Harkonnenowie? Co też ty wygadujesz! A teraz bądź cicho.
Suchy palec dotknął jego szyi i Paul opanował odruch, by odskoczyć.

— Dobrze — powiedziała. — Przeszedłeś pierwszą próbę. A oto jak wygląda reszta: jeśli wyjmiesz rękę z pudełka, umrzesz. To jedyna zasada. Trzymaj rękę w środku, a będziesz żył. Jeśli ją zabierzesz, umrzesz.

Paul zaczerpnął tchu, by uspokoić drżenie.

— Gdy krzyknę, służba dopadnie cię w parę sekund i t y ^umrzesz.

— Służba nie przejdzie przez drzwi, bo twoja matka stoi za nimi na straży. Możesz mi wierzyć. Ona przeszła tę próbę. Teraz twoja kolej. Czuj się zaszczycony. Nieczęsto stosujemy ją do dzieci płci męskiej.

Pod wpływem ciekawości strach zmniejszył się na tyle, że Paul zdołał nad nim zapanować. W głosie starej kobiety słyszał prawdę, nie miał co do tego żadnych wąt-

pliwości. Jeśli matka stoi tam na straży... jeśli to naprawdę próba... Zresztą cokolwiek by to było, wiedział, że wpadł w pułapkę, którą stanowi ta dłoń przy jego szyi:

gom dżabbar. Przywołał na pamięć responsorium litanii przeciwko strachowi z obrządku Bene Gesserit, której nauczyła go matka.

— „Nie wolno się bać. Strach zabija duszę. Strach to mała śmierć, a wielkie unicestwienie. Stawię mu czoło. Niechaj przejdzie po mnie i przeze mnje. A kiedy przejdzie, obrócę oko swej jaźni na jego drogę. Którędy przeszedł strach, tam nie ma nic. Jestem tylko ja". Czując powracający spokój powiedział:

— Kończ z tym, starucho.

— Starucho! — warknęła. — Odwagi nie można ci odmówić. Dobrze, zobaczymy, zadufku.

Nachyliła się nisko, ściszając głos prawie do szeptu.

. — Poczujesz ból tej dłoni w pudełku. Ból. Ale cofnij rękę, a dotknie twej szyi gom dżabbar — śmierć przyjdzie szybko jak opadnięcie katowskiego topora. Zabierzesz rękę, a gom dżabbar zabierze ciebie jak swego. Rozumiesz?

—~ Co jest w pudełku?
,— Ból.

Poczuł silniejsze mrowienie w dłoni, zacisnął mocno wargi. Jak coś takiego może być próbą? — zastanawiał się. Do mrowienia dołączyło się swędzenie.

— Słyszałeś — powiedziała stara — o tym, że zwierzęta odgryzają sobie kończynę, by umknąć z potrzasku? To zwierzęca sztuczka. Człowiek wytrzyma sidła, zniesie ból, uda śmierć, by zabić myśliwego usuwając zagrożenie dla swego gatunku.

Mrowienie przeszło w ledwo odczuwalne szczypanie.

— Po co to robisz? — spytał.

— By ustalić, czy jesteś człowiekiem. Cicho bądź.

Pauł zwinął lewą dłoń w pięść, gdy w drugiej nasiliło się pieczenie. Narastało po woli: fala ciepła za falą... fala za falą. Czuł, jak paznokcie wbijają mu się w dłoń wól nej ręki. Próbował rozprostować przypiekane palce, lecz nie mógł nimi poruszyć.

— Pali — wyszeptał.

— Cicho!

Pulsujący ból przenikał do ramienia. Pot wystąpił mu na czoło, każde włóknc jego ciała krzyczało wniebogłosy, by zabrał rękę z tej płonącej czeluści...jednak... gom dżabbar. Nie odwracając głowy usiłował obrócić oczy na ową upiorną igłę znieruchomiałą przy jego szyi. Zachłystywał się powietrzem, chciał uspokoić oddech i nie mógł.

Ból! '

Cały jego świat zniknął prócz konającej w męczarniach dłoni i starczej twarzy, wpatrzonej w niego z odległości paru centymetrów. Wargi mu tak wyschły, że miał trudności z ich rozdzieleniem.

Palę się! Palę się! ,

Wydawało mu się, że czuje, jak skóra zwija się i czernieje na konającej dłoni, ciało przepala się i odpada, obnażając gołe zwęglone kości.

Stop! Ból ustał jak za dotknięciem różdżki. Pauł był zlany potem, prawa ręka mu dygotała.

14

— Dosyć' — wymamrotała stara. — Kuli Wahad! Żadna dziewczynka tyle nie wytrzymała. Chyba pragnęłam twej porażki.

Odchyliła się w tył zabierając gom dżabbar.

— Wyciągnij rękę ze skrzynki i spójrz na nią, młoda ludzka istoto.
Pokonując bolesne drżenie Pauł utkwił oczy w bezświetlnej pustce, w której jego ręka wydawała się przebywać z własnej woli. Wspomnienie bólu paraliżowało wszelki ruch. Rozum mówił mu, że z pudełka wyjmie osmalony kikut.

— No, wyjmuj! — warknęła.

Wyszarpnął dłoń ze skrzynki i zagapił się na nią osłupiały. Nic. Ani śladu po męczarni. Podniósł dłoń, obrócił ją na drugą stronę, poruszył palcami.

— Nerwoból indukcyjny — powiedziała. — Nie mogę okaleczać wszystkich potencjalnych istot ludzkich dokoła. Ale są tacy, co dużo by dali za sekret tej skrzynki.

Ukryła pudełko w fałdach togi.

— Ale ból... — zaczął.

— Ból! — prychnęła wzgardliwie. — Człowiek potrafi zapanować nad każdym nerwem swego ciała.

Odczuł ból lewej dłoni, rozprostował zaciśnięte palce, spojrzał na cztery krwawe ślady po wbitych w ciało paznokciach. Opuścił rękę, popatrzył na starą kobietę.
• — Zrobiłaś to kiedyś mojej matce?

— Przesiewałeś kiedyś piasek przez sito? — odpowiedziała pytaniem.
Pod wpływem szoku wywołanego tym nie związanym z tematem pytaniem umysł Paula osiągnął stan wyższej świadomości. P i.a se k przez.sito.
Pauł skinął głową.

— My Bene Gesserit przesiewamy ludzi, by wyłowić człowieka — powiedziała.
Podniósł prawą rękę przywołując wspomnienie katuszy.

— I to wszystko, co w tym jest, ból?

— Obserwowałam cię w bólu, chłopcze. Ból jest zaledwie osią próby. Matka opowiadała ci o naszych metodach obserwacji. Widzę w tobie znamiona jej nauki. Nasz test to moment krytyczny plus obserwacja.

Jej ton to potwierdzał, więc powiedział:

— To prawda!

Wlepiła w niego spojrzenie. On wyczuwa, prawdę! Czyżby- był tym jedynym";

Czyżby naprawdę miał nim być? Opanowała podniecenie upominając samą siebie:

nadzieja przesłania jasność widzenia.

— Wiesz, kiedy ludzie wierzą w to, co mówią? — powiedziała.

— Wiem. — W jego głosie pobrzmiewały echa nabytej w wielokrotnych próbach pewności. Słysząc je powiedziała:

— Może i jesteś Kwisatz Haderach. Siądź, mały bracie, tu, u moich stóp.

— Wolę stać.

— Twoja matka siedziała kiedyś u moich stóp.

— Nie jestem swoją matką.

— Nienawidzisz nas troszeczkę, co? Spojrzawszy w stronę drzwi zawołała: — Jessika!

W rozwartych drzwiach stanęła Jessika obrzucając pokój surowym spojrzeniem. Złagodniała na widok Paula. Zdobyła się na słaby uśmiech.

— Jessiko, czy ty kiedykolwiek przestałaś mnie nienawidzić? — zapytała stara kobieta.

— Kocham cię i nienawidzę zarazem — powiedziała Jessika. — Nienawidzę za cierpienia, których nigdy nie zapomnę. Kocham za...

— Wystarczy goły fakt — powiedziała stara cieplejszym głosem, — Możesz już wejść, tylko się, nie odzywaj. Zamknij drzwi i pilnuj, by nikt nam nie przeszkadzał.

Jessika weszła do pokoju, zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Mój syn , żyje — pomyślała. — Mój syn żyje i jest... człowiekiem. Wiedziałam, że jest... ale.r. on żyje. Teraz mogę żyć dalej. — Pod plecami czuła dotyk drzwi, twardy i rzeczywisty. Wszystko w tym pokoju było dotykalne i wyczuwalne zmysłami. — Mój syn żyje.

Pauł spojrzał na matkę. Mówiła prawdę. Pragnął umknąć i w samotności przemyśleć to, czego doświadczył, jednak wiedział, że nie może odejć, dopóki go nie odprawią. Starucha zyskała nad nim władzę. Matka przeszła taką samą próbę. W tym wszystkim musiało kryć się jakieś straszne przeznaczenie... ból i strach są straszne. Rozumiał straszne przeznaczenia. Parły na przekór wszystkiemu. Stanowiły swoją własną konieczność. Pauł uświadamiał sobie, że dostał się w tryby strasznego przeznaczenia. Jeszcze nie wiedział jakiego.

— Pewnego dnia, chłopcze — powiedziała stara — może i ty będziesz musiał tak stać za drzwiami. Nie jest to takie proste.

Pauł spuścił oczy na dłoń, która poznała ból, potem podniósł je na Matkę Wielebną. W brzmieniu jej głosu było teraz coś, czego nie spotkał w żadnym ze znanych mu głosów. Słowa miały jasne kontury. Były ostre. Odnosił wrażenie, że o cokolwiek

by ją zapytał, usłyszy odpowiedź, która wyniesie go ponad jego cielesną powłokę ku czemuś wyższemu.

— Po co poddajesz ludzi próbie człowieczeństwa?

— By ich uwolnić.

— Uwolnić?

— Kiedyś ludzie scedowali myślenie na maszyny z nadzieją, że dzięki temu będą wolni. Ale umożliwili tylko innym ludziom i ich maszynom ujarzmienie siebie.

— „Nie będziesz czynił machin na obraz i podobieństwo umysłu człowieka" — zacytował Pauł.

— Wprost z Dżihad Kamerdyńskiej i Biblii Protestancko-Katolickiej —powiedziała. — Lecz to, co głosi B.P.K., winno brzmieć: „Nie będziesz czynił machin udających umysł człowieka". Czy studiowałeś u mentata w twej służbie?

— Studiowałem u Thufira Hawata.

— Wielka Rewolta zmusiła tym umysły istot ludzkich do rozwoju. Powstały szkoły rozwijające talenty człowieka.

— Szkoły Bene Gesserit?
Przytaknęła.

— Z owych starożytnych szkół pozostały do dziś dwie najważniejsze: Bene Ges-

serit i Gildia Planetarna. Gildia, jak sądzimy, kładzie Nacisk na prawie czystą matematykę. Bene Gesserit zajmuje się innymi sprawami.

16

— Polityką.

— Kuli Wahad — zawołała stara. Rzuciła surowe spojrzenie na Jessikę.

— Ja mu nie mówiłam, Wasza Wielebność — powiedziała Jessika.
Matka Wielebna ponownie skupiła uwagę na Paulu.

— Wpadłeś na to nie mając prawie żadnych poszlak — zauważyła. — Rzeczywiście polityką. Pierwszymi szkołami Bene Gesserit kierowali ci, którzy dojrzeU potrzebę stałej ciągłości w sprawach ludzkich. Zrozumieli, że takiej ciągłości nie będzie bez oddzielenia rasy ludzkiej od rasy zwierzęcej — w celach rozrodczych.

Nagle słowa starej utraciły dla Paula swą szczególną ostrość. Obraziły w nim to coś, co jego matka nazywała instynktem prawości. Nie żeby go Matka Wielebna okłamywała. Było jasne, że ona wierzy w swoje słowa. Chodziło o rzecz istotniejszą, związaną z jego straszliwym przeznaczeniem. Powiedział:

— A matka mówiła mi, że wiele absolwentek szkół Bene Gesserit nie zna swojego pochodzenia.

— Zapisy linii genetycznych zawsze zostają w naszych rejestrach — powiedziała. — Twoja matka wie, że pochodzi albo od Bene Gesserit, albo też jej ród sam z siebie był do przyjęcia.

— Dlaczego więc nie może znać swoich rodziców?

— Niektóre znają... Wiele nie zna. Mogłyśmy, na przykład, planować skrzyżowanie jej z bliskim krewnym, by uzyskać dominantę pewnej cechy genetycznej. Powodów jest wiele.

Znów Pauł odczuł obrazę prawości.

— Sporo na siebie bierzecie — rzekł.

.Matka Wielebna zagapiła się na niego w zamyśleniu: czyżby usłyszała krytycyzm w jego głosie?

— Dźwigamy ciężkie brzemię — powiedziała.
Pauł czuł, że coraz bardziej wychodzi z szoku wywołanego próbą. Spojrzał prosto w jej taksujące oczy i powiedział:

— Twierdzisz, że mogę być Kwisatz Haderach. Co to jest, człowieczy gom dżab-

bar?

— Pauł — powiedziała Jessika — nie wolno ci przemawiać takim tonem do...

— Ja to załatwię, Jessiko — przerwała stara. — Otóż, chłopcze, czy słyszałeś o serum prawdomówczyni?

— Zażywacie je, by rozwinąć dar wykrywania kłamstwa. Wiem to od matki.

— Widziałeś kiedyś trans prawdy?
Pokręcił głową.

— Nie.

— Serum jest niebezpieczne — powiedziała — ale daje szósty zmysł. Kiedy dar
serum spłynie na prawdomówczynię, może ona zobaczyć wiele miejsc w swej pamięci,
w pamięci swego ciała. Widzimy tyle dróg przeszłości... lecz są to jedynie drogi ko-
biece. — Nuta smutku zagościła w jej głosie. — Ale jest miejsce, którego nie może zo-
baczyć żadna prawdomówczyni. Odpycha nas ono, przeraża. Mówi się, że pewnego
dnia pojawi się mężczyzna i odnajdzie w darze serum swoje wewnętrzne widzenie.
Zobaczy to, czego my nie możemy — zarówno kobiecą, jak i męską przeszłość.

— Wasz Kwisatz Haderach?

—-Tak, ten, który jest w wielu miejscach naraz: Kwisatz Haderach. Wielu męż-
czyzn zażyło serum... bardzo wielu, ale żadnemu się to nie udało.

— Zażyli i zawiedli, wszyscy?

— Och, nie! — Potrząsnęła głową. — Zażyli i umarli.

Próbować zrozumieć MuacTDiba bez zrozumienia jego śmiertelnych wrogów Harkonnenów

to próbować zobaczyć Prawdę nie znając Kłamstwa. Jest to próba ujrzenia Światła bez poznania
Ciemności. To niemożliwe.

z ..Księgi o MuacTDibie" pióra księżniczki Irulan

Częściowo skryty w cieniu globus plastyczny wirował popychany migocącą od
pierścieni pulchną dłonią. Globus tkwił na zmiennokształtnym stojaku pod jedną ze
ścian pozbawionego okien pokoju, którego pozostałe ściany stanowiły różnobarwną

mozaikę rulonów, taśm oraz szpul. Pokój rozjaśniało światło ze złotych kuł wiszą-
cych w przenośnych polach dryfowych.

Pośrodku pokoju stało elipsoidalne biurko o zielonkawo-różowym blacie ze ska-
mieniałego drzewa elakka. Otaczały je stałokształtne fotele dryfowe, z których dwa
były zajęte. W jednym siedział ciemnowłosy młodzieniec lat około szesnastu, o okrą-
głej twarzy i ponurym spojrzeniu. W drugim smukły, niewysoki mężczyzna o zniewieś-
ciałych rysach. Zarówno młodzieniec, jak i mężczyzna gapili się na globus i na pra-
wie schowanego za nim właściciela dłoni. Spod globusa dobiegł chichot. Chichoty
przeszły w basowy głos, który zahuczał:

— Oto i ona, Piter, największa pułapka w historii ludzkości. I książę w nią wpad-
nie. Czyż nie jest wspaniałe to, co robię ja, baron Vladimir Harkonnen?

— Zapewne, baronie — powiedział mężczyzna słodkim tenorem o melodyjnym
brzmieniu.

Pulchna dłoń spoczęła na globusie wstrzymując jego obrót. Teraz wszystkie oczy
w pokoju skupiły się na nieruchomej powierzchni i spostrzegły, że jest to rodzaj glo-
busa robionego dla bogatych kolekcjonerów lub gubernatorów planet Imperium. No-
sił znamię imperialnego rękodzieła. Linie południków i równoleżników sporządzo-
ne z cieniutkiego jak włos platynowego drutu. Czapy polarne wyłożone najczystszymi
mlecznymi diamentami. Pulchna dłoń przesunęła się wodząc po detalach powierzchni.

— Proszę was, obserwujcie — zahuczał bas. — Obserwujcie uważnie, Piter i ty '
też, mój kochany Feydzie-Rautho: od sześćdziesiątego stopnia szerokości północnej '
po siedemdziesiąty południowej — jakie rozkoszne zmarszczki. A ich barwa — czyż
nie przywodzi wam na myśl słodkich karmelków? I nigdzie nie ujrzycie błękitu jezior

ani rzek, ani mórz. A te urocze czapy polarne —jakże malusieńkie. Czyż ktoś mógłby się pomylić co do tego miejsca? Arrakis! Zaiste unikalna. Unikalne tło dla unikalnego zwycięstwa.

Uśmiech zaigrał na ustach Pitera.

— I pomyśleć, baronie: Padyszach Imperator wierzy, że oddał księciu twą przyprawową planetę.

— Bezsensowna uwaga — zahuczał baron. — Mówisz to po to, by skonfundo-

wać małoletniego Feyda-Rauthę, a nie widzę potrzeby konfundowania mojego bratanka.

Młodzieniec o markotnej twarzy poprawił się w fotelu, wygładził fałdę na swych czarnych trykotach. Wyprostował się usłyszawszy dyskretne pukanie do drzwi za swoimi plecami. Piter odkleił się od fotela, podszedł do drzwi i uchylił je na tyle tylko, by przez szparę przejąć tuleję pocztową. Zamknął drzwi, rozwinął rulon i przebiegł go wzrokiem. Zachichotał. Raz i drugi.

— No i co? — zapytał baron.

— Głupiec odpowiedział nam, baronie!

— A kiedy to Atryda przepuścił okazję do wielkopańskiego gestu? Co pisze?

— Jest w najwyższym stopniu ordynarny, baronie. Zwraca się do ciebie per „Harkonnen", żadnych „Sire et cher cousin", żadnych tytułów, nic.

— To dobre nazwisko — odburknął baron, którego głos zdradzał niecierpliwość. — Więc co pisze drogi Leto?

— Pisze: Odrzucam propozycję spotkania. Wielokroć doznałem twojej zdrady, co dla nikogo nie jest tajemnicą.

— I? — ponaglił baron.

— Pisze: Są jeszcze w Imperium- wyznawcy sztuki kaniy. Podpisał: Leto, książę na Arrakis.

Piter wybuchnął śmiechem.

— Na Arrakis! O rany! A to ci heca.

— Cicho bądź, Piter — powiedział baron i śmiech umilkł jak uciął.

— A więc kaniy? — spytał baron. — Wendeta, hę? I używa tego pięknego, starego, obrosłego w tak bogatą tradycję słowa, by nie było wątpliwości, o co mu chodzi.

— Wyciągnąłeś dłoń do zgody — powiedział Piter. — Formalności stało się

zadość.

— Za dużo mówisz jak na mentata, Piter — powiedział baron. I pomyślał: Muszę się szybko pozbyć tego człowieka. Jak na swoją użyteczność, żyje już za długo. Spojrzał przez pokój na swego mentata assassina dostrzegając cechę przez większość ludzi zauważaną od pierwszego wejrzenia: oczy — ocienione szczeliny błękitu w błękicie, oczy zupełnie pozbawione białka.

Uśmiech przykleił się do twarzy Pitera. Przypominała maskę z grymasem pod

owymi oczami jak dziury.

— Ależ, baronie! Świat nie .widział piękniejszej zemsty. Nie można przymykać oczu na plan najbardziej wyrafinowanej intrygi: zmusić Leto do zamiany Kaladanu na Diunę. I to bez żadnego wyboru, bo tak rozkazuje Imperator. Ależ z ciebie żartowniś, baronie!

Głos barona był zimny.

— Gęba ci się nie zamyka, Piter.

— Ale jestem szczęśliwy, baronie. Podczas gdy ty...ty jesteś po prostu zazdrosny.

— Piter!

— Aha, baronie! Czyż to nie godne ubolewania, że sam nie byłeś w stanie wymyślić tej wybornej intrygi?

— Któregoś dnia każę cię udusić, Piter.

,— Ależ niewątpliwie, baronie. Enfin! Ale dobry uczynek nigdy nie pójdzie na marne, hę?

— Naćpałeś się werity czy semuty, Piter?

— Prawda bez strachu zaskakuje barona — powiedział Piter. Jego ściągnięta twarz przypominała karykaturalną maskę zamyślenia. — Ach, ach! Ale widzisz, baronie, ja jako mentat wiem, kiedy wyślesz do mnie kata. Będziesz zwlekał tak długo, dopóki jestem przydatny. Wcześniejszy ruch byłby marnotrawstwem, a ja jestem jeszcze bardzo pożyteczny. Wiem, czego się nauczyłeś na tej cudownej planecie Diunie — nie marnować niczego. Nieprawdaż, baronie?

Baron nie spuszczał z Pitera wzroku. Feyd-Rautha wiercił się w fotelu. Zwaśnieni durnie! — myślał. — Stryj nie potrafi otworzyć ust do swego mentata, żeby nie wywołać awantury. Czy im się wydaje, że nie mam nic lepszego do roboty, jak tylko wysłuchiwać ich kłótni?

— Feyd — powiedział baron — zapraszając cię tu przykazałem ci, żebyś słuchał i uczył się. Czy uczysz się? •

— Tak, stryju. — Jego głos był przezornie służalczy.

— Czasami Piter mnie zadziwia — powiedział baron. — Ja sprawiam ból z konieczności, ale on...przysięgam, że znajduje w tym prawdziwą przyjemność. Jeśli o mnie chodzi, lituję się nad nieszczęsnym księciem Leto. Niebawem doktor Yueh wystąpi przeciw niemu i to będzie koniec wszystkich Atrydów. Ale Leto na pewno zrozumie, kto wydał polecenie uległemu doktorowi... i świadomość tego będzie dla niego nie do zniesienia. .;

— Więc dlaczego nie poleciłeś doktorowi cicho i sprawnie wsunąć mu chandżar między żebna? — zapytał Piter. — Mówisz o litości, a...

— Książę musi wiedzieć, że gotuję' mu zgubę — powiedział baron. — I muszą się o tym dowiedzieć pozostałe rody wysokie. Ta wiadomość sparaliżuje je na trochę. Zyskam większy margines manewru. Konieczność jes't oczywista, jednak nie musi mi się podobać. .

— Margines manewru — zaśmiał się szyderczo Piter. — Już spoczywa na tobie? wzrok Imperatora, baronie. Zbyt śmiało sobie poczynasz. Pewnego dnia Imperator

przyśle tu na Giedi Prime jeden czy dwa legiony sardaukarów i taki będzie koniec barona Yladimira Harkonnena.

— Chciałbyś tego dożyć, Piter, nieprawdaż? — spytał baron. — Z rozkoszą patrzyłbyś, jak korpus sardaukarów łupi moje miasta i plądruje ten zamek. Sprawiłoby ci lo prawdziwą radość. • ' ,

— Czyżby baron tego nie wiedział? — wysyczał Piter. ;

— Ty powinieneś być baszarem korpusu — powiedział baron. — Za bardzo kochasz krew i ból. Chyba zbyt pochopnie przyrzekłem ci łupy z Arrakis.

Piter zrobił pięć osobliwie drobnych kroczków na środek pokoju, stając tuż za plecami Feyda-Rauthy. Zapanowała sztywna atmosfera napięcia, a młodzieniec zerknął niespokojnie na Pitera-.

— Nie igraj z Piterem, baronie — powiedział mentat. — Przyrzekłeś mi lady Jessikę. Przyrzekłeś mi.

— Na co, Piter? — zapytał baron. — Na ból?

20

Piter wpatrywał się w niego przedłużając ciszę. Feyd-Rautha odsunął się z dryfowym fotelem na bok.

— Stryju, czy muszę tu siedzieć? Powiedziałeś, że...

— Mój kochaneńki Feyd-Rautha się niecierpliwi — powiedział baron.
Przesunął się wśród cieni za globusem. I ponownie skierował swą uwagę na mentata.

— A dziecko, książątko Pauł, mój drogi Piterze?

— Pułapka go złapie dla ciebie, baronie — zamruczał Piter.

— Nie o to pytam — powiedział baron. — Pomnisz, że przepowiedziałeś, iż czarownica Bene Gesserit urodzi księciu córkę. Pomyliłeś się, co, mentacie?

— Nieczęsto się mylę, baronie — rzekł Piter i po raz pierwszy w głosie jego przyczaił się strach. — Przyznaj: nieczęsto się mylę. I sam wiesz, że te Bene Gesserit rodzą przeważnie córki. Nawet małżonka Imperatora wydała na świat same dziewczyny.

— Stryju — odezwał się Feyd-Rautha — powiedziałeś, że tutaj będzie coś ważnego, co ja...

— Posłuchaj mego bratanka — powiedział baron. — Ma aspiracje do panowania nad moją baronią, a nie potra/i panować nad sobą.
Baron poruszył się za globusem — cień wśród cieni.

— No więc, Feydzie-Rautho Harkonnen, wezwałem cię tutaj mając nadzieję, że nauczysz się nieco mądrości. Czy obserwowałeś naszego poczciwego mentata? Po-. winieneś się czegoś nauczyć z tej wymiany zdań.

— Ale, stryju...

— Najsprawniejszy mentat, ten nasz Piter, nie uważasz, Feyd?

— Tak, ale...

— Ach! Zaiste ale! Ale zjada za dużo przyprawy, je ją jak cukierki. Spójrz na

jego oczy! Jakby przybył prosto z arrakańskiego obozu pracy. Sprawny ten Piter, ale jednak uczuciowy i skory do wybuchów porywczości. Sprawny, ale jednak może się mylić.

Głos Pitera brzmiał cicho i posępnie:

— Czy wezwałeś mnie tutaj, baronie, by zdyskredytować moją sprawność?

— Zdyskredytować twoją sprawność? Znasz mnie chyba lepiej, Piter. Chciałbym jedynie, aby mój bratanek zrozumiał ograniczenia mentata.

— Czy już szkolisz mego następcę?

— Zastąpić ciebie? Ależ, Piter, gdzież znalazłbym drugiego mentata z twoją przebiegłością i jadem?

— W tym samym miejscu, gdzie mnie znalazłeś, baronie.

— Może i powinienem, skoro już o tym mówimy. — Baron zamyślił się. — Naprawdę robisz ostatnio wrażenie niezrównoważonego. A ileż przyprawy zjadasz!

— Czy moje przyjemności są zbyt kosztowne, baronie? Czy masz coś przeciwko nim?

— Mój drogi Piter, twoje przyjemności są tym, co cię ze mną wiąże. Jakże mógłbym się im sprzeciwiać? Ja tylko chciałbym, aby mój bratanek to w tobie zauważył.

—Więc jestem na scenie — powiedział Piter. — Mam zatańczyć? Mam zaprezentować swoje rozmaite umiejętności dostojnemu Feydowi-Rau...

— Właśnie — przerwał baron. — Jesteś na scenie. A teraz bądź cicho.
Zerknął na Feyda-Rauthę odnotowując kształt ust bratanka, pełne i wydatne wargi, genetyczne znamię Harkonnenów, teraz lekko wykrzywione grymasem rozbawienia.

— To jest mentat, Feyd. Został wyszkolony i uwarunkowany do pełnienia określonych obowiązków. Nie da się jednak przeoczyć faktu, że jest to opakowane ludzkim ciałem. Poważna wada. Czasami myślę, że starożytni protoplasci ze swymi myślącymi machinami mieli słuszną ideę.

— To były zabawki w porównaniu ze mną — warknął Piter. — Ty sam, baronie, dałbyś radę ich machinom.

— Być może — powiedział baron. — No dobrze... — Odetchnął głęboko, beknął. — Teraz, Piter, przedstaw mojemu bratankowi w ogólnym zarysie istotne elementy naszej kampanii przeciwko rodowi Atrydów. Bądź tak uprzejmy i pokaż, co potrafisz jako mentat.

— Baronie, ostrzegałem cię przed powierzaniem komuś tak młodemu tych informacji. Moje obserwacje...

— Ja będę o tym decydował — rzekł baron. — Daję ci polecenie, mentacie. Zaprezentuj jedną ze swych różnorodnych umiejętności.

— No więc dobrze — powiedział Pjter. Wyprostował się przyjmując dziwnie godną postawę, niczym maskę, lecz tym razem okrywającą całe ciało.

— Za parę standardowych dni" cały dwór księcia Leto zaokrętuje się na galeon Gildii Planetarnej udający się na Arrakis. Gildia wysadzi ich raczej w mieście Arrakin niż w naszym mieście Kartago. Mentat księcia, Thufir Hawat, dojdzie do słusz-

nego wniosku, że Arrakin jest łatwiejsze do obrony.

— Słuchaj uważnie, Feyd — odezwał się „baron. — Obserwuj plany wewnątrz
planów w planach.

Feyd-Rautha skinął głową, myśląc: To już lepiej. Stary potwór dopuszcza mnie
w końcu do sekretów. Rzeczywiście chyba zamierza uczynić mnie swoim dziedzicem.

— Istnieje kilka rozbieżnych możliwości — powiedział Piter. — Ja twierdzę,
że ród Atrydów uda się na.Arrakis. Nie możemy jednak zignorować ewentualności,
że książę zawarł z Gildią kontrakt na wywiezienie go w bezpieczne miejsce poza Sy-
stem. Inni w podobnych okolicznościach zostawali rodami renegackimi, zabierali
rodzinne arsenały atomowe i tarcze i uciekali poza Imperium.

— Książę jest na to zbyt dumnym człowiekiem — powiedział baron.

— To jest ewentualność — odparł Piter. — Jednak ostateczny rezultat byłby
dla nas ten sam.

— Nie, nie byłby! — warknął baron. — On musi umrzeć, a jego linia wygasnąć.

— Prawdopodobieństwo tego jest znikome — powiedział Piter. — Kiedy ród
ma się sprzeniewierzyć, czynione są pewne przygotowania. Książę sprawia wrażenie,
jakby niczego takiego nie robił.

— Tak — westchnął baron. — Jedź dalej, Piter.

— W Arrakin — ciągnął Piter — książę z rodziną zajmą rezydencję, do nieda-
wna dom hrabiego i hrabini Fenring.

— Ambasadora u przemytników — zachichotał baron.

— Ambasadora u kogo? — zapytał Feyd-Rautha.

— Twój stryj żartuje — powiedział Piter. — Nazywa hrabiego Fenringa amba-
sadorem u przemytników, wskazując na udział Imperatora w przemytniczych ope-
racjach na Arrakis.

Feyd-Rautha obrócił na stryja zaintrygowane spojrzenie.

— Dlaczego?

— Nie bądź tępy, Feyd — warknął baron. — Jak może być inaczej, dopóki Gil-
dia znajduje się praktycznie poza imperialną kontrolą? Jakże inaczej poruszaliby się
szpiedzy i assassini?

Wargi Feyda-Rauthy wydały bezdźwięczne „Oooch".

— W rezydencji zorganizowaliśmy dywersję — powiedział Piter. — Będzie za-
mach na życie dziedzica Atrydów, zamach, który może się powieść.

— Piter — zagrzmiał baron — chcesz powiedzieć...

— Chcę powiedzieć, że wypadki się zdarzają — rzekł Piter. — A zamach musi
wyglądać poważnie.

— Och, ale chłopiec ma takie słodkie młode ciało — powiedział baron. — Oczy-
wiście, jest potencjalnie bardziej niebezpieczny od ojca... po tym wyszkoleniu przez
matkę czarownicę. Przeklęta kobieta. W porządku, dalej, Piter.

— Hawat odgadnie, że podstawiliśmy mu naszego agenta — podjął Piter. — Rzucającym się w oczy podejrzanym jest doktor Yueh, istotnie nasz agent. Ale Hawat przeprowadził śledztwo i odkrył, że nasz doktor jest absolwentem Akademii Suk z uwarunkowaniem imperialnym — rzekomo wystarczająco bezpiecznym, by pielęgnować samego Imperatora. Wielką wagę przywiązuje się do uwarunkowania imperialnego. Zakłada się, że najwyższego uwarunkowania nie da się usunąć bez uśmiercenia osobnika. Jednakże, jak to ktoś kiedyś zauważył, mając odpowiednią dźwignię, można podnieść planetę. Znaleźliśmy dźwignię, która podniosła doktora.

— Jak? — zapytał Feyd-Rautha. Ten temat go zafascynował. Wszyscy wiedzieli, że uwarunkowania imperialnego złamać się nie da.

— Innym razem — powiedział baron. — Dalej, Piter.

— W miejsce Yuego — rzekł Piter — postawiliśmy na drodze Hawata wyjątkowo interesującego podejrzanego. Sama zuchwałość podejrzenia zwróci na nią uwagę Hawata.

— Na nią? — spytał Feyd-Rautha.

— Lady Jessikę we własnej osobie — powiedział baron.

— Czyż to nie wspaniałe? — zapytał Piter. — Hawat będzie miał mózg tak przepełniony tą perspektywą, że nadwątli to funkcjonowanie mentata. Może nawet próbować ją zabić.

Piter zmarszczył czoło i dodał:

— Ale nie sądzę, aby mu się to udało.

— Nie chcesz, aby mu się udało, co? — zapytał baron.

— Nie rozpraszaj mnie — odparł Piter. — Podczas gdy Hawat zajmie się lady Jessiką, jeszcze bardziej odwrócimy jego uwagę buntami w kilku garnizonach i tym podobnymi rzeczami. Bunty zostaną stłumione. Książę musi wierzyć, że się nieźle zabezpieczył. Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, damy znak Yuemu, wtargniemy naszymi głównymi siłami...hm...

— Dalej, powiedz mu wszystko — odezwał się baron.

— Wtargniemy wzmocnieni dwoma legionami sardaukarów przebranych w barwy Harkonnenów.

— Sardaukarzy! — sapnął Feyd-Rautha. Jego myśli pobiegły ku strasznym oddziałom imperialnym, bezlitosnym zabójcom, żołnierzom-fanatykom Padyszacha Imperatora.

— Widzisz, jak ci ufam, Feyd — powiedział "baron. — Jeśli najmniejsza wzmianka o tym kiedykolwiek dotrze do jakiegoś wysokiego rodu, wtedy Landsraad może się zjednoczyć przeciwko rodowi imperialnemu i powstanie chaos.
; — Sedno sprawy — powiedział Piter — tkwi w tym: skoro używa się rodu Harkonnenów do odwalania brudnej roboty Imperium, zdobywamy faktyczną przewagę. Niebezpieczna to przewaga, co prawda, lecz umiejętnie wykorzystana przysporzy rodowi Harkonnenów większych bogactw, niźli posiada jakikolwiek inny ród w Imperium.

— Nie masz pojęcia, o jak wielkie tu chodzi bogactwo — powiedział baron. — Nawet w najśmielszych wyobrażeniach. Przede wszystkim, będziemy mieli nie kwestio-

nowany mandat do zarządu kompanii KHOAM.

Feyd-Rautha kiwnął głową. Chodziło o bogactwo. KHOAM stanowiła klucz do bogactwa; z racji mandatu każdy szlachetny ród ciągnął z kas kompanii, ile się dało. Mandaty KHOAM — były one rzeczywistym potwierdzeniem politycznego znaczenia w Imperium, przemijającego wraz z utratą liczby głosów w Landsraadzie.

— Książę Leto — mówił Piter — może szukać schronienia u garstki fremeńskiej hołoty na obrzeżach pustyni. Bądź też może podjąć próbę wysłania rodziny w tę złudną kryjówkę. Lecz tę drogę blokuje mu jeden z agentów Jego Wysokości, ekolog planety. Może go pamiętasz, Kynes.

— Feyd go pamięta — powiedział baron. — Kończ z tym.

— Jakoś nie piejesz z radości, baronie — powiedział Piter.

— Kończ z tym, rozkazuję ci! — ryknął baron.

Piter wzruszył ramionami. .;,',)

— Jeżeli sprawy potoczą się zgodnie z planem — powiedział — ród Harkonnen otrzyma Arrakis w zastępcze lenno w czasie standardowego roku. Twój stryj dostanie na to lenno dyspensę. Jego osobisty przedstawiciel będzie rządził Arrakis.

— Dalsze zyski — powiedział Feyd-Rautha.

— Istotnie — potwierdził baron. I pomyślał: tego wymaga sprawiedliwość. To my ujarzmiliśmy Arrakis...prócz garstki fremeńskich kundli kryjących się na skraju pustyni... i grupki nieszkodliwych przemytników przypisanych do planety prawie tak mocno jak tubylcza siła robocza.

— I wysokie rody będą wiedziały, że to baron zniszczył Atrydów — powiedział Piter. — Tak, będą wiedziały.

— Będą wiedziały — wyszeptał baron.

— Najpiękniejsze z tego wszystkiego — ciągnął Piter —jest to, że książę też będzie wiedział. Wie już teraz. Już przeczuwa pułapkę.

— To prawda, że książę wie — powiedział baron i jego głos zabrzmiał nutą smutku. — Nie mógł nie wiedzieć...tym większa szkoda.

24

Baron wyszedł spoza globusa Arrakis. Kiedy wynurzył się z cieni, jego postać, wypasiona i tłusta, ukazała się w całej okazałości. Nieznaczne wypukłości pod fałdami ciemnej szaty zdradzały, że cały ten tłuszcz dźwigają głównie przenośne dryfy nałożone jak uprząż na jego ciało. W rzeczywistości ważył ze dwieście standardowych kilogramów, ale jego stopy uniosłyby z tego nie więcej niż pięćdziesiąt.

— Jestem głodny — zahuczał baron i potarł upierścienioną dłonią swe wydatne wargi, oczami ukrytymi w fałdach tłuszczu spoglądając z góry na Feyda-Rauthę.

— Poślij po jedzenie, mój kochany. Zjemy przed spoczynkiem.

Tak rzekła św. Alia-od-Noża: „Matka Wielebna musi łączyć uwodzicielskie sztuczki kurtyzany z niepokalanym majestatem dziewicy bogini, utrzymując te przymioty w harmonii dopóty, dopóki dopiszą jej siły młodości. Jako że gdy młodość i uroda przeminą, odkryje ona, iż miejsce pośrodku, kiedyś zajęte przez harmonię,' stało się krynicą sprytu i zaradności".

z „Muad'Dib, przypisy o rodzinie" księżniczki Irulan

— A więc, Jessiko,'co masz na swoje usprawiedliwienie7 —spytała Matka Wielebna. Na Zamku Kaladańskim dzień próby Paula chylił się ku zachodowi. Dwie kobiety pozostały same w saloniku, gdy on czekał obok w dźwiękoszczelnej Komnacie Medytacji. Jessika stała na wprost południowych okien. Niewidzącymi oczami spoglądała na gęstniejące kolory wieczoru za łąką i rzeką. Słyszała nie słysząc pytania Matki Wielebnej. Kiedyś odbyła się inna próba —jakże wiele lat temu. Chuda jak patyk dziewczynka o włosach koloru miedzi, z ciałem rozdartym wichrami dojrzewania, weszła do studia Matki Wielebnej Gaius Helen Mohiam, Cenzorki Przełożonej Akademii Bene Gesserit na Waliach IX. Jessika spojrzała w dół na swoją prawą dłoń, rozprostowała palce; ożyła w niej pamięć bólu, trwogi, gniewu.

— Biedny Pauł — wyszeptała.

— Pytałam o coś, Jessiko!

Głos starej kobiety był oschły, władczy.

— Co? Och... — Jessika otrząsnęła się ze wspomnień przeszłości i odwróciła twarzą do Matki Wielebnej, siedzącej plecami do kamiennej ściany między dwoma zachodnimi oknami.

— Co mam ci powiedzieć?

— Co masz mi powiedzieć? Co masz mi powiedzieć? — starczy głos rozbrzmiewał tonem szyderczego przedrzeźniania.

— No i urodziłam syna! — wybychnęła Jessika. I zrozumiała, że celowo sprowokowano ją do tego wybuchu.

— Przykazano ci rodzić Atrydom same córki.

— To znaczyło dla niego bardzo wiele — broniła się Jessika.

— A ty w swej pysze pomyślałaś, że wydasz na świat Kwisatz Haderach!

— Przeczuwałam taką możliwość.

— Myślałaś jedynie o tym, że książę pragnie syna — warknęła stara. — A jego pragnienia się tutaj nie liczą. Można było wydać córkę Atrydów za dziedzica Harkonnenów i załatać dziurę. Beznadziejnie pokomplikowałaś sprawy. Możjemy teraz stracić oba drzewa genealogiczne.

25'

— Nie jesteście nieomylne — powiedziała Jessika. Skrzyżowała wzrok z nieruchomym spojrzeniem starych oczu. Po chwili stara kobieta zamruczała:

— Co się stało, to się nie odstanie.

— Ślubowałam nigdy nie żałować swej decyzji — powiedziała Jessika.

— Jakżeż szlachetnie — zadrwiła Matka Wielebna. — Nic nie żałować. Inaczej zaśpiewasz jako zbieg z ceną wyznaczoną na swą głowę, kiedy wszystkie dłonie podniosą się przeciwko tobie i będą nastawać na życie twoje i twojego syna.

Jessika pobladła.

— Czy nie ma innego wyjścia?

— Innego wyjścia? I to pyta Bene Gesserit?

— Pytam jedynie, co widzisz w przyszłości przy pomocy swych nadzwyczajnych talentów.

— Widzę w przyszłości to, co widziałam w przeszłości. Wiesz, jak świat się toczy. Rodzaj ludzki świadom jest swej śmiertelności i lęka się, by jego dziedziczność nie uległa stagnacji. Ma to we krwi — ów pęd do krzyżowania linii genetycznych bez żadnego planu. Imperium, kompania KHOAM, wszystkie rody wysokie jak unoszone na falach patyki.

— KHOAM — mruknęła Jessika. — Przypuszczam, że ustalono już nowy rozdział łupów z Arrakis.

— Czymże jest KHOAM, jak nie wiatrowskazem zaledwie naszych czasów. Imperator ze swoimi przyjaciółmi dysponują obecnie pięćdziesięcioma dziewięcioma, przecinek sześćdziesiąt pięć procentami głosów zarządzających. Niewątpliwie liczą się zyski i gdy pozostali zwęszą takie same korzyści, należy się spodziewać, że liczba jego głosów wzrośnie. To jest mechanizm historii, dziewczyno. ,

— To jest niewątpliwie to, czego mi teraz potrzeba — powiedziała Jessika. — Wykładu z historii. .

— Nie podkpiwaj, dziewczyno! Wiesz równie dobrze jak ja, jakie siły nas otaczają. Mamy cywilizację na bazie trójkąta: dwór imperialny we wzajemnej przeciwwadze z rodami wysokimi Landsraadu, a pomiędzy nimi Gildia ze swoim przeklętym monopolem na komunikację międzygwiezdną. W polityce trójkąt jest najmniej stabilną konstrukcją. Byłoby i tak nie najlepiej, nawet bez kłopotów z feudalną kulturą handlową, która odwraca się od większości nauk.

— Patyki niesione przez fale — powiedziała Jessika z goryczą. — A ten patyk tutaj to jest książę Leto, a ten drugi to jego syn, a tamten to...

— Och, zamknij się, dziewczyno. Wdałaś się w to wiedząc, na jak cienkiej tan-, czysz linie.

— „Jestem Bene Gesserit; istnieję, aby służyć" — zacytowała Jessika.

— Prawda — powiedziała stara kobieta. — A teraz możemy liczyć jedynie na uniknięcie powszechnej pożogi i ocalenie tego, co się da, z kluczowych linii genealogicznych.

Jessika przymknęła oczy czując łzy cisnące jej się pod powieki. Przezwyciężyła wewnętrzne rozdygotanie, drżenie, nierównomierny oddech, oszalały puls, potnienie dłoni.

Po chwili odezwała się:

— Zapłacę za swój błąd.

— I twój syn zapłaci z tobą.

— Będę go chronić, jak tylko potrafię.

— Chronić! — warknęła stara kobieta. — Dobrze wiesz, czym to grozi! JeśH za 'bardzo będziesz chroniła swego syna, Jessiko, to nie będzie miał nawet tyle siły, by wypełnić jakiekolwiek przeznaczenie.

Jessika odwróciła się, spojrzała za okno na zapadające ciemności.

— Czy jest aż tak okropna, owa planeta Arrakis?

— Wystarczająco, choć niezupełnie. Missionaria Protectiva nieco ją zmiękczyła.
Matka Wielebna dźwignęła się z krzesła, wygładziła fałdę togi.

— Wezwij chłopca. Niedługo muszę jechać.

— Naprawdę musisz?
Głos starej kobiety złagodniał.

— Jessika, dziecko, chciałabym zająć twoje miejsce i wziąć twoje cierpienia na siebie. Ale każda z nas musi iść w swoją stronę.

— Wiem.

— Jesteś mi tak droga jak własna córka, ale nie mogę dopuścić, by kolidowało to z obowiązkiem.

— Rozumiem...konieczność.

— Jessiko, obie wiemy, co zrobiłaś i dlaczego to zrobiłaś. Ale życzliwość zmusza mnie do wyznania, że mała jest szansa, aby twój chłopiec był Integralnością Bene Gesserit. Nie możesz pozwolić sobie na zbyt wielkie nadzieje.

Jessika starła łzy z kącików oczu. W tym geście był gniew.

— Sprawiłaś, że znowu czuję się jak mała dziewczynka recytująca swą pierwszą lekcję.

2 trudem wydusiła z siebie słowa:

— „Istoty ludzkie nie mogą nigdy poddać się zwierzętom". -Wstrząsnął nią tłumiony szloch, dodała cicho: — Jestem taka samotna.

— To powinna być jedna z prób — powiedziała stara kobieta. — Ludzie są prawie zawsze samotni. Wezwij teraz chłopca. Miał długi, straszny dzień. Lecz miał też i czas na przemyślenia i zapamiętanie, a ja muszę go jeszcze wypytać o te jego sny.

Jessika kiwnęła głową, podeszła do drzwi Komnaty Medytacji, otworzyła je.

— Pauł, wejdź już, proszę.

Pauł wyłonił się z zawziętą opieszałością. Patrzył na swoją matkę jak na obcą osobę. Posłał przyczajone spojrzenie Matce Wielebnej, ale tym razem skłonił głowę jak równy równemu. Słyszał, jak matka zamyka drzwi za jego plecami.

— Młodzieńcze — powiedziała stara — wróćmy do sprawy twych snów.

— Czego chcesz?

— Co noc masz sny?

— Nie takie, które by warto zachować w pamięci. Potrafię zapamiętać każdy sen, ale jeden jest tego wart, a inny nie.

— Jak je rozróżniasz?

— Po prostu wiem.

Stara popatrzyła się na Jessikę i ponownie na Paula.

— Co ci się śniło ostatniej nocy? Czy warto było to zapamiętać?

— Tak. — Paul zamknął oczy. — Śniła mi się jaskinia... i woda... i dziewczyna w jaskini, bardzo chuda z ogromnymi oczami. Oczy jej są całe błękitne, nie ma w nich białek. Mówię do niej, opowiadam jej o tobie, o spotkaniu z Matką Wielebną na Kaladanie.

Paul otworzył oczy.

— A to, co opowiadasz tej obcej dziewczynie o spotkaniu ze mną, czy to się dzisiaj wydarzyło?

Paul zastanawiał się nad tym przez chwilę.

— Tak. Mówię dziewczynie, że przybyłaś i wycisnęłaś na mnie piętno obcości.

— Piętno obcości — wyszeptała stara i ponownie jej spojrzenie powędrowało od Paula do Jessiki i z powrotem do chłopca.

— Powiedz mi teraz szczerze, Paul, czy często śnią ci się rzeczy, które potem zdarzają się dokładnie tak, jak ci się śniły.

— Tak. A ta dziewczyna śniła mi się już przedtem.

— Och? Znasz ją?

— Poznam.

— Opowiedz mi o niej.
Paul znowu zamknął oczy.

— Siedzimy w jakimś zakątku ukrytym wśród skał. Już prawie noc, ale jest gorąco i widzę łachy piasku za szczeliną w skałach. My...czekamy na coś...na to, bym poszedł spotkać się z jakimiś ludźmi. Ona jest przestraszona, lecz stara się to ukryć przede mną, a ja jestem podekscytowany. I ona mówi: opowiedz mi o wodach swojej planety, Usul.

Paul otworzył oczy.

— Czy to nie dziwne? Moją planetą jest Kaladan. Nigdy nie słyszałem nawet o planecie Usul.

— Czy jest coś jeszcze w tym śnie, Paul? — ponagliła go Jessika.

— Tak. Ale może to mnie ona nazywała Usulem — rzekł Paul. — Właśnie mi to przyszło do głowy.

Jeszcze raz przymknął oczy.

— Prosi mnie, bym jej opowiedział o wodach. A ja biorę ją za rękę i mówię, że powiem jej wiersz. I recytuję jej wiersz, ale muszę tłumaczyć niektóre słowa, jak plaża i przybój, i morszczyn, i mewy.

— Jaki wiersz? — spytała Matka Wielebna.
Paul otworzył oczy.

— Zwyczajny, jeden z lirycznych trenów Gurneya Hallecka na smutną godzinę.
Za plecami Paula Jessika zaczęła deklamować:

Wciąż widzę nad plażą ogniska słony dym i

I cienie pod sosnami —

Skamieniałe —

Mewy śpią na grzędzie ziemi,

Biel na zieleni...

28

Wiatr idzie przez rzędy drzew

Cienie kołysze.

Wzbijają się mewy,

Mkną

I krzyczą w niebiosach.

A ja wiatr słyszę

Plażą wiejący z ukosa

I przybój,

I widzę, że nasz ogień

Spopielił morszczyn.

— To właśnie ten — powiedział Pauł.

Stara kobieta wpatrywała się w Paula dłuższą chwilę.

— Młody człowieku, jako Cenzorka Bene Gesserit poszukuję Kwisatz Haderach, mężczyzny, który rzeczywiście może zostać jednym z nas. Twoja matka widzi taką możliwość w tobie, ale ona patrzy oczyma matki. Możliwość widzę i ja, ale nic ponadto.

Umilkła i Pauł zrozumiał, że chce, aby przemówił. Przeczekał ją. Niebawem powiedziała: l

— Zresztą jak sobie chcesz. Są w tobie głębie, za to ręczę.

— Czy mogę już odejść?

— Nie chcesz wysłuchać, co Matka Wielebna ma ci do powiedzenia o Kwisatz Haderach? — spytała Jessika. s

— Powiedziała, że ci, co ubiegafi się o to, pomarli.

— Ale mogę ci udzielić paru wskazówek, gdzie szukać przyczyn ich porażki — odezwała się' Matka Wielebna.

Mówi o wskazówkach — pomyślał Pauł. — Niczego naprawdę nie wie. I powiedział: ^

— Więc udziel mi wskazówek. \

— I zgiń, przepadnij dla mnie — kwaśny uśmiech pojawił się w siatce zmarszczek na starczej twarzy.

— Niech ci będzie: „Kto się poddaje, ten panuje".
Zdumiał się, że mówi o tak podstawowych sprawach, jak dialektyka znaczenia. Czy ona myśli, że matka go niczego nie nauczyła?

— To jest wskazówka? — spytał.

— Nie jesteśmy tu po to, by igrać ze słowami i ich znaczeniem — powiedziała stara. — Wierzba poddaje się wiatrom i wiedzie jej się dobrze, aż pewnego dnia zmienia się w ścianę wierzb odporną na wiatry. To jest przeznaczenie wierzby.

Pauł wybałuszył na nią oczy. Powiedziała „przeznaczenie" i poczuł, że go to słowo poraziło, powtórnie napiętnowało strasznym przeznaczeniem. Nagle ogarnął go gniew: nadęta stara wiedźma z gębą pełną frazesów.

— Uważasz, że mogę być tym Kwisatz Haderach — powiedział. — Mówisz o mnie, lecz nie rzekłaś ani słowa o tym, co zrobić dla ratowania mojego ojca. Słyszałem twoją rozmowę z matką. Mówisz o nim tak, jakby był martwy. Otóż nie Jest!

— Gdyby można było cokolwiek dla niego zrobić, zrobilibyśmy z pewnością — warknęła stara. — Może uda się coś zrobić dla ciebie. Wątpliwe, lecz niewykluczone. Ale dla twojego ojca — nic. Gdybyś się nauczył przyjmować to jako fakt, opanowałbyś prawdziwą lekcję Bene Gesserit.

Paul dostrzegł, jak słowa te wstrząsnęły matką. Utkwił w starej pełne nienawiści spojrzenie. Jak mogła powiedzieć coś takiego o jego ojcu? Skąd miała taką pewność? Kipiał ze złości.

Matka Wielebna spojrzała na Jessikę.

— Uczyłaś go metody, widziałam oznaki tej nauki. Na twoim miejscu zrobiłabym to samo i niech diabli wezmą reguły.
Jessika skinęła głową.

— Teraz nalegam — powiedziała stara — byś zignorowała formalny porządek szkolenia. Jego własne bezpieczeństwo wymaga Głosu. Ma już dobre początki, ale obie wiemy, jak wiele potrzebuje... i to rozpaczliwie.

Podeszła do Paula, popatrzyła na niego z góry.

— Żegnaj, młoda ludzka istoto. Mam nadzieję, że ci się uda. A jeśli nie, cóż, jeszcze nam się kiedyś powiedzie.

Podniosła oczy na Jessikę. Mrugnęły porozumiewawczo do siebie. Po czym stara kobieta wypłynęła z pokoju w szeleście togi rzuciwszy za siebie ostatnie spojrzenie. Pozbyła się już z myśli i pokoju, i jego lokatorów. Lecz Jessice mignęła w przelocie twarz Matki Wielebnej. Na pomarszczonych policzkach lśniły łzy. Te łzy odbierały odwagę bardziej niż jakiekolwiek słowo czy znak, jaki wymieniły tego dnia między sobą. .

Przeczytaliście, że Maud'Dib nie miał na Kaladanie towarzyszy zabaw wśród rówieśników. Zbyt wiele groziło mu niebezpieczeństw. Za to miat Muad'Dib wspaniałych towarzyszy wśród nauczycieli. Był tam Gurney Halleck, trubadur-wojownik. Będziecie mieli okazję zaśpiewać sobie kilka piosenek Gurneya w trakcie lektury tej książki. Był tam Thufir Hawat, stary mentat, mistrz assassinów. bud/ący strach w sercu samego Padyszacha Imperatora. Był tam Duncan Idaho, mistrz miecza klanu Ginaz; byt doktor Wellington Yueh, imię czarne w historii zdrady, lecz świetlane w nauce; i lady Jessika wprowadzająca syna w metodę Bene Gesserit, no i oczy-

wiście książę Leto, którego ojcowskie zalety długo pozostawały nie dostrzeżone.

z „Historii d/ieuństwa Mudd'Diba" pióra księżniczki Irutan

Thufir Hawat wsunął się do sali treningowej zamku Kaladan i bezgłośnie zamknął za sobą drzwi. Chwilę stal nieruchomo — czuł się stary, znużony i połamany. Bolała go blizna na lewej nodze, rozplatanej kiedyś w służbie Starego Księcia. To już trzy pokolenia — pomyślał. Spojrzał przez wielki pokój zalany jasnością południa płynącą ze świetlików w suficie, zobaczył chłopca siedzącego tyłem do drzwi, zatopionego w rozłożonych na stole mapach i papierach. Ile razy mam powtarzać temu chłopakowi, żeby nigdy nie rozsiadał się plecami do drzwi? Odchrząknął. Pauł trwał pochylony studiując dalej swoje papiery. Cień chmury przesunął się po świetlikach. Hawat odchrząknął ponownie. Pauł wyprostował się i nie odwracając głowy powiedział:

— Wiem. Siedzę plecami do drzwi.

Hawat skrył uśmiech, przemaszerował przez salę. Pauł podniósł oczy na posiwiałego, starego mężczyznę, który zatrzymał się przy rogu stołu. Oczy Hawata były dwiema sadzawkami czujności na ciemnej, pokrytej głębokimi bruzdami twarzy.

— Słyszałem cię, jak szedłeś korytarzem — powiedział Pauł. — I słyszałem, jak otwierałeś drzwi.

— Takie dźwięki można naśladować.

— Zauważyłbym różnicę.

Pewnie tak — pomyślał Hawat. — Ta jego matka czarownica kształci go gruntów-' nie, to widać. Ciekawe, co na to jej nieoceniona szkoła? Może dlatego właśnie przysłali starą cenzorkę — by dyscypliną nauczyć naszą jaśnie panią Jessikę moresu.

Hawat wysunął krzesło na wprost Paula, siadł twarzą w kierunku drzwi. Zrobił to ostentacyjnie, po czym odchylił głowę do tyłu i objął spojrzeniem salę. Po wysłaniu większości sprzętów na Arrakis uderzyła go nagle jej dziwaczność i obcość. Został stół treningowy i fechtunkowe zwierciadło z zamarłymi pryzmatami, przy nim ćwiczebny manekin, cały wywatowany i w łatach, wyglądający jak starożytny piechur, pokiereszowany i okaleczony na wojnach. To ja tam stoję — pomyślał Hawat.

— O czym tak myślisz, Thufir? — spytał Pauł.
Hawat spojrzał na chłopca.

— Myślałem o tym, że wkrótce nikogo z nas tu nie będzie i że prawdopodobnie już nigdy nie zobaczymy tego pokoju.

— I to cię smuci? l

— Smuci? Nonsens? Smutek jest w rozstaniu z przyjaciółmi. Miejsce to tylko miejsce. — Obrzucił wzrokiem mapy na stole. — Zaś Arrakis to po prostu jeszcze jedno miejsce.

— Ojciec polecił ci wysondować mnie?

Hawat spochmurniał. Chłopak był niesłychanie spostrzegawczy. Kiwnął głową.

— Uważasz, że byłoby ładniej z jego strony, gdyby pofatygował się osobiście, ale wiesz przecież, jak jest zajęty. Wpadnie później.

— Przeglądam materiały o huraganach na Arrakis.

— Huragany. Ach tak.

— Wyglądają na nieliche.

— „Nieliche" to za mało powiedziane. Owe huragany rozpędzają się po sześciu czy siedmiu tysiącach kilometrów równiny, karmiąc się wszystkim, co przydaje impetu — siłą Coriolisa, innymi huraganami, wszystkim, cokolwiek ma w sobie choćby gram energii. Potrafią rozhulać się do siedmiuset kilometrów na godzinę, zabierając po drodze wszystko, co się sypie — piasek, pył, wszystko. Potrafią wytrawić ciało do kości, a kości rozsiekać na igły.

— Dlaczego nie mają tam regulacji pogody?

— Arrakis na specyficzne problemy, koszty są tam wyższe, a więc utrzymanie i tak dalej. Gildia żąda potwornej sumy za nadzór satelitarny, zaś ród twojego ojca nie jest z tych wielkich i bogatych, chłopcze. Wiesz przecież.

— Czy widziałeś kiedyś Fremenów?

Umysł chłopaka miota się dziś na wszystkie strony — pomyślał Hawat.

— Jak ciebie- widzę — powiedział. — Niewiele się różnią od mieszkańców nie-

cek i grabenów. Wszyscy noszą owe obszerne, powiewające szaty. I śmierdzą pod niebiosa w każdej zamkniętej przestrzeni. To z powodu tych strojów — nazywają je filtrfrakami — które odzyskują wodę wydalaną przez ciało.

Paul przełknął ślinę, nagle świadom wilgoci w ustach i przypomniał mu się sen ó pragnieniu. Ogarnęło go uczucie pustki na myśl o ludziach, którzy tak łakną wody, że zamykają obieg wilgoci własnego ciała.

— Tam woda jest bezcenna — powiedział.

Hawat skinął głową. Może właśnie to robię — myślał — może i daję mu do zrozumienia, jak groźnym przeciwnikiem może być ta planeta. To szaleństwo pchać się na nią nie pamiętając o tej przestrodze.

Paul podniósł oczy na świetlik i uświadomił sobie, że zaczęło padać. Ujrzał, jak szare metaszkło coraz bardziej zachodzi wilgocią.

— Woda — powiedział.

— Zobaczysz, co znaczy woda — powiedział Hawat. — Jako syn księcia nigdy nie zaznasz jej braku, ale zobaczysz męki pragnienia wszędzie wokół siebie.

Paul zwilżył językiem wargi cofając się myślą o tydzień do owego przedpołudnia próby przed Matką Wielebną. Ona też powiedziała coś o usychaniu z pragnienia.

„Poznasz żałobne równiny" — mówiła — „pustkowia, które są jałowe, jałową pustkę, gdzie nie ma nic prócz przyprawy i czerwi pustyni. Namaścisz oczodoły, by osłabić blask słońca. Schronieniem ci będzie każda dziura z dala od wiatru i obcych oczu. Będziesz podróżował na własnych dwóch nogach bez statku, bez pojazdu, bez „wierzchowca". Paula bardziej usidlił jej ton — monotonnie rozkołysany — niż słowa. „Kiedy zamieszkasz na Arrakis" — mówiła — „khala, ziemia będzie pusta. Księżyce będą ci przyjaciółmi, słońce wrogiem". I poczuł, jak opuściwszy posterunek przy drzwiach matka staje u jego boku. Patrzy na Matkę Wielebną i pyta: „Nie widzisz żadnej nadziei, Wasza Wielebność?" „Dla ojca nie". — I stara gestem ucisza Jessikę spoglądając z góry na Paula. „Wyryj to sobie w pamięci, chłopcze: świat wspiera się. na czterech filarach..." — Podniosła cztery palce z wielkimi knykciami. — „Na naukach

mądrych, na sprawiedliwości wielkich, na modlitwach prawych i waleczności dzielnych. Ale to wszystko jest niczym..." — zwinęła palce w pięść — „bez władcy znającego sztukę władania. Przyjmij to jako naukę tradycji, w jakiej zostałeś wychowany".

Tydzień minął od tamtego przedpołudnia z Matką Wielebną. Jej słowa dopiero zaczynały w pełni docierać do Paula. Siedząc teraz w sali treningowej z Thufirem Hawatem poczuł bolesne ukłucie strachu. Spojrzał przez stół na zmarszczone brwi mentata.

— Gdzież to tym razem bujałeś w obłokach? — zapytał Hawat.

— Widziałeś Matkę Wielebną?

— Tę jędzę prawdomówczynię z Imperium? — Oczy Hawata ożywiły się ciekawością. — Widziałem.

— Ona... — Pauł zawahał się, stwierdzając, że nie "potrafi opowiedzieć Hawato- ,wi o swojej próbie. Zahamowania tkwiły w nim głęboko.

— Tak? Co ona?

Pauł odetchnął dwukrotnie pełną piersią.

—• Ona powiedziała pewną rzecz.

. Zamknął oczy przywołując słowa, a kiedy zaczął mówić, nieświadomie przybrał ton głosu starej kobiety:

. — „Ty, Pauł Atryda, potomek królów, syn księcia, musisz nauczyć się władać. Jest to coś, czego nie nauczył się żaden z twoich przodków". — Pauł otworzył oczy. — To mnie rozzłościło i powiedziałem, że mój ojciec włada całą planetą. A ona na to:

„On ją traci". I wtedy ja powiedziałem, że ojciec dostaje bogatszą planetę. A ona: „Ją też straci". I chciałem biec, i ostrzec ojca, ale ona powiedziała, że już został ostrzeżony — przez ciebie, matkę, przez wielu ludzi.

— To prawda — mruknął Hawat.

— Więc dlaczego wyjeżdżamy? — zapytał Pauł.

— Bo tak każe Imperator. I ponieważ jest nadzieja wbrew temu, co ta jędza-donosicielka powiedziała. Co jeszcze wytrysnęło z owej antycznej krynicy mądrości?

Pauł spuścił oczy na swą prawą dłoń zwiniętą w pięść pod stołem. Siłą woli zmusił mięśnie do powolnego rozluźnienia. Ona jakoś ma mnie w garści — pomyślał. — Ale jak?

— Zapytała mnie, co to znaczy władać — rzekł Pauł. — Więc jej powiedziałem, że to znaczy rozkazywać. A ona odparła, że muszę się czegoś oduczyć.

Tutaj trafiła bez pudła — pomyślał Hawat. Skinął głową Paulowi, by mówił dalej.

— Powiedziała, że władca musi nauczyć się przekonywać, a nie zmuszać. Że musi wyłożyć na stół swój najbielszy obrus, by przyciągnąć najlepszych ludzi.

— A jak ona sobie wyobraża, że twój ojciec przyciągnął takich ludzi jak Duncan i Gurney? — zapytał Hawat..
Pauł wzruszył ramionami.

— Następnie dodała, że władca musi się nauczyć języka swojego świata, odmiennego dla każdej planety. Sądziłem więc, że chudzi jej o to, że na Arrakis nie mówią galach, lecz ona powiedziała, że chodzi o coś zupełnie innego. Powiedziała, że chodzi jej o język kamieni i tego, co rośnie, język, jakiego nie słyszy się uszami. A ja jej wyjaśniłem, że to właśnie doktor Yueh nazywa tajemnicą życia.

Hawat roześmiał się bezgłośnie.

— Jak ona to przełknęła?

— Wyglądała na wściekłą. Powiedziała, że tajemnica życia nie jest problemem do rozwiązania, lecz rzeczywistością do przeżycia. Strzeliłem jej więc pierwszym prawem mentata: „Nie można zrozumieć procesu przez zatrzymanie go. Zrozumienie musi podążać z biegiem procesu, musi przyłączyć się i płynąć razem z nim". Wydaje. się, że tym ją usatysfakcjonowałem.

Chyba już mu przechodzi — pomyślał Hawat — ale ta stara jędza nastraszyła go nie na żarty. Po co to zrobiła?

— Thufir — zapytał Pauł — czy Arrakis będzie taka zła, jak ona mówi?

— Nic nie może być aż tak złe —\ powiedział Hawat i uśmiechnął się na siłę. — Weźmy na przykład tych Fremenów, pariasów pustyni. Na podstawie wstępnej, szacunkowej analizy mogę ci powiedzieć, że jest ich dużo, dużo więcej, niż podejrzewa Imperium. Ludzie żyją tam, chłopcze, całe mnóstwo ludzi i... — Hawat przytknął żylasty palec do oka — oni wściekle nienawidzą Harkonnenów. Tylko o tym ani mru mru, chłopcze. Mówię ci to tylko jako pomocnik ojca.

— Ojciec mówił mi o Salusa Secundus. Wiesz, Thufir, to wyglądało na Arrakis... może nie aż tak źle, ale bardzo podobnie.

— Niewiele w istocie wiemy o dzisiejszej Salusa Secundus — powiedział Hawat. — Jedynie jaka była dawno temu... z grubsza. Lecz z tego, co wiadomo, masz rację.

— Czy Fremeni nam pomogą?

— Niewykluczone. — Hawat wstał. — Lecę dziś na Arrakis. Tymczasem uważaj na siebie przez wzgląd na starego człowieka, który ma do ciebie słabość, dobrze? Przejdź tu na drugą stronę jak grzeczny chłopiec i siądź twarzą do drzwi. Nie myślę, żeby ci coś groziło na zamku, tylko chciałbym, abyś-nabrał tego nawyku.

Pauł wstał z krzesła, obszedł stół dokoła.

— Dzisiaj wyjeżdżasz?

— Dziś to dziś, a jutro ty pójdziesz w moje ślady. Następnym razem spotkamy się już na ziemi twego nowego świata.
Złapał prawą rękę Paula za biceps.

— Rękę do noża mamy zawsze wolrią, no nie? I tarczę na maksimum.
Puścił rękę Paula. klepnął go w ramię, zakręcił się na pięcie i szybkim krokiem pomaszerował w stronę drzwi.

— Thufir! — krzyknął Paul.

Hawat odwrócił się w otwartych drzwiach.

— Nie siadaj tyłem do żadnych drzwi — powiedział Paul.
Uśmiech rozlał się na pomarszczonej, starej twarzy.

— Tego nie zrobię, chłopcze. Możesz mi wierzyć.

I wyszedł delikatnie zamykając za sobą drzwi. Paul siadł tam, gdzie przedtem siedział Hawat i uporządkował swoje papiery. Jeszcze tylko jeden dzień — pomyślał. Rozejrzał się po sali. — Wyprowadzamy się. Znienacka myśl o wyjeździe nabrała kształtów realnych jak nigdy dotąd. Przypomniał sobie coś jeszcze, co stara mówiła o świecie jako sumie wielu rzeczy: ludzi, ziemi, tego, co rośnie, księżyców, przypływów, słońc — tej nieznanej sumie zwanej naturą, będącej podsumowaniem bez żadnego poczucia teraźniejszości. I zamyślił się: Co to jest „teraźniejs z o ś ć"?

Drzwi naprzeciwko Paula otworzyły się z hukiem i'wtoczył się przez nie brzydki wielkolud, poprzedzany naręczem oręża.

— Co widzę, Gurney Halleck — zawołał Paul — awansowałeś na zbrojmistrza?
Halleck zamknął drzwi obcasem.

— Wolałbyś, bym przyszedł pobawić się z tobą, wiem.

Zlustrował pokój dostrzegając, że byli już w nim ludzie Hawata, przeczesali wszystko i upewnili się, że jest bezpieczny dla syna księcia. Wszędzie wokoło dostrzegał ledwo uchwytne zakodowane znaki. Paul obserwował, jak zataczający się brzydal z ładunkiem broni wprawia się ponownie w ruch biorąc kierunek na stół treningowy, dostrzegł przewieszoną przez ramię Gurneya dziewięciostrunową balisetę z piórkiem wetkniętym między struny na końcu gryfa. Halleck rzucił broń na stół treningowy i ułożył ją w szeregach: rapiery, sztylety, chandżary, głuszaki na zwolnione kule, pasy tarczowe. Biegnąca przez całą brodę blizna po krwawinie skręciła się, kiedy już odwrócony wyszczerzył zęby z końca sali.

— Więc dla mnie nie masz nawet „dzień dobry", młode diablę? A na jaki znowu

odcisk nadepnąłeś staremu Hawatowi? Minął mnie w korytarzu jak człowiek biegnący na pogrzeb swego wroga.

Paul uśmiechnął się szeroko. Ze wszystkich ludzi swego ojca najbardziej lubił Gurneya Hallecka. Znał nastroje, żarty i humory tego olbrzyma, którego uważał bardziej za swego przyjaciela, niż za wynajęty rapier.

Halleck przerzucił do przodu balisetę, zaczął ją stroić.

— Nie chcesz gadać, nie gadaj — powiedział.
Paul wstał, wyszedł na środek pokoju, wykrzyknął:

— Cóż to, Gurney, przychodzimy w czas walki i zabieramy się do muzykowania?

— Dzisiaj mamy, widzę, dzień zwracania się bez szacunku do starszych — powiedział Halleck. Spróbował strunę instrumentu, kiwnął głową.

— Gdzie Duncan Idaho? — spytał Paul. — Miał mnie uczyć władania bronią.

— Duncan odjechał wiodąc drugi rzut na Arrakis — powiedział Halleck. — Z wszystkiego ostał ci się jedynie nieszczęsny Gurney wracający prosto z pola walki, który rwie się do muzyki.

Trącił następną strunę, nastawił ucha, uśmiechnął się. — Zresztą rada postanowiła, że tak nędznego wojaka jak ty najlepiej będzie nauczyć muzykowania, aby nie zmarnował sobie życia do reszty.

— No to zaśpiewaj mi pieśń — powiedział Paul. — Chcę zobaczyć, jak się tego n i e powinno robić. ^

— Cha, cha, cha — Gurney wybuchnął śmiechem i machnął „Piękne Galatki", tylko piórko migało jak rozmazana plama na strunach, kiedy śpiewał:

Aaach, piękne Galatki

Dadzą za szmatki,

Za wodę zaś Arrakanki!

Lecz nasze ślicznoty

Dają z ochoty,

Bo lubią to Kaladanki!

— Nieźle jak na tak kiepską do instrumentu rękę — powiedział Paul — ale jeśli moja matka usłyszy, jakie wyśpiewujesz na zamku świństwa, udekoruje twoimi uszami zewnętrzny mur.

Gurney pociągnął się za lewe ucho.

— Dekoracja z nich też kiepska, okropnie się zszargały od podsłuchiwania przy dziurkach od klucza, jak pewien znajomy mi chłopak ćwiczy jakieś dziwne przyśpiewki na swojej balisecie. i

— Zapomniałeś już, widzę, jak to miło, gdy ktoś ci nasypie piasku do łóżka — powiedział Paul. Ściągnął ze stołu pas tarczowy zapinając go jednym ruchem na biodrach. — A więc stawaj do walki!

Oczy Hallecka rozszerzyły się w udanym zdziwieniu.

— A więc to tak! To twoja wredna dłoń dokonała owego czynu! Broń się dziś, młody panie, broń się. — Porwał rapier, wywinął nim w powietrzu. — Jestem demonem zemsty!

35

Paul podniósł bliźniaczy rapier, zgiął w dłoniach klingę, stanął w aguile z. jedną nogą wysuniętą do przodu. Przybrał pełną namaszczenia pozę komicznie parodiując doktora Yuego.

— Ale gamonia przysyła mi ojciec do białej broni — zadeklamował Paul. — Gamoniowaty Gurney Halleck zapomniał podstawowych zasad walki z uzbrojonym i chronionym tarczą przeciwnikiem.

Paul trzasnął wyłącznikiem siły w pasie, poczuł świerzbienie gęsiej skóry na czole i wzdłuż pleców od pola ochronnego, usłyszał charakterystyczne zmatowienie przefiltrowanych przez tarczę zewnętrznych odgłosów.

— Walcząc z tarczą poruszamy się szybko w obronie, powoli w natarciu — powiedział. — Natarcie ma na celu wyłącznie sprowokowanie przeciwnika do zrobienia fałszywego kroku, wystawienie go na śmiertelny cios. Tarcza odwraca szybkie pchnięcie, przyjmuje powolny chandżar!

Paul prztyknął klingą, wykonał błyskawiczną fintę i uciekł rapierem do tyłu sposobiąc się do zwolnionego pchnięcia tak mierzonego w czasie, by zwiodło ślepy system obronny tarczy. Halleck obserwował akcję, w ostatniej chwili zrobił ćwierć obro-

tu, przepuszczając stępiony koniec rapiera koło swej piersi.

— Szybkość znakomita — powiedział. — Lecz byłeś szeroko otwarty na sparowanie pchlim sztychem do dołu.

Paul odstąpił do tyłu, zmarkotniały.

— Powinienem sprać ci tyłek za takie roztrzepanie — powiedział Halleck. Wziął ze stołu goły chandżar i podniósł go do góry.

— Coś takiego w dłoni przeciwnika może ci utoczyć krwi. Jesteś pojętnym uczniem jak żaden, lecz ostrzegałem cię, abyś nawet w zabawie nie dopuścił człowieka ze śmjercią w dłoni za zasłonę.

— Chyba nie jestem dziś w odpowiednim nastroju — powiedział Paul.

— W nastroju? — Głos Hallecka zdradzał wściekłość nawet przez filtr tarczy. — Co ma do tego nastrój? Walczysz, kiedy zachodzi konieczność, bez względu na nastroje. Nastrój można mieć do przejażdżki na koniu, do dziewczyny czy gry na balisecie. Ale nie do walki.

— Bardzo mi przykro, Gurney.

— Za mało ci przykro!

Halleck ożywił swoją tarczę, pochylił się z chandżarem w wysuniętej do przodu lewej ręce i z rapierem wysoko uniesionym w prawej.

— Teraz, powiadam ci, broń się naprawdę!

Dając ogromnego susa w bok i drugiego przed siebie, zaatakował z furią. Paul cofnął się, parując. Słyszał trzaski pola, kiedy krawędzie tarcz starły się i odepchnęły nawzajem, czuł mrowienie naelektryzowanej od tego zetknięcia skóry. Co opętało Gurneya — zadawał sobie pytanie. — On tego nie udaje! Paul zrobił ruch lewą ręką, z pochwy u nadgarstka spuścił sztylet do swej dłoni.

— Zorientowałeś się, że potrzebna ci ekstra klinga, co? — mruknął Gurney.
Czyżby zdrada? — zdumiał się Paul. — To niepodobne do Gurneya! Walczyli dokoła sali — pchnięcie i parada, zwód i kontrriposta. Wewnątrz ochronnych bąbli powietrze stęchło od oddechów, nie była go w stanie wymienić powolna cyrkulacja

wzdłuż brzegów tarcz. Po każdym zetknięciu się tarcz coraz, silniej czuć było ozon. Paul nadal się cofał, ale teraz kierował swój odwrót na stół treningowy. Jeśli zdołam obrócić go przy stole, pokażę mu sztuczkę — pomyślał. — Jeszcze krok, Gurney.

Gurney zrobił krok. Paul sparował zasłoną usuwającą w.dół, dojrzał, jak rapier Hallecka zawadza o krawędź stołu. Zszedł z linii ćwierćobrotem, zadał górne pchnięcie rapierem i podjechał sztyletem do szyi Hallecka. Zatrzymał ostrze na centymetr od żyły szyjnej.

— Tego szukasz? — wyszeptał.

— Popatrz w dół, chłopcze — wysapał Gurney.
Paul usłuchał, zobaczył wsunięty pod brzeg stołu chandżar Hallecka, niemal przytknięty czubkiem do swego krocza.

— Razem byśmy poszli do nieba — powiedział Halleck. — Ale przyznam, że nieco lepiej walczyłeś, gdy zostałeś przyciśnięty. Zdaje się, że tym razem nastrój ci nieco dopisał. — I wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu.

— Ale na mnie napadłeś —powiedział Paul. — Czy rzeczywiście ciąłbyś do krwi?
Halleck cofnął chandżar, wyprostował się.

— Gdybyś walczył choć odrobinę poniżej swych możliwości. Zrobiłbym ci niezłą krechę, długo byś ją pamiętał. Nie pozwolę, by mój ulubiony adept padł z ręki. pierwszego harkonneńskiego łazęgi, jaki stanie mu na drodze.

Paul wyłączył tarczę, oparł się o stół dla złapania oddechu.

— Należała mi się, Gurney. Lecz ojciec by się pogniewał, gdybyś mnie zranił. Ja nie pozwolę z kolei, by ciebie karano za moje potknięcia.

— Jeśli o to chodzii— powiedział Halleck — było ono i moim potknięciem. I nie martw się niepotrzebnie o jedną czy dwie blizny zarobione podczas treningu. Ciesz się, że masz ich tak mało. A co to twego ojca, to książę ukarze mnie, jeśli mi się nie uda zrobić z ciebie rębacza pierwszej klasy. I to by już było moje potknięcie, gdybym nie wyjaśnił sprawy owego nastroju, w jaki nagle popadłeś.

Paill wyprostował się, z powrotem włożył sztylet do pochwy nad nadgarstkiem.

— To, co tutaj robimy, to niezupełnie są żarty — powiedział Halleck.
Paul skinął głową. Zadziwiła go nietypowa dla Gurneya grobowa mina, głębia jego śmiertelnej powagi. Spojrzał na krwawinową bliznę koloru buraka przecinającą ' brodę mężczyzny i przypomniał sobie, jak to Gurney zarobił ją od Bestii Rabbana w niewolniczych sztolniach Harkonnenów na Giedi Prime. I poczuł nagły wstyd, że choć przez chwilę zwątpił w Gurneya. Po czym przyszło mu na myśl, że powstaniu blizny Hallecka towarzyszył ból — być może ból równie wielki, jak ten, który zadawała mu Matka Wielebna. Odsunął od siebie ową myśl, przejmowała chłodem ich

świat.

— Chyba jednak miałem nadzieję, że sobie pożartujemy — powiedział. — Wszystko dokoła jest ostatnio takie poważne.

Halleck odwrócił się, aby ukryć wzruszenie. Piekły go od czegoś oczy. Ból wzbierał w nim jak wrzód, i to było wszystko, co mu pozostało po jakimś utraconym wczoraj, z którego odarł go czas.

Jakże wcześnie ten dzieciak musi stać się mężczyzną — pomyślał Halleck. —Jak• że wcześnie musi odcyfrować ową formułę w głębi własnego umy$łu, ów cyrograf bru-

talnej przestrogi, po ,to, by zgłosić ten nieunikniony fakt w nieuniknionych słowach:

„Melduję się jako najbliższy krewny".

Halleck powiedział nie odwracając się:

— Wyczuwałem w tobie chęć do zabawy, chłopcze, i niczego goręcej nie pragnąłem, jak przyłączyć się do niej. Ale zabawa się skończyła. Jutro wyruszamy na Arrakis. Arrakis jest naprawdę. Harkonnenowie są naprawdę.

Pauł dotknął czoła klingą trzymanego pionowo rapiera. Halleck odwrócił się;

dostrzegł salut, przyjął go kiwnięciem głowy. Ręką wskazał ćwiczebny manekin.

— Popracujemy teraz nad twoim refleksem. Chcę widzieć, jak dajesz tej kukle do wiwatu. Będę nią sterował z tego miejsca, skąd całą akcję będę miał jak na dłoni. I ostrzegam, że dzisiaj wypróbuję nowe riposty. Takiego ostrzeżenia nie spodziewaj

się od prawdziwego przeciwnika.

Pauł wspiął się na palce, przeciągnął dla rozluźnienia -mięsni. Nagłe uświadomie-
nie sobie, że wkroczył w życie pełne gwałtownych zmian, wprawiło go w nastrój uro-
czystej powagi. Podszedł do manekina, klepnął sztychem rapiera wyłącznik na piersi
. kukły, poczuł parcie jej ochronnego pola na rapier.

— En gardę! — zawołał Halleck i manekin ruszył do ataku. Pauł uruchomił swo-
ją tarczę, sparował i zaripostował. Halleck przyglądał się manipulując urządzeniem
sterującym. Jego duch jakby rozdzielił się na dwie części: jedną wyczuloną na potrze-
by walki szkoleniowej i drugą kołującą jak uprzykrzona mucha. Jestem jak dobrze
wyprowadzone drzewo owocowe — myślał. — Uginam się od dobrze prowadzonych
uczuć i zdolności, zaszczepionych na mnie co do jednego i wszystkie one czekają, żeby
ktoś inny je zebrał. — Z jakiegoś powodu przypomniała mu-się młodsza siostra, jej
twarz elfa stanęła mu przed oczami. Ale teraz ona już nie żyła...zmarła w burdelu dla
żołdactwa Harkonnenów. Lubiła bratki...a może to były stokrotki? Nie pamiętał.
Martwiło go to, że nie pamięta.

Pauł zablokował powolne pchnięcie manekina, wzniósł lewą rękę w entretisser.
Co za sprytny mały diabeł! — pomyślał Halleck, teraz całkowicie pochłonięty prze-
platanką ruchów ręki Paula. — Ćwiczył i uczył się na własną rękę. To nie jest w stylu
Duncana, i ja go też na pewno tego nie nauczyłem".

Ta myśl jedynie pogłębiła smutek Hallecka. Zaraziłem się nastrojem — stwier-
dził. I zaczął się zastanawiać nad Paulem. czy chłopak kiedykolwiek pośród nocy nie
nasłuchiwał z przerażeniem czyjegoś łkania w poduszkę.

Gdyby życzenia były jak ryby, wszyscy stawialiby sieci -y wyszeptał. Było to po-
wiedzenie jego matki i sięgał po nie zawsze wtedy, gdy ogarniał go mrok jutra. Poczym
przyszło mu na myśl, że cóż to jest za' dziwaczne powiedzenie do zabrania na planetę,
która nigdy nie widziała mórz ani ryb. ' >

YUEH (yti e), Wellington (wel-ing-tun). Stdrd 10082—10191; doktor medycyny z Akademii
Suk'(rok ukończenia: Stdrd 10112); żona: Wanna Marcus B. G. (Stdrd 10092—10186?); znany
przede wszystkim jako zdrajca księcia Leto Atrydy (porównaj: Bibliografia Aneks VII p.t. „Wa-
runkowanie imperialne" oraz „Zdrada, Wielka").

z ..Malej Encyklopedii Muad'Diba" opracowanej pr/cz księżniczkę Iruhin

38

Chociaż Pauł słyszał, jak doktor Yueh wchodzi do sali, w jego krokach wyczu-
wając chłodne wyrachowanie, dalej leżał twarzą w dół, rozciągnięty na stole po odej-
-ściu masażysty. Czuł się cudownie wypoczęty po treningu z Gurneyem Halleckiem.

— To widać, że ci dobrze — odezwał się Yueh powolnym, piskliwym głosem.
Pauł uniósł głowę, spojrzał na sztywną postać stojącą w odległości kilku kroków,
jednym rzutem oka objął wymiętą szatę, kanciastą bryłę głowy z purpurowymi war-
gami i obwisłym wąsem, wytatuowany na czole romb uwarunkowania imperialnego,
długie czarne włosy ujęte nad lewym ramieniem w srebrny pierścień Akademii Suk.

— Ucieszy cię pewnie wiadomość, że nie mamy dziś czasu na normalne zaję-
cia — powiedział Yueh. — Twój ojciec będzie tu niebawem.
Pauł siadł.

— Za to załatwiłem dla ciebie przeglądarkę księgofilmów i parę lekcji w czasie

drogi na Arrakis.

— Och.

Pauł zaczął wciągać na siebie ubranie. Perspektywa wizyty ojca wprawiła go w stan podniecenia. Spędzili razem tak niewiele czasu, od kiedy Imperator nakazał

przejąć w lenno Arrakis.

Yueh zbliżył się do załamanego w kształcie litery L stolika, myśląc: Jakże ten chłopiec rozrósł się w przeciągu tych ostatnich paru miesięcy. Cóż za marnotrawstwo! Och, cóż za bolesne marnotrawstwo. I sam siebie upomniał: Nie wolno mi się załamać. To, co robię, robię po to, aby mieć pewność, że moja Wanna nie będzie dłużej cierpiała w łapach harkonneńskich bestii.

Pauł dołączył do niego przy stoliku, dopinając bluzę.

— Co będę studiował w drodze?

— Ooooch, lądowe formy życia na Arrakis. Wygląda na to, że planeta stała się łaskawsza dla pewnych stworzeń lądowych. Nie wiadomo jakim cudem. Po przybyciu muszę poszukać ekologa'planetarnego, niejakiego doktora Kynesa, i zaofiarować

mu swoją pomoc w badaniach.

l Yueh pomyślał: Co ja wygaduję? Bawię się w hipokrytę nawet przed sobą samym.

— Będzie coś o Fremenach? — zapytał Pauł.

— Fremenach? — Yueh zabębnił palcami po stole, zauważył, że Pauł przypatruje się jego nerwowemu tikowi, schował rękę.

— Może masz coś o całej populacji Arrakis— powiedział Pauł.

— Tak, owszem — odparł Yueh. — Ludność dzieli się na dwie główne warstwy:

Fremenów, oni stanowią jedną grupę, i pozostałych, czyli mieszkańców grabenu, niecki i panwi. Mówiono mi, że mieszane małżeństwa zdarzają się między nimi. Kobiety z osad grabenu i panwi wolą mężów Fremenów: ich mężczyźni wolą za żony Fremenki. Mają tam porzekadło: „Blichtr płynie z miast, mądrość z pustyni".

— Czy masz ich na zdjęciach?

— Postaram się coś dla ciebie znaleźć. Najciekawszą cechą, oczywiście, są ich

oczy, całkowicie błękitne., bez białek.

— Mutacja?

— Nie, to się wiąże z nasyceniem krwi melanżem.

— Fremeni muszą być dzielni, skoro żyją na skraju pustyni.

39

— Wszystko na to wskazuje — powiedział Yueh. — Oni układają ody do swych noży. Ich kobiety są równie szalone jak mężczyźni. Nawet dzieci Fremenów są gwałtowne i niebezpieczne. Przypuszczam, że nie będzie ci wolno zadawać się z nimi.

Pauł nie spuszczał oczu z Yuego, odkrywając w tych paru migawkach p Fremenach wyzierającą ze słów potęgę, która przykuła całą jego uwagę. Cóż za sojusznicy do pozyskania!

— A czerwie? — zapytał.

— Co?

— Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o czerwiach pustyni.

—— Aaaach, niewątpliwie. Mam księgofilm z małym osobnikiem, zaledwie sto dziesięć metrów długości i dwadzieścia dwa metry średnicy. Sfilmowano go w północnych szerokościach geograficznych. Wiarygodni świadkowie donoszą o czerwiach długości ponad czterystu metrów, a są powody, by wierzyć w istnienie jeszcze większych.

Pauł zerknął na rozłożoną na stole mapę północnych szerokości Arrakis w rzucie stożkowym. /

— Pas pustyni i południowe regiony podbiegunowe zaznaczono jako bezludne. Czerwie? ^

— I samumy.

— Lecz każde miejsce można przystosować dla ludzi.

— Jeśli to ekonomicznie wykonalne — powiedział Yueh. — Arrakis ma mnóstwo kosztownych zagrożeń.
Przygładził obwisłe wąsy.

— Zaraz tu będzie twój ojciec. Nim odejdę, chcę ci dać upominek, coś, na co natknąłem się przy pakowaniu.

Położył na stole czarny prostokąt nie większy od koniuszka kciuka Paula. Pauł spojrzał na przedmiot. Widząc, że chłopiec po niego nie sięga, Yueh pomyślał: jakiż on ostrożny.

— To bardzo stara Biblia Protestancko-Katolicka, sporządzona dla podróżujących w kosmosie. Żaden księgofilm; prawdziwy druk, na papierze włókiennym. Ma własny powiększalnik i instalację ładunku elektrostatycznego. — Wziął Biblię do ręki: zademonstrował. — Ładunek utrzymuje książkę w pozycji zamkniętej, przeciwdziałając sprężynie rozwieracza okładek. Naciskasz krawędź — o, tak — i wybrane przez ciebie stronice odpychając się wzajemnie otwierają książkę.

— Jakie to maleńkie.

— Ale ma tysiąc osiemset stron. Przy czytaniu naciskasz krawędź — tak i tak — i ładunek przechodzi do przodu, strona po stronie. Nigdy nie dotykaj palcami samych stronic. Splot włókien jest zbyt delikatny. . n

Zamknął książeczkę, wręczył ją Paulowi. . •«

— Spróbuj.

Przyglądając się, jak Pauł manipuluje regulacją stronic, Yueh pomyślał: robię to dla spokoju własnego sumienia. Darowuję mu religijne moratorium, zanim go zdradzę. Żebym mógł sobie powiedzieć, że on odszedł tam, dokąd ja pójść nie mogę.

40

— Musiano ją zrobić jeszcze przed księgofilmami — powiedział Pauł.

— Ma swoje lata. Niech to pozostanie naszą tajemnicą, co? Twoi rodzice mogliby uważać, że jest zbyt drogocenna dla kogoś tak młodego.

I Yueh pomyślał: jego matka niewątpliwie zastanowiłaby się nad moimi motywami.

— Cóż... — Pauł zamknął książkę, trzymając ją w dłoni. — Jeżeli jest tak cenna...

— Potraktuj to jako kaprys starego człowieka'— powiedział Yueh. — Dano mi ją, kiedy byłem bardzo młody. — Muszę złowić go zarówno na ducha, jak i na zachłanność — pomyślał.

— Otwórz ją na czterysta sześćdziesiątej siódmej stronie Kalimy, na słowach:

„Z wody powstaje wszelkie życie". Miejsce jest zaznaczone lekką rysą na -krawędzi

okładki. ' '

Pauł pomacał okładkę wykrywając dwie rysy, w tym jedną płytszą. Nacisnął ją i książeczka otworzyła mu się w dłoni, powiększalnik najechał na swoje miejsce.

— Przeczytaj na głos — powiedział Yueh.
Pauł zwilżył wargi i zaczął czytać:

— „Zastanówcie się nad faktem, że głuchy nie słyszy. A zatem jakaż to głuchota jest udziałem nas wszystkich? Jakich brakuje nam zmysłów, że nie widzimy i nie słyszymy innego świata, który nas otacza. Cóż jest takiego wokół nas, że nie..."

— Zamilcz! — wycharczał Yueh.

Pauł przerwał wpatrując się w niego ze zdumieniem. Yueh zamknął powieki starając się odzyskać panowanie nad sobą. — Jakiż zły duch rozchylił książkę na ulubionym wersecie mojej Wanny? — Otworzył oczy i napotkał wlepione w siebie spojrzenie Paula.

— Przepraszam — powiedział. — To był ulubiony werset... mojej... zmarłej

żony. Chciałem, żebyś przeczytał zupełnie inny. Ten budzi... bolesne wspomnienia.

— Są dwie rysy — powiedział Pauł.,

Naturalnie — pomyślał Yueh. — Wanna zaznaczyła swój ulubiony passus. Jego palce są wrażliwsze od moich i odnalazły jej znaki. Ślepy przypadek, nic więcej.

— Możliwe, że książka cię zainteresuje — powiedział. — Jest w niej sporo historycznej prawdy, jak również zdrowej etyki filozoficznej.

Pauł popatrzył z góry na książeczkę — co za maleństwo. A jednak mieściła w sobie tajemnicę...-coś się stało, kiedy z niej-czytał. Poczuł, jak coś targnęło jego strasznym przeznaczeniem.

— Lada chwila przyjdzie tu twój ojciec — powiedział Yueh. — Odłóż Biblię, sięgaj po nią w wolnej chwili.

Pauł dotknął krawędzi okładek tak, jak pokazywał mu Yueh. Książka zamknęła się. Wsunął ją pod bluzę. Po tym, jak Yueh na niego ryknął, obawiał się przez moment, że doktor zażąda oddania książki.

— Dziękuję ci za twój dar, doktorze Yueh — powiedział oficjalnym tonem. — Będzie on naszą tajemnicą. Jeżeli jest coś, czego pragniesz ode mnie, jakiś podarunek

czy przysługa, proszę, nie wahaj się tego wymienić.

— Ja... nie potrzebuję niczego — odparł Yueh. Po co tu stoję znęcając się nad

parnym sobą? — myślał. I torturując tego nieszczęsnego chłopca... chociaż on jeszcze o niczym nie wie. Oooch! Przeklęte harkonneńskie bestie! Dlaczego właśnie mnie wybrały na swego złego ducha?

//

Jak podejść do studiów nad ojcem Muad'Diba? Człowiekiem nadzwyczajnej serdeczności, a zarazem zaskakująco oziębłym był książę Leto Atryda. Jednakże wiele faktów otwiera drogę do tego księcia: bezgraniczna miłość do jego pani Bene Gesserit; marzenia, jakie roił w imieniu swego syna: oddanie, z jakim służyli mu ludzie. Oto on — mężczyzna usidlony przez los, samotna postać, której blask przygasł, przesłonięty chwałą syna. Atoli trzeba postawić pytanie: Czymże jest svn. jak nie przedłużeniem ojca? „ ,,_. , ..., , . . ,., ,
Z „Muad Dib. uwagi o rodzinie pióra księżniczki Irutan

Paul śledził wkroczenie ojca do sali treningowej, patrzył, jak straż przyboczna rozstawia się za drzwiami. Jeden z ludzi zamknął drzwi.

Paul jak zawsze wyczuwał w ojcu kwintesencję obecności, kogoś całkowicie obecnego tu, gdzie jest. Książę był wysoki, cerę miał oliwkową.1 Ostrość rysów jego pociągłej twarzy łagodziły jedynie ciemnoszare oczy. Nosił czarny polowy mundur z czerwonym jastrzębiem herbowym na piersi. Jego wąską talię opinał posrebrzany pas tarczy, pokryty patyną od częstego używania.

— Bardzo jesteś zajęty, synu? "

Doszedłszy do stołu w kształcie L rzucił okiem na rozłożone tam papiery, omiótł pokój spojrzeniem i zatrzymał je na Paulu. Był zmęczony, wyczerpany ciągłym ukrywaniem tego zmęczenia. Muszę wykorzystać każdą okazję, by odpocząć w czasie podróży na Arrakis — pomyślał. — Tam nie będzie już takiej okazji.

— Nie bardzo — powiedział Paul. — Wszystko jest takie... — wzruszył ramionami.

— Tak. Więc jutro odlatujemy. Dobrze będzie urządzić się już w nowym domu i zostawić za sobą cały ten kram.

Paul kiwnął głową, znienacka przytłoczony wspomnieniem słów Matki Wielebnej: „...dla ojca — nic". ~

— Ojcze — powiedział — czy Arrakis jest tak groźna, jak wszyscy mówią?
Książę zmusił się do niedbałego gestu, przysiadł na skraju stołu, uśmiechnął się. W jego umyśle powstał gotowy schemat rozmowy — coś, co mogłoby posłużyć zagrzaniu ludzi przed bitwą. Schemat zamarł, nim został ubrany w słowa, pod wpływem myśli: to jest mój syn.

— Jest groźna — przyznał.

— Hawat mówi, że mamy plany wobec Fremenów — powiedział Paul, Dlaczego nie powtórzę mu, .co mówiła stara? — nie mógł pojąć. — W jaki sposób zamknęła mi usta?

Książę zauważył przygnębienie syna i powiedział:

— Hawat jak zwykle widzi tylko główną szansę. A to nie wszystko. Ja widzę również Konsorcjum Honnete Ober Advancer Mercantiies — kompanię KHOAM. Dając mi Arrakis Jego Wysokość jest zmuszony dać nam mandat do zarządu KHOAM... korzyść nie bez znaczenia.

— KHOAM kontroluje przyprawę — powiedział Pauł.

— Zaś Arrakis z jej przyprawą jest naszą bramą do KHOAM — mówił dalej

książę. —KHOAM to coś więcej niż melanż.

— Czy ostrzegała cię Matka Wielebna? — nie wytrzymał Pauł. Zacisnął śliskie od potu dłonie w pięści. Od wysiłku, jakiego potrzebował, by zadać to pytanie.

— Hawat opowiadał, że nastraszyła cię ostrzegając przed Arrakis — rzekł książę. — Nie pozwól, by kobiece lęki zamąciły ci w głowie. Nie ma kobiety, która by chciała narazić na niebezpieczeństwo swoich bliskich. A w tych przestrogach widzę dłoń twej matki. Potraktuj je jako przejaw jej miłości do nas.

— Czy ona wie o Fremenach?

— Tak, i o wielu innych sprawach.

— O czym jeszcze?

Prawda mogłaby okazać się gorsza, niż on sobie wyobraża — pomyślał książę — ale nawet groźne fakty są cenne dla kogoś, kogo nauczono sobie z nimi radzić. I to jest właśnie ta dziedzina, w której niczego nie oszczędzono memu synowi: jak radzić sobie z niebezpiecznymi faktami. Trzeba to jednak złagodzić, jest młody.

— Niewiele produktów omija KHOAM — powiedział. — Dłużyca, osły, konie, krowy, tarcica, obornik, rekiny, skóry wielorybie — najpospolitsze i najbardziej egzotyczne...nawet nasz skromny ryż pundi z Kaladanu. Gildia przewiezie jak leci dzieła '• sztuki z.Ekaz, maszyny z Richesse i z lx. Wszystko zaś blednie przy melanżu. Za garść przyprawy kupisz dom na Tupile. Jej się nie da wyprodukować, ją się musi wydobywać na Arrakis. Jest unikalna i ma autentyczne właściwości leku geriatryczne-

go.

— I teraz my nią dysponujemy?

— Do pewnego stopnia. Lecz ważne jest,'by brać pod uwagę wszystkie rody zależne od dochodów KHOAM. Nie zapominaj o astronomicznej skali tych zysków płynących z obrotu tylko jednym towarem — przyprawą. Wyobraź sobie, co by się stało. gdyby 7- jakiegoś powodu spadło wydobycie przyprawy.

— Ktokolwiek zgromadził zapasy melanżu, byłby wygrany. Wszyscy inni pozostają na lodzie.

Książę pozwolił sobie na moment ponurej satysfakcji spoglądając na syna — doceniał przenikliwość i naukową rzetelność jego spostrzeżenia. Potwierdził skinieniem

głowy.

—Harkonnenowie gromadzą zapasy od, ponad dwudziestu lat.

— Chodzi im o zmniejszenie wydobycia przyprawy i zrzucenie winy na ciebie.

— Chcą, aby imię Atrydów stało się niepopularne — powiedział książę. — Pomyśl o rodach Landsraadu. które mnie w pewnej mierze uważają za swego przywódcę, nieoficjalnego rzecznika. Pomyśl, jak by one zareagowały, gdyby się okazało, że jestem odpowiedzialny za poważny spadek ich dochodów. Ostatecznie bliższa koszula ciału i do diabła z Wielką Konwencją! Nie pozwolimy, by ktoś nas rujnował! Nieprzyjemny uśmiech wykrzywił wargi księcia. — Odwróciliby się tyłem bez względu na to, jak by

mnie wykańczano.

— Nawet gdyby zaatakowano nas bronią jądrową?

—Po co aż taki skandal. Po cóż otwarcie gwałcić Konwencję. Lecz ppza tym

prawie wszystkie chwyty dozwolone... może nawet pył radioaktywny i lekkie zatrucie gleby. .

— Więc dlaczego się w to pakujemy?

— Pauł! — książę z dezaprobatą spojrzał na syna.— Pierwszy krok do ominięcia pułapki to uświadomić sobie, gdzie ona jest. To przypomina pojedynek, synu, tylko na większą .skalę: finta wewnątrz finty w fincie...pozornie bez końca. Trzeba to rozwikłać. Wiedząc, że Harkonnenowie gromadzą zapasy melanżu, stawiamy kolejne pytanie: kto jeszcze to robi? Odpowiedź daje listę naszych wrogów.

— Kto?

— O niektórych rodach wiemy, że są nam nieprzyjazne, niektóre uważ-amy,za przyjazne. Nie musimy brać ich pod uwagę w tej chwili, ponieważ jest ktoś inny nieporównanie ważniejszy: nasz ukochany Padyszach Imperator.

Pauł próbował przełknąć nagłą suchość w ustach.

— Nie mógłbyś zwołać Landsraadu, ujawnić...

— Ujawnić swojemu przeciwnikowi, że wiemy, w której, ręce ma nóż? Ależ, Pauł, teraz, my ten nóż widzimy. Kto wie, gdzie może następnie zostać przerzucony? Przedkładając to Landsraadowi wywołamy jedno wielkie zamieszanie. Imperator zaprzeczy. Któż by mu zadał kłam? Zyskalibyśmy jedynie trochę czasu ryzykując chaos. • A skąd by wyszedł następny atak? ' .

— Wszystkie rody mogłyby zacząć gromadzić zapasy przyprawy.'

— Przeciwnicy wcześniej wystartowali, mają za dużą przewagę, by ich prześcignać.

— Imperator — powiedział Pauł. — To znaczy sardaukarzy.

— Przebrani w mundury Harkonnenów, rzecz jasna — dodał książę. — Ale fanatyczni żołnierze tym niemniej.

— Co mogą nam pomóc Fremeni przeciwko sardaukarom?

— Hawat mówił ci o Salusa Secundus?

— Więziennej planecie Imperatora? Nie. • '

— A jeżeli jest ona czymś więcej niż więzieniem Imperatora, Pauł? Istnieje takie

nigdy nie postawione głośno pytanie dotyczące Korpusu Imperialnego Sardaukarów:

skąd oni się biorą?

— Z więziennej planety?

— Skądś pochodzą. »

— A owe posiłkowe zaciągi wymagane przez Imperatora od...

— W to właśnie mamy wierzyć, że sardaukarzy są po prostu rekrutami Impera-
tora, od młodych lat szkolonymi do perfekcji. Słyszy, się sporadyczne plotki o szkole-
niowych kadrach Imperatora, lecz równowaga naszej cywilizacji się nie zmienia: po
jednej stronie siły militarne wyższych rodów Landsraadu, sardaukarzy i ich posił-
kowe zaciągi po drugiej. I ich posiłkowe zaciągi, Pauł. Sardaukarzy są sardaukarami.

— Ale wszystkie doniesienia o Salusa Secundus mówią, że planeta jest piekłem!

— Niewątpliwie jest. Lecz gdybyś zamierzał wychować ludzi twardych, moc-
nych, zaciekłych, to jakie warunki środowiska naturalnego byś im stworzył?

— Jak można zyskać lojalność takich ludzi?

— Są na to wypróbowane sposoby: wygrywanie ich oczywistej świadomości,

że są lepsi, mistycyzm tajnego przymierza, duch wspólnie dzielonej niedoli. To się da
zrobić. To się dało zrobić na wielu planetach w wielu okresach.

Pauł przytaknął ruchem głowy, ani na moment nie odrywając wzroku od twarzy

ojca. Czuł, że zanosi się na jakąś rewelację.

' — Weźmy Arrakis — mówił książę —jeśli wyjść poza miasta i osady garnizo-
nowe. jest ona nie mniej strasznym miejscem od Salusa Secundus.
Paulowi rozszerzyły się źrenice.

— Fremeni!

— Mamy tam potencjalny korpus równie silny i straszliwy jak sardaukarzy.

Trzeba będzie cierpliwości, by ich potajemnie wykorzystać oraz majątku na odpowied-
nie ich wyposażenie. Ale Fremeni tam są i jest tam przyprawowe bogactwo. Rozu-
miesz teraz, dlaczego pakujemy się w Arrakis wiedząc, że jest ona pułapką?

— Czy Harkonnenowie nie wiedzą o Fremenach?

— Harkonnenowie naigrawali się z Fremenów, polowali na nich dla sportu,
nigdy nie zadając sobie trudu, by ich chociażby policzyć. Znamy politykę Harkon-
nenów wobec ludności planet: jak najmniej łożyć na jej utrzymanie.

Metaliczne nitki w godle jastrzębia na piersi ojca Paula zalśniły, kiedy książę

zmieniał pozycję.

— Teraz rozumiesz?

— Obecnie prowadzimy negocjacje z Fremenami — powiedział Pauł.

— Wysłałem misję pod dowództwem Duncana Idaho — potwierdził książę. —
Dumny i bezwzględny człowiek ten Duncan, ale rozmiłowany w prawdzie. Myślę, że
Fremeni będą go podziwiać. Przy odrobinie szczęścia może i nas osądzą według nie-
go: Duncan bez skazy.

— Duncan bez skazy — powtórzył Pauł — i Gurney waleczny.

— Trafnie ich nazywasz — powiedział książę. Zaś Pauł pomyślał: Gurney jest
jednym z tych, których miała na myśli Matka Wielebna, mówiąc o „waleczności dziel-
nych", on jest obrońcą światów.

— Gurney mówił, że byłeś dzisiaj dobry w fechtunku — rzekł książę..

— Mnie powiedział co innego.
Książę roześmiał się na całe gardło.

— Domyślam się, że Gurney jest skąpy w pochwałach. Mówi, że posiadasz finezyjne wyczucie różnicy — to jego własne słowa — pomiędzy ostrzem a sztychem.

— Gurney uważa, że nie ma artyzmu w zabiciu sztychem, że należy to zrobić

ostrzem klingi.

— Gurney jest romantykiem — mruknął książę. To gadanie syna o zabijaniu

nagle go zdenerwowało. — Wolałbym, żebyś nigdy nie musiał zabijać...ale gdy zaistnieje potrzeba, zrób to, jak się da — sztychem czy ostrzem, wszystko jedno.

Popatrzył w górę na świetlik, o który dzwonił deszcz. Idąc za spojrzeniem ojca Paul pomyślał o mokrych niebiosach nad głową, rzeczy według wszelkich danych nigdy nie spotykanej na Arrakis i ta refleksja o niebiosach wywiodła go duchem w przestrzeń poza nimi.

— Czy statki Gildii rzeczywiście są ogromne?
Książę przyjrzał się synowi.

— Pierwszy raz opuścisz planetę — powiedział. — Tak, są duże. Polecimy galeonem, bo droga daleka. Galeon jest rzeczywiście ogromny. Wszystkie nasze fregaty i pojazdy dadzą się wcisnąć w maleńki zakamarek ładowni; będziemy zaledwie drobnym podpunktem w manifeście statku.

—• l nie będziemy mogli opuścić naszych fregat?

— To wchodzi w cenę płaconą za gwarancje Gildii. Obok nas mogłyby leżeć statki Harkonnesów i nic nam by nie groziło z ich strony. Harkonnenowię nie są tacy głupi, by narażać swoje przywileje przewozowe.

— Będę obserwował nasze ekrany i spróbuję wypatrzyć Gildianina.

— Nie wypatrzysz. Gildianina nie widzieli nawet jego właśni agenci. Gildia strzeże swego odosobnienia równie zazdrośnie jak monopolu. Nie rób niczego, co by zaszkodziło naszym przywilejom przewozowym, Paul.

— Myślisz, że oni chowają się, ponieważ ulegli mutacji i już nie wyglądają jak ludzie?

— Kto wie? —książę wzruszył ramionami. — Tej zagadki chyba nie rozwiążemy. Mamy bardziej palące problemy, wśród nich ciebie.

— Mnie? . ' ;

— Matka chciała, abym to ja ci o tym powiedział, synu. Widzisz...ty prawdopodobnie posiadasz zdolności mentata.

Paul wytrzeszczył oczy na ojca. nie mogąc przez moment wydobyć głosu.

— Mentata? Ja? Ale ja...

— Hawat to potwierdza, synu. To prawda.

— Ale ja sądziłem, że szkolenie mentata musi się zaczynać w okresie niemowlęcym i nie wolno mu o tym powiedzieć, gdyż mogłoby to powstrzymać początkowe...

Urwał, bo wszystko co do tej pory przeżył, ześrodkowało się w jednej błyskawicznej kalkulacji.

—• Tak — powiedział.

—: Przychodzi dzień — rzekł książę — kiedy potencjalny mentat musi się dowiedzieć, co się dzieje. To już się dalej nie może dziać bez niego. Mentat musi współuczestniczyć w podjęciu decyzji, czy iść dalej, czy dać sobie spokój ze szkoleniem. Jedni są w stanie iść dalej, inni nie. Jedynie potencjalny mentat może znaleźć w sobie właściwą odpowiedź.

Paul potarł brodę. Wszystkie dodatkowe nauki Hawata i matki — mnemonika, koncentracja świadomości, opanowanie mięśni, wyostrzenie zmysłów, języki i niuanse głosów — to wszystko zaskoczyło w nowego rodzaju świadomość wewnątrz jego umysłu.

'•— Pewnego dnia zostaniesz księciem, synu — powiedział jego ojciec. — Książę mentat — to byłoby wspaniałe. Czy możesz się zdecydować teraz...czy potrzeba ci trochę czasu?

W odpowiedzi Paula nie było wahania.

— Będę się dalej szkolił.

— Zaiste wspaniale — wyszeptał książę i Paul zobaczył uśmiech dumy na obliczu ojca. Wstrząsnął nim ten»uśmiech. Ze szczupłej twarzy księcia wyjrzała szczerząca zęby czaszka. Paul zamknął oczy czując, jak budzi się w nim ponownie jego strasz-

ne przeznaczenie. Może bycie mentatem jest straszliwym przeznaczeniem — pomyślał. Lecz nawet kiedy się uczepił tej myśli, jego nowa świadomość zaprzeczyła temu.

Z pojawieniem się lady Jessiki na Arrakis w pełni zaowocował system Bene Gesserit rozsiewania za pośrednictwem Missionaria Protectiva mitotwórczych ziaren. Od dawna doceniano mądrość w omotaniu znanego wszechświata siatką proroctw mającą chronić personel Bene Gesserit, ale nigdy nie widzieliśmy condicio-ut-extremis z idealniejszym połączeniem osoby i przygotowanego gruntu. Prorocze legendy przyjęły się na Arrakis do tego stopnia, że przyswojono je z etykietami (łącznic z Matką Wielebną, suplikacjami i responsem oraz większością Szari-a z panoplia propheticus). Uważa się też teraz powszechnie, że utajone zdolności lady Jessiki zostały skandalicznie nie docenione.

/ ..An;iti/\: Kry/ys Arrak.iński" pióra księżniczki Irulan (Obieg prywatny: numer katalogu B.Ci.: AR 81088587).

Wszędzie wokół lady Jessiki — zwalony w rogach ogromnego arrakińskiego westybulu, spiętrzony na dziedzińcu — zalegał spakowany dorobek ich życia: pudła, kufry, kartony, skrzynie, niektóre częściowo rozpakowane. Słyszała, jak tragarze z miejscowej spedycji Gildii składają u wejścia kolejny ładunek.

Jessika stała pośrodku westybulu. Powolutku zaczęła się obracać w miejscu, wodząc wzrokiem po ocienionych rzeźbieniach u góry, po pęknięciach i głębokich wnękach okiennych dokoła. Swym anachronicznym ogromem pomieszczenie przypominało jej refektarz żeński w szkole Bene Gesserit. Tylko że w szkole sprawiało to przytulne wrażenie. Tutaj nic jeno zimny kamień. Jakiś architekt sięgnął do bardzo odległej historii po te ścienne przypory i mroczne draperie, pomyślała. Dwa piętra ponad nią wznosiły się sklepienia sufitu z olbrzymimi belami rozporowymi, które — była pewna — zostały przywiezione na Arrakis z przestrzeni kosmicznej za monstrualną

cenę. Żadna planeta tego systemu nie zrodziła drzew na wyrobienie takich belek,
chyba że były one imitacją drewna. Nie wydawało jej się to prawdopodobne. Znajdo-
.wała się w rządowej rezydencji z okresu Starego Imperium. Wtedy koszty nie miały
większego znaczenia. Wszystko to zostało wzniesione przed Harkonnenami i ich nową
metropolią Kartagin — tandetnym i jarmarcznym miastem za Ziemią Skalistą, jakieś
dwieście kilometrów na północny wschód. Mądrze postąpił Leto wybierając to miejsce
na siedzibę swego rządu. Nazwa Arrakin miała dobre, wypełnione tradycją brzmie-
nie. I miasto było mniejsze, łatwiejsze do zaprowadzenia porządku i obrony.\

Ponownie rozległ się łoskot wyładowywanych w bramie skrzyń. Jessika wes-
. tchnęła. Na prawo od niej stał oparty o pudło portret ojca księcia. Poszarpany sznu-
rek pakowy zwisał z niego niczym ozdoba. Kawałek tego sznurka ciągle jeszcze tkwił
w zaciśniętej dłoni Jessiki. Obok malowidła leżała czarna głowa byka zamocowana
na wypolerowanej desce. Głowa tworzyła ciemną wyspę w morzu, papierowych opa-
kowań. Leżała deską do podłogi i lśniące nozdrza byka sterczały ku sufitowi, jakby
zwierzę miało za chwilę ryknąć i rzucić wyzwanie w tę rozlegającą się echem salę.
Jessika zastanawiała się, pod wpływem jakiego nakazu odpakowała najpierw te dwie
rzeczy — głowę i malowidło. Wiedziała, że w jej działaniu było coś symbolicznego.
Od dnia, w którym nabywcy księcia zabrali ją ze szkoły, nigdy jeszcze nie czuła się
tak wystraszona i niepewna siebie.

47

Głowa i malowidło.

Oba przedmioty potęgowały w niej uczucie zagubienia. Zadrżała podnosząc oczy
na wysoko umieszczone okna szczelinowe. Nadal było wczesne popołudnie i w tych
szerokościach geograficznych niebo wydawało się czarne i zimne, o ileż ciemniejsze
od ciepłego błękitu nad Kaladanem. Przeszył ją dreszcz nostalgii. Jakże daleko od
Kaladanu.

— Jesteś!

Głos należał do księcia Leto. Odwróciła się błyskawicznie i ujrzała, jak przekra-
cza łukowe przejście z sali jadalnej. Jego czarny mundur polowy z czerwonym jastrzę-
biem na piersi sprawiał wrażenie zakurzonego i wymiętego.

— A już myślałem, że się zgubiłaś w tej szkaradnej siedzibie — powiedział.

— Zimno tu — odparła. Patrzyła na jego wysoką postać, na ciemną cerę, przy-
wodzącą jej na myśl gaje oliwne i złote promienie słońca na lazurowej toni. Szarość
jego oczu przypominała dym ogniska, ale twarz była drapieżna: wąska, pełna ostrych
kątów i powierzchni. Pierś jej ścisnął nagły strach przed nim. Stał się brutalny i bez-
względny, od kiedy zdecydował się usłuchać rozkazu Imperatora.

— Całe miasto jest odpychająco zimne — dodała.

— To brudna, zapiaszczona mała garnizonowa mieścina — zgodził się. — Ale
zmienimy ją. — Rozejrzał się po sali. — To są pomieszczenia publiczne dla oficjal-
nych uroczystości. Dopiero co oglądałem apartamenty mieszkalne w południowym
skrzydle. Są o wiele milsze.

Podszedł bliżej i dotknął jej ramienia, napawając się jej majestatycznym wyglą-
dem. I po raz któryś z kolei zastanowił się nad tajemnicą jej pochodzenia — może ja-
kiś ród renegacki? Jakaś czarna owca w rodzinie królewskiej? Wygląd miała bardziej'
królewski niż własne potomstwo Imperatora. Pod naciskiem jego spojrzenia na wpół
odwróciła się od niego, ukazując profil. Zdał sobie sprawę, że jej uroda nie skupiła się
w żadnym określonym szczególe. Owalna twarz pod kopułą włosów koloru wypolero-
wanego brązu. Szeroko rozstawione oczy, zielone i przejrzyste jak poranne niebo nad
Kaladanem. Nos mały, usta szerokie i pełne. Zgrabna choć szczupła — jej okrągłości
niknęły przy wysokiej, smukłej figurze. Przypomniał sobie, że zatrudnione w szkole

siostry przezywały ją chudzielcem, jak mu powiedzieli jego agenci handlowi. Ale ten jej obraz był przesadnym uproszczeniem. Jessika ponownie wniosła królewskie piękno do rodu Atrydów. Cieszył się, że Pauł ją uwielbia.

— Gdzie Pauł? — zapytał.

— Ma lekcję z Yuem gdzieś w budynku.

— Pewnie w południowym skrzydle — powiedział. — Wydawało mi się, że słyszę głos Yuego, ale nie miałem czasu tam zajrzeć.
Zerknął na nią spod oka, z wahaniem.

— Właściwie wpadłem tutaj tylko po to, by zawiesić klucz od Zamku Kaladańskiego w sali jadalnej.

Zaparło jej dech, o mało nie wyciągnęła rąk do niego. Zawieszenie klifcza — w czynności tej była ostateczność. Lecz ani pora, ani miejsce nie sprzyjały dodawaniu sobie wzajemnie otuchy.

— Widziałam naszą flagę na dachu, jak wchodziliśmy — powiedziała.

Rzucił okiem na'portret swego oJca.

— Gdzie zamierzałaś to powiesić?

— Gdzieś tutaj.

— Nie.

Słowo zabrzmiało sucho i nieodwołalnie i zrozumiała, że tylko uciekając się

do wybiegu mogła mu to wyperswadować, bo otwarty spór niczego tu nie da. Mimo to musiała próbować, choćby akt ten miał jej tylko przypomnieć, że księcia nie

oszuka.

— Panie mój ^— odezwała się — gdybyś tylko...

— Odpowiedź niezmiennie brzmi: nie. Aż wstyd, jak ci prawie we wszystkim ustępuję, ale w tej sprawie nie ustąpię. Wracam właśnie z jadalni, gdzie są... -

— Panie mój! Błagam. .

— Wybór jest pomiędzy twoją niestrąwnością a moją dumą rodową, moja droga — powiedział. — Będą wisiały w jadalni.
Westchnęła.

— Tak, mój panie.

— Możesz wrócić do zwyczaju jadania w swoich pokojach, kiedy to będzie możliwe. Oczekuję cię na przynależnym ci miejscu jedynie przy oficjalnych okazjach.

— Dziękuję, mój panie.

— I daj spokój z całą tą oziębłością i oficjalnym tonem! Bądź wdzięczna, ze się

z tobą nigdy nie ożeniłem. Wtedy siedzenie ze mną za stołem przy każdym posiłku

byłoby twoim obowiązkiem.

Twarz jej pozostała nieruchoma, skłoniła głowę.

— Hawat umieścił już nasz własny wykrywacz trucizny nad stołem w jadalni —

powiedział. — W twoim pokoju znajduje się przenośny.

— Przewidywałeś ten...konflikt — powiedziała.

— Moja droga, myślę też o twojej wygodzie. Nająłem służbę. Miejscowi, ale Ha-
' wat dobrał ich starannie — wszyscy są'Fremenami. Wystarczą do czasu, kiedy bę-
dziemy mogli zwolnić naszych ludzi z innych obowiązków.

— Czy komukolwiek stąd można ufać?

— Każdemu, kto nienawidzi Harkonnenów. Może nawet zechcesz • zatrzymać

na stałe ochmistrzynię, nazywa się Szadout Mapes. ,

— Szadout — powtórzyła Jessika. — Fremeński tytuł?

— Powiedziano mi, że to znaczy „czerpiąca ze studni"; ma to raczej ważne tutaj
podteksty. Może nie zrobić na tobie wrażenia typowej służącej, ale Hawat wyraża się
o niej z uznaniem na podstawie raportów Duncana. Obaj są przekonani, że ona pra-
gnie u nas służyć, dokładniej: pragnie służyć tobie.

— Mnie?

— Fremeni dowiedzieli się, że jesteś Bene Gesserit — powiedział. — Tutaj krą-
żą'legendy o Bene Gesserit.

Missionaria Protectiva — pomyślała Jessika. — Nie ominą żadnego miejsca.

— Czy to znaczy, że Duncanowi się powiodło? — spytała. — Czy Fremeni zo-
staną naszymi sojusznikami?

—— To jeszcze nic pewnego — powiedział. — Duncan uważa, że chcą się nam tro-

chę przypatrzeć. Obiecali jednakże wstrzymać się od nalotów na nasze pograniczne
osady na czas obecnego rozejmu. Ma to większe znaczenie, niż mogłoby się wydawać.
Hawat mowy, że Fremeni byli jak cierń wbity głęboko w bok Harkonnenów, że roz-
miary ich najazdów stanowiły pilnie strzeżoną tajemnicę. Imperator nie piałby z za-
. chwytu na wieść o wojskowej niewydolności Harkonnenów.

— Ochmistrzyni Fremenka — zadumała się Jessika, wracając do tematu Sza-
dout Mapes. — Całe oczy będzie miała błękitne.

— Nie daj się zwieść wyglądem tych ludzi — powiedział książę. — Tkwi w nich
głęboko siła i zdrowa żywotność. Myślę, że mają wszystko, czego nam trzeba. \-

—— To niebezpieczna gra — powiedziała.

— Nie roztrząsajmy tego na nowo — uciął.
Uśmiechnęła się z wysiłkiem. •-

— To pewne, że kości zostały rzucone.

Zaaplikowała sobie skrócony obrzęd uspokojenia — dwa głębokie oddechy, rytualny namysł. Po chwili spytała:

— Czy jakiś pokój mam zatrzymać specjalnie dla ciebie?

— Któregoś dnia musisz mnie nauczyć, jak to się robi-— powiedział. — W jaki sposób odsuwasz na bok troski i zabierasz się do zajęć praktycznych. To musi być coś z Bene Gesserit.

— To coś kobiecego — powiedziała.
Uśmiechnął się.

— A więc przydzielamy pokoje: nie zapomnij o obszernym gabinecie dla mnie tuż przy sypialni. Tutaj będzie więcej papierkowej roboty niż na Kaladanie. Pokój na wartownię, oczywiście. To by było wszystko. Nie martw się o bezpieczeństwo rezydencji. Ludzie Hawata przeczesali ją skrupulatnie.

— Nie wątpię.

Rzucił okiem na zegarek.

— I mogłabyś dopilnować, aby wszystkie nasze chronometry przestawiono na miejscowy czas arrakański. Wyznaczyłem technika do tego zajęcia. Zjawi się lada chwila.

Odgarnął jej pasmo włosów z czoła.

— Muszę już wracać na lądowisko. Za moment spodziewamy się drugiego promu z odwodami personelu.

— Nie mógłby ich przyjąć Hawat, panie mój? Wydaje się, że jesteś bardzo zmęczony.

— Zacny Thufir jest jeszcze bardziej zapracowany niż ja. Wiem, że ta planeta jest dotknięta plagą intryg harkonneńskich. Poza tym muszę wyperswadować niektórym wyszkolonym poszukiwaczom chęć odjazdu. Mają opcję, rozumiesz, przy zmianie lenna, zaś ten planetolog ustanowiony przez Imperatora i Landsraad na Sędziego Zmiany nie da się kupić. Zezwala im optować. Około ośmiuset wyszkolonych

najemników czeka na odlot promem kosmicznym, a na orbicie czeka towarowiec^ Gildii.

— Panie mój... — urwała z wahaniem.

— Tak?

Nie da się odciągnąć od prób zapewnienia nam bezpieczeństwa na tej planecie — pomyślała. — A ja nie jestem w stanie użyć wobec niego swoich sztuczek.

— O której godzinie życzysz sobie, żeby podano obiad? — spytała.
Nie to chciała powiedzieć — pomyślał. — Ach, moja Jessiko, żebyśmy tak znaleźli się gdzieś indziej, gdziekolwiek, byle z dala od tego straszliwego miejsca — sami,

tylko we dwoje, bez żadnych zmartwień.

— Zjem w oficerskiej mesie na lądowisku — odparł. — Nie spodziewaj się mnie dziś wcześniej niż dopiero bardzo późnym wieczorem. I...och, wkrótce przyślę samochód strażniczy po Paula. Chcę, by wziął udział w naszej radzie strategicznej.

Odchrząknął, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, po czym obrócił się znienacka na pięcie i pomaszerował do wyjścia, skąd dochodziły odgłosy zwalania kolejnych skrzyń. Raz jeszcze doleciały stamtąd jego słowa, wypowiedziane tonem władczym i lekceważącym, jakim zawsze zwracał się do służby, kiedy się spieszył:

— Lady Jessika jest w Wielkiej Sali. Idź do niej natychmiast.

Usłyszała trzaśniecie drzwi wyjściowych.

Jessika odwróciła się, stając naprzeciwko portretu ojca Leto. Namalował go sławny artysta Albę, gdy Stary Książę był w średnim wieku. Sportretowany został w kostiumie matadora z purpurową peleryną przerzuconą przez lewe ramię. Twarz miał młodą, niewiele starszą od obecnej twarzy Leto, z tymi samymi drapieżnymi rysami, z tym samym spojrzeniem szarych oczu. Zacisnęła pięści u boków spoglądając z furią na obraz.

— Zgiń, przepadnij! Zgiń, przepadnij! Zgiń, przepadnij! — wyszeptała.

— Jakie są twoje rozkazy, szlachetnie urodzona?

Głos był kobiecy, cienki i metaliczny. Jessika odwróciła się i zmierzyła wzrokiem żylastą, siwowłosą kobietę w bezkształtnej, workowatej sukni koloru poddańczego brązu. Zauważyła, że kobieta jest pomarszczona i wyschnięta, jak wszyscy w tłumie witających ich tego ranka w drodze z lądowiska. Jessika pomyślała, że wszyscy tubylcy, jakich tu zobaczyła, sprawiają wrażenie zagłodzonych i wysuszonych jak śliwki. A mimo to Leto uważał, że są silni i żywotni. No i te oczy, jakżeby nie — ów nalot najgłębszego, najciemniejszego błękitu bez śladu białka — sekretne i tajemnicze. Jessika zmusiła się do odwrócenia wzroku. Kobieta sztywno skłoniła głowę.

— Nazywają mnie Szadout Mapes, szlachetnie urodzona. Czekam na twoje rozkazy.

— Możesz się do mnie zwracać „moja pani" — powiedziała Jessika. — Nie jestem szlachetnie urodzona. Jestem konkubiną przypisaną księciu Leto.

Znów ten dziwny skłon głowy, po którym kobieta przeszyła Jessikę chytrym, badawczym spojrzeniem.

— A więc ma żonę?

— Nie ma i nigdy nie miał. Ja jestem jedyną, ..towarzyszką księcia, matką jego prawowitego dziedzica.

Mówiąc to Jessika śmiała się w duchu z dumy kryjącej się za jej słowami. Co to powiedział święty Augustyn? — spytała samą siebie. „Umysł rozkazuje ciału i ono jest posłuszne. Umysł rozkazuje sobie samemu i natrafia na opór". Tak, ostatnio opór jest coraz silniejszy. Chciałabym zaszyć się w.mysiej dziurze.

51

Przedziwny krzyk rozległ się na drodze pod murami budynku.

— Suu-suu-suuk! Suu-suu-suuk! — Po czym: — Ikut-ej! Ikut-ej! — I znowu: — Suu-suu-suuk!

— Co to jest? — zapytała Jessika. — Słyszałam to kilka razy dziś rano, kiedy przejeżdżaliśmy ulicami.

— To po prostu sprzedawca wody, moja pani. Ale ty nie masz potrzeby interesować się takimi jak oni-. Masz tu cysternę mieszczącą pięćdziesiąt tysięcy litrów wody i pilnujemy, by była ona zawsze pełna.

Spuściła oczy na swoją suknię, i

— No proszę, spójrz tylko, moja pani, nawet hie muszę tutaj nosić swego filtr-fraka. — Zachichotała. — A przecież żyję!

Jessika wahała się — chciała wypytać tę Fremenkę, potrzebując informacji, które by stanowiły jakieś wskazówki. Lecz zaprowadzenie porządku na zamku było pilniejsze. Zmieszała się na myśl o tym, że woda stanowi główny miernik bogactwa.

— Mąż mówił mi o twym przydomku, Szadout. Rozpoznałam to słowo. Jest bardzo stare.

— Więc znasz stare języki? — spytała Mapes i czekała w dziwnym napięciu.

— Języki to pierwsza lekcja Bene Gesserit — powiedziała Jessika. — Znam Bhotani Dżib i Chakobsa, i wszystkie języki łowców.
Mapes kiwnęła głową.

— Tak jak głosi legenda.

Po co ja gram tę komedię? — zadawała sobie pytanie Jessika. Lecz zawiłe i zniewalające były ścieżki Bene Gesserit.

— Znam Mroczne Sprawy i drogi Wielkiej Macierzy — powiedziała Jessika. Dostrzegała coraz czytelniejsze sygnały w reakcjach i postawie Mapes, zdradzające ją drobne znaki.

— Miseces predżia — odezwała się w języku Chakobsa. — Andral t're pera! Trada cik buscakri miseces perakri...

Mapes zrobiła krok w tył, jakby gotując się do ucieczki.

— Wiem o wielu sprawach — powiedziała Jessika. — Wiem, że zrodziłaś dzieci i że straciłaś ukochane "osoby, że ukryłaś się w trwodze, że przelałaś krew i że ją jeszcze przelejesz. Wiem wiele rzeczy.

Mapes powiedziała cichym głosem:

— Nie chciałam cię obrazić, moja pani.

— Mówisz o legendach i poszukujesz odpowiedzi -Ł- powiedziała Jessika. — Strzeż się odpowiedzi, jakie możesz znaleźć. Wiem, że przyszłaś z bronią w zanadrzu, gotowa przelać krew.

— Moja pani, ja...

— Być może nawet moją — ciągnęła Jessika — lecz czyniąc to sprowadziłabyś więcej nieszczęścia, niż potrafisz sobie wyobrazić w swych najczarniejszych obawach. Są rzeczy gorsze od śmierci, nawet od śmierci całego ludu.

— Moja pani! — błagała Mapes. Wydawało się, że za chwilę padnie na kolana. — Broń przesłano jako dar dla c i e b i e, gdybyś się okazała Tą Jedyną.

— I jako narzędzie mej śmierci, gdyby się okazało inaczej — dodała Jessika. Cze-

kata pozornie rozluźniona, co czyniło wyszkolone Bene Gesserit tak straszliwymi w walce. Teraz zobaczymy, jaka będzie decyzja — pomyślała.

Z wolna Mapes sięgnęła za dekolt sukni i wyciągnęła ciemną pochwę. Wystawała z niej czarna rękojeść z głębokimi żłobieniami na palce. Ująwszy pochwę jedną dłonią, a rękojeść drugą, dobyła nóż i uniosła w górę mlecznobiałe ostrze. Wydawało się, że świeci ono i migoce własnym światłem. Dwusieczna jak chandżar klinga miała pewnie dwadzieścia centymetrów długości.

— A to znasz, moja pani? — zapytała Mapes.

To mogło być — jak wiedziała Jessika — tylko jedno, legendarny krysnóż Arrakis, ostrze, które nigdy nie opuściło planety, znane jedynie z pogłosek i fantastycznych plotek.

— To jest krysnóż.

— Nie wymawiaj tego tak niefrasobliwie — powiedziała Mapes. — Czy znasz

sens tego słowa?

W tym pytaniu jest haczyk — pomyślała Jessika. — To jest powód, dla którego

ta Fremenka przyjęła u mnie służbę — aby zadać to jedno pytanie. Moja odpowiedź może popchnąć na drogę przelewu krwi...albo...albo co? Ona żąda ode mnie odpowiedzi: co znaczy ten nóż. Ona nazywa się Szadout w języku Chakobsa. Nóż to w Chakobsa „śmierci stworzyciel". Zaczyna się denerwować. Muszę już odpowiedzieć. Zwłoka jest równie niebezpieczna jak niewłaściwa odpowiedź.

— To jest stworzyciel...

— Ejjiiii! — zaskowytała Mapes. W jej głosie był żal i jednocześnie uniesienie.

Dygotała tak silnie, że ostrze noża rzucało ogniste błyski na cały pokój. Jessika czekała w bezruchu. Zamierzała powiedzieć, że nóż jest stworzycielem śmierci,
•a następnie dorzucić starożytne słowo, lecz wszystkie zmysły ostrzegały ją teraz, jej cała dogłębnie wytrenowana czujność, wydobywająca znaczenia z najbardziej zdawkowego drgnienia mięśni.

Słowem-kluczem był... s t w o r z y c i e l. Stworzyciel? Stworzyciel. Ciągle jeszcze

Mapes trzymała nóż, jakby go miała za chwilę użyć.

— Sądziłaś — powiedziała Jessika — że ja, znająca tajemnice Wielkiej Macierzy, nie poznałabym stworzyciela?
Mapes opuściła nóż.

— Moja pani, kiedy obcuje się z proroctwem tak długi czas, chwila objawienia

jest szokiem.

Jessika pomyślała o proroctwie — o Szari-a i- całej panoplia propheticus, o jakiejś Bene Gesserit z Missionaria Protectiva zrzuconej tu całe stulecia temu, zapewne dawno już zmarłej, która jednak osiągnęła swój cel: zaszczepiła tym ludziom mit dla ochrony sióstr Bene Gesserit, gdyby pewnego dnia któraś znalazła się w opałach. Cóż, ten dzień nadszedł. Mapes wsunęła nóż z powrotem do pochwy.

— To jest nietrwałe ostrze, moja pani. Noś je przy sobie. Wystarczy, że będzie dłużej niż tydzień z dala od ciała, a zacznie się rozpadać. On jest twój, ten ząb shai-hu-

luda, na całe twoje życie. •

Jessika wyciągnęła rękę, zaryzykowała zagranie:

— Mapes, schowałaś bezkrwawe ostrze.

53

Mapes zaparło dech, upuściła nóż w pochwie na dłoń Jessiki i rozerwała brązo-
wy stanik zawodząc:

— Bierz wodę mojego życia!

Jessika wyjęła nóż z pochwy. Ależ lśnił! Skierowała czubek klingi w stronę Mapes
i zauważyła, jak kobietę ogarnia strach większy niż strach przed śmiercią. Czyżby
trucizna w sztychu? — pomyślała. Odchyliia sztych do góry, ostrzem klingi delikat-
• nie drasnęła Mapes nad lewą piersią. Wypłynęła gęsta krew, która prawie natychmiast

zakrzepła. Ultraszybka koagulacja — pomyślała Jessika. — Mutacja zatrzymująca
wilgotność? Wsunęła ostrze do pochwy.

— Zapnij sukienkę, Mapes — powiedziała.

Mapes usłuchała drżąc na całym ciele. Pozbawione ,białka oczy wlepione były
w Jessikę.

;— Nasza jesteś — wymamrotała. — Jesteś Tą Jedyną.

Rozległ się łoskot towarzyszący kolejnemu wyładunkowi przy bramie. Mapes
szybko porwała tkwiący w pochwie nóż i wsunęła go Jessice za stanik.

— Każdego, kto ujrzy ten nóż, trzeba oczyścić lub zabić! — warknęła. — Wiesz
o tym, moja pani!

Teraz wiem — pomyślała Jessika.
Tragarze odjechali nie wchodząc do Wielkiej Sali. Mapes uspokoiła się.

— Nie oczyszczeni, którzy widzieli krysnóż, nie mogą żywi opuścić Arrakis,
Nigdy o tym nie zapomnij, moja pani. Powierzono ci krysnóż. — Odetchnęła głębo-
ko. — Teraz sprawa musi się toczyć własnym torem. Nie można tego przyśpieszyć.

Spojrzała na spiętrzone stosy skrzyń i zwalone na kupę wokół nich rzeczy. — A
mamy tu sporo roboty dla zabicia czasu.

Jessika biła się z myślami. Sprawa musi się toczyć własnym torem. Była to for-
muła typowa dla zaklęć magicznych Missionaria Protectiva — „Nadejście Matki Wie-
lebnej wolność wam niosącej". Ale ja nie jestem Matką Wielebną — pomyślała Jes-
sika. I zaraz potem: Wielka Macierzy! I tę tu wsadzili! To dopiero musi być upiorne
miejsce!

Mapes zapytała zdawkowym tonem:

— Od czego każesz mi zacząć, moja pani?

Instynkt ostrzegł Jessikę, by podtrzymała ów obojętny ton. Powiedziała:

— Tam stoi portret Starego Księcia, trzeba go zawiesić na bocznej ścianie w ja-
dalni. Łeb byka musi pójść na ścianę z drugiej strony naprzeciwko malowidła.
Mapes podeszła do głowy byka.

— Ależ to zwierzę musiało być wielkie, żeby nosić taki łeb — powiedziała. Na-
chyliła się. — Będę musiała to najpierw oczyścić, nieprawdaż, moja pani?

— Nie.

— Przecież rogi lepią mu się od brudu.

— To nie brud, Mapes. To krew ojca naszego księcia. Te rogi zostały spryskane

przezroczystym "utrwalaczem w parę godzin po tym, jak owo zwierzę zabiło Starego Księcia.

Mapes podniosła się.

— Ach tak! — powiedziała.

/ .
54

— To tylko krew — rzekła Jessika.— I do tego stara. Weź sobie teraz kogoś do pomocy przy zawieszaniu. Te paskudztwa są ciężkie.

— Myślałaś, że krew robi na mnie wrażenie? — spytała Mapes. — Pochodzę z pustyni i widziałam wiele krwi.

— To... to widać — powiedziała Jessika.

— W tym trochę swojej własnej — dodała Mapes. — Więcej, niż upuściłaś mi swym lekkim draśnięciem.

— Wolałabyś, żebym cięła głębiej?

— Ach, nie! I tak wody ciała ledwo starcza, żeby nią jeszcze szafować na powie-
. trzu. Zrobiłaś to, co należało.

I Jessika uważając na słowa i sposób wyrażania się podchwyciła znaczenia ukryte w określeniu „woda ciała". Znów odczuła przygnębienie na myśl o tym, czym jest woda na Arrakis.

— Gdzie mam porozwieszać na ścianach sali jadalnej te-cacka, moja pani? — zapytała Mapes.

Wciąż praktyczna, ta Mapes — pomyślała Jessika.

— Zrób, jak uważasz, Mapes — odpowiedziała. — To prawie bez różnicy.

— Jak sobie życzysz, moja pani. -
Mapes schyliła się i zaczęła odwijać głowę -z papierów i sznurków.

— Zabiło się Starego Księcia, co? — zamruczała.

— Czy mam wezwać ci tragarza do pomocy? — zapytała Jessika.

— Dam sobie radę, moja pani.

Tak, da sobie radę — pomyślała Jessika. — To tkwi w tym fremeńskim stworzeniu: instynkt radzenia sobie. Poczuła chłód pochwy krysnoża pod stanikiem, wyobraziła sobie długi łańcuch knowań Bene Gesserit, do którego zostało tutaj dołączone kolejne ogniwo. Dzięki owym knowaniom przetrwała w krytycznej chwili. „Nie można tego przyśpieszyć" — powiedziała Mapes. A jednak wyczuwało się tu jakieś tempo na złamanie karku, które napełniało Jessikę złym przeczuciem. I ani wszystkie przygotowania Missionaria Protectiva, ani dokonana przez nie dowierzającego niczemu Hawata inspekcja tej zwieńczonej blankami kamiennej budowli nie mogły rozwiać tego przeczucia.

— Kiedy to pozawieszasz, zacznij rozpakowywać skrzynie — powiedziała Jes-

sika. — Któryś z tragarzy przy bramie ma wszystkie klucze i wie, gdzie mają iść rzeczy. Weź od niego klucze i listę. Gdyby powstały jakieś wątpliwości, będę w południowym skrzydle.

— Jak sobie życzysz, moja pani.

Odchodząc Jessika pomyślała: Hawat może uważać, że ta rezydencja jest bezpieczna, ale w tym domu jest coś złego. Czuję to.

Ogarnęła ją nagła potrzeba zobaczenia się z synem. Ruszyła w kierunku sklepionego wyjścia na korytarz prowadzący do sali jadalnej i skrzydeł mieszkalnych. Szła coraz szybciej, prawie już biegła. Mapes przerwała zdzieranie opakowania z głowy byka i spojrzała na plecy odchodzącej postaci.

— To ONA z całą pewnością — wymruczała. —.Biedactwo.

55

„Yueh! Yueh! Yueh!" — brzmi refren.

„MHion śmierci za mało byto dla Yuego!"

z „Historii dzieciństwa Muad'Diba14 pióra księżniczki Irulan

Drzwi stały otworem i Jessika przestąpiła je, wkraczając do pokoju o żółtych ścianach. Z lewej strony ciągnęła się niska, obita czarną skórą ława, przy niej dwa puste regały; pękate boki wiszącej flaszki na wodę obrastał kurz. Pod prawą ścianą, przy drugich drzwiach, stało więcej regałów, oraz biurko z Kaladanu i trzy krzesła. Pod oknami dokładnie na wprost Jessiki stał odwrócony do niej plecami doktor Yueh, zapatrzbny na świat za szybą. Po cichutku Jessika zrobiła następny krok w głąb pokoju. Zauważyła, że Yueh ma wymiętą marynarkę z białą smugą na lewym łokciu, jakby doktor oparł się o kredę. Od tyłu wyglądał jak bezcielesny pajac w za dużej czarnej odzieży, zawieszona w powietrzu karykatura czekająca na poruszenie sznurkami przez animatora. Życie było jedynie w kanciastej głowie o długich, hebanowych włosach ujętych na ramieniu w srebrny pierścień Akademii Suk — obracającej się nieznacznie w ślad za jakimiś poruszeniami na dworze. Ponownie rozejrzała się po pokoju nie znajdując śladu syna. Wiedziała jednak, że zamknięte drzwi z prawej strony prowadzą do niewielkiej sypialni, na którą Pauł wyraził ochotę.

— Dzień dobry, doktorze Yueh — powiedziała. — Gdzie jest Pauł? •
Yueh skinął głową jakby pod adresem kogoś za oknem i nie odwracając się.powiedział nieobecnym tonem:

— Twój syn był zmęczony, Jessiko. .Odesłałem go do sąsiedniego pokoju, by odpoczął.

Nagle zesztywniał, odwrócił się raptownie, wąsy opadły mu na purpurowe wargi.

— Wybacz, moją pani! Myślami byłem bardzo daleko...ja...nie chciałem, żeby to, zabrzmiało tak poufale.

Uśmiechnęła się, wyciągając prawą dłoń. Przez chwilę obawiała się, że on może uklęknąć.

— Daj spokój, Wellington. '

— Żeby tak się odezwać do ciebie...ja....

— Znamy się już sześć lat — powiedziała. — Najwyższy czas, by w cztery oczy dać sobie spokój z etykietą minionego okresu.

Yueh zdobył się na wątły uśmiech. Wygląda na to, że mi się udało. Teraz ona będzie uważała, że wszystko, cokolwiek jest w moim zachowaniu niezwykłego, wynika z zakłopotania. Nie będzie doszukiwać się głębszych motywów, skoro już zna odpowiedź.

— Zdaje się, że bujałem w obłokach — powiedział. — Obawiam się, że kiedy tylko...robi mi się ciebie szczególnie żal, myślę o tobie jako o...no, Jessice.

— Żal ci mnie? Dlaczego u licha?

Yueh wzruszył ramionami. Dawno temu zdał sobie sprawę, że w przeciwieństwie do jego Wanny Jessika nie była obdarzona całkowitym prawdomówstwem. Mimo to zawsze w obecności Jessiki trzymał się prawdy, jeśli tylko się dało. Tak było bezpieczniej.

— Widziałaś tę^lanetę,. moja...Jessiko. — Zająknął się przy imieniu, ale brnął

dalej. — Jakże jałowa po Kaladanie. I ci ludzie! Te mieszczki, które mijaliśmy po drodze, zawodzące pod swymi zasłonami. Jak one na nas patrzyły!

Złożyła ręce na piersiach wyczuwając tam krysnóż, ostrze wytoczone, jeśli wierzyć pogłoskom, z zęba czerwia pustyni.

— Po prostu dlatego, że jesteśmy dla nich obcy — inni ludzie, inne obyczaje. Znali jedynie Harkonnenów. — Ominęła go spojrzeniem wyglądając przez okno. —Co tam wypatrzyłeś na dworze?

— Ludzi.

Jessika przeszła przez pokój stając u jego boku, spojrzała na lewo w stronę fasady budynku, tam gdzie gapił się Yueh. Zobaczyła dwadzieścia drzew palmowych rosnących w rzędzie, a pod nimi wymiecioną do czysta gołą ziemię. Tarczowy parkan odgradzał je od drogi, którą przechodzili ludzie w burnusach. Pomiędzy sobą a ludźmi Jessika wyłowiła ledwo uchwytne migotanie w powietrzu — od tarczy domowej — i zaczęła studiować tłum przechodniów zastanawiając się, dlaczego tak zainteresowali Yuego. Pojawiła się prawidłowość i Jessika aż przycisnęła dłoń do policzka: spojrzenia, jakimi przechodnie mierzyli drzewa palmowe! Zobaczyła w nich zawiść, trochę nienawiści...a nawet uczucie nadziei. Wszyscy wlepiali w owe drzewa oczy z tym samym wyrazem.

— Wiesz, co oni myślą? — zapytał Yueh.

— Uprawiasz czytanie w myślach?

— W ich myślach — powiedział. — Oni spoglądają na te drzewa i myślą: „Tam jest nas stu". To właśnie myślą.

Obróciła ku niemu zaintrygowaną twarz.

— Dlaczego?

— To są daktylowce — powiedział. — Jedna palma daktylowa potrzebuje czterdzieści litrów wody dziennie. A człowiek zaledwie osiem. Przeto palma równa się pięciu ludziom. Tam jest dwadzieścia palm — stu ludzi.

— Lecz niektórzy z tych ludzi spoglądają na drzewa z nadzieją.

— Oni mają jedynie nadzieję, że spadnie trochę daktyli, tyle że to nie sezon.

— Spoglądamy na tę planetę zbyt krytycznym okiem — powiedziała. — Ona jest naszym niebezpieczeństwem, lecz i nadzieją zarazem. Na przyprawie możemy się wzbogacić. Z pełną kiesą możemy urządzić ten świat, jak nam się spodoba.

I zaśmiała się w duchu sama z siebie: Kogo ja usiłuję przekonać? Śmiech przedarł się przez krąg jej myśli, kruchy, niewesoły.

— Ale bezpieczeństwa się nie kupi — powiedziała.

Yueh odwrócił się od niej, by nie widziała jego twarzy.

Gdyby tylko można było nienawidzić tych ludzi, zamiast ich kochać! Swoim zachowaniem Jessika pod wieloma względami przypominała mu Wannę. Jednak owa myśl narzucała swoje własne rygory umacniając go w dążeniu do wyznaczonego celu. Kręte są drogi okrucieństwa Harkonnenów. Może Wanna żyje. On musi się przekonać.

— Nie martw się o nas, Wellington — powiedziała Jessika. — To nasza sprawa, nie twoja.

Ona myśli, że ja się martwię o nią! Mruganiem powstrzymał łzy. I martwię się,

oczywiście. Ale ja muszę stanąć przed szatańskim baronem po wykonaniu zadania

i wykorzystać swoją jedyną szansę uderzenia wtedy, gdy jest najsłabszy — w momencie jego triumfu! — Westchnął.

— Nie obudzę Paula, jeśli do niego zajrzę? — spytała.

— Bynajmniej. Dałem mu środek uspokajający.

— Dobrze znosi zmianę?

— Jest tylko nieco osłabiony. I podekscytowany, ale któryż piętnastolatek by nie był w tej sytuacji. — Podszedł do drzwi, otworzył je. — Tutaj jest.

Podążywszy za nim Jessika zajrzała w półmrok sypialni. Na wąskim łóżku polowym Paul leżał z jedną ręką schowaną pod cienkim przykryciem, drugą odrzucił za głowę. Listewki żaluzji w oknie przy łóżku tkały kanwę cieni na jego twarzy i kocu. Jessika zapatrzyła się na syna, na owal"twarzy jakże podobny do jej własnego. Ale włosy miał po księciu — koloru węgla i niesforne. Długie rzęsy zakrywały żółtawozielone oczy. Jessika uśmiechnęła się czując, jak opuszczają ją obawy. Znienacka uderzyło ją dziedziczne piętno w rysach twarzy syna — matczyny kształt oczu i rysunek twarzy, ale ostre linie ojca wyzierały z tego rysunku jak wyłaniająca się z dzieciństwa dojrzałość. Pomyślała o rysach chłopca jako przecudownym efekcie wyklarowania przypadkowych kombinacji — nieskończonych łańcuchów zbiegów okoliczności spotykających się w tym ogniwie. Pod wpływem owej myśli zapragnęła uklęknąć przy

łóżku i wziąć syna w ramiona, powstrzymała ją tylko obecność Yuego. Cofnęła się, zamknęła cicho drzwi.

Yueh dawno już wrócił pod okno nie mogąc znieść widoku spojrzenia, jakim Jessika mierzyła syna. Dlaczego Wanna nie dała mi dzieci? — zadawał sobie pytanie. — Jako lekarz wiem, że nie istniała żadna fizyczna przyczyna. Czyżby dla jakichś racji

Bene Gesserit? Może wyznaczono jej inne zadanie? Jakież to znowu zadanie? Kochała mnie, to pewne.

Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że może jest on fragmentem o wiele zawil-

szego i bardziej skomplikowanego układu, niż potrafi ogarnąć swoim umysłem. Jessika stanęła przy nim.

— Ileż cudownej beztroski we śnie dziecka — odezwała się.
Odpowiedział machinalnie:

— Gdyby jeszcze dorośli potrafili się tak zapomnieć.

— Gdyby... '. * .

— Gdzie my to zaprzepaszczamy? •— wyszemrał.

Spojrzała na niego pochwyciwszy zastanawiające brzmienie jego głosu, ale duchem była wciąż przy Paulu, rozmyślając nad nowymi rygorami jego nauczania tutaj, nad zmianami w jego obecnym życiu — jakże różnyni od życia, jakie kiedyś dla niego zamyślali.

— My rzeczywiście coś zaprzepaszczamy — powiedziała.

Wyjrzała w prawo na skarpę z garbami sfatygowanych przez wiatr szarozielonych krzaków — zakurzone liście i wyschnięte, szponiaste gałęzie. Zanadto ciemne niebo zawisło nad skarpą jak kleks, a mleczny blask słońca Arrakis nadawał krajobrazowi srebrzystej poświaty — ja^< światło ukrytego pod jej stanikiem krysnoża.

— Niebo jest takie ciemne — powiedziała.

— Częściowo z braku wilgoci.

— Woda! — fuknęła. — Wszystko, co tutaj zaczniesz, skończy się na braku wody!

— Jest to największa tajemnica Arrakis — powiedział. . •

— Dlaczego tutaj jest tak mało wody? Są przecież skały wulkaniczne. Jest kilka-
S naście źródeł energii, które mogę wymienić. Jest lód polarny. Mówi się, że nie można
li» wiercić "na pustyni — huragany i piachopływy niszczą instalacje szybciej, niż się je
"i montuje, o ile wcześniej jeszcze nie dopadną cię czerwie. Nigdy nie natrafiono tam na
t ślad wody, tak czy owak. Lecz tajemnica, Wellington, prawdziwa tajemnica, to stu-
| dnie wywiercone w tutejszych basenach i nieckach. Czytałeś o nich?
| — Na początku strumyczek i na tym koniec.
; — Lecz, Wellington, to jest dopiero tajemnica. Była woda. Woda wysycha. I ni-
" gdy już nie ma tam wody. Jednakże drugie wiercenie tuż obok daje ten sam efekt: strumyczek, który się urywa. Czy nigdy to nikogo nie zaciekawiło?

— To jest ciekawe — powiedział. — Podejrzewasz jakieś procesy życiowe? Czy nie wyszłoby to w próbkach rdzenia?

— Co by wyszło? Obca substancja roślinna...albo zwierzęca? Kto by ją'rozpoznał?
Odwróciła się ponownie do skarpy.

— Woda zostaje zatrzymana. Coś zatyka jej ujście. To podejrzewam.

— Może przyczyna jest znana — powiedział. — Harkonnenowie pozamykali dostęp do wielu źródeł informacji na temat Arrakis. Może mieli powód, aby to ukryć.

— Jaki powód? — zapytała. — A poza tym jest wilgoć w atmosferze. Bardzo niewiele, na pewno, ale trochę jest. To główne źródło tutejszej wody, zbieranej w oddzielacze wiatru i osadniki. Skąd się bierze ta wilgoć?

— Z czap polarnych?.

— Zimne powietrze absorbuje niewiele wilgoci, Wellington. Jest tu za kurtyną Harkonnenów wiele spraw, które aż się proszą bliższego zbadania i nie wszystkie wiążą się bezpośrednio z przyprawą.

— Rzeczywiście jesteśmy za kurtyną Harkonnenów — powiedział. — Może by... Urwał, spostrzegłszy raptowną intensywność, z jaką patrzyła na niego.

— Czy coś się stało?

.— Sposób w jaki mówisz „Harkonnenowie" — powiedziała. ••— Nawet w głosie mojego księcia nie ma tyle jadu, kiedy wymawia on to znienawidzone imię. Nie wiedziałam, że masz osobiste powody, by ich nienawidzić, Wellington.

Wielka Macierzy! Obudziłem w niej podejrzenia! — pomyślał. — Teraz muszę użyć wszelkich wybiegów, jakich nauczyła mnie Wanna. Mam tylko jedno wyjście:

powiedzieć jak najwięcej prawdy.

— Nie wiedziałaś, że moja żona, moja Wanna—wzruszył ramionami, niezdolny mówić z powodu nagłego skurczu w gardle.

— Oni...

•/

Słowa uwięzły mu w krtani. Wpadł w popłoch, zacisnął mocno powieki, nic prawie nie czując prócz agonii w piersi, dopóki ja'kaś dłoń nie dotknęła delikatnie jego ramienia.

— Wybacz mi — powiedziała Jessika. — Nie miałam zamiaru orwierać starych ran.

I pomyślała: A to bydlaki! Jego żoną była Bene Gesserit — widać to w nim jak na dłoni. I oczywiście Harkonnenowie ją zamordowali. Oto kolejna nieszczęsna ofiara złączona cheremem nienawiści z Atrydami.

— Przepraszam — powiedział. — Nie mogę o tym mówić.

Otworzył oczy zdając się na wewnętrzną świadomość rozpaczy. To przynajmniej była prawda. Jessika wodziła po nim spojrzeniem zatrzymując je na wystających kościach policzkowych, na ciemnych cekinach skośnych oczu jak migdały, na kremowej cerze, na sznureczkach wąsów zwisających nad purpurowymi wargami niczym portal, na wąskim podbródku. Zauważyła, że bruzdy na czole i policzkach świadczyły tyleż o wieku co o troskach. Ogarnął ją głęboki afekt do niego.

— Żałuję, że cię sprowadziliśmy, Wellington, w to niebezpieczne miejsce — powiedziała.

— Przyjechałem z własnej woli — odparł. I to także była prawda.

— Ale cała ta planeta jest pułapką Harkonnenów. Musisz o tym wiedzieć.

— Trzeba czegoś więcej niż pułapki, by schwytać księcia Leto — powiedział. I to także była prawda. /

— Może powinnam bardziej w niego wierzyć — rzekła. — Jest genialnym taktykiem.

— Zostaliśmy wyrwani z korzeniami. Dlatego czujemy się niepewnie.

— A jakże łatwo jest zabić wykorzenioną roślinę — powiedziała. — Szczególnie kiedy się wsadzi'ją we wrogą glebę.

— Czy na pewno ta gleba jest wroga?

— Były rozruchy na tle wody, gdy się rozniosło, jak wiele ludzi książę tu sprowadza — powiedziała. — Ustały dopiero wtedy, kiedy miejscowi dowiedzieli się, że instalujemy nowe oddzielacze wiatru i skraplacze, by przejęły to brzemię.

— Wody jest tu tylko tyle, żeby utrzymać ludzi przy życiu — powiedział. — Oni wiedzą, że jeśli ich przybędzie, a nie zwiększy się ilość wody do picia, jej cena pójdzie w górę i najbiedniejsi poumierają. Ale książę rozwiązał ten problem. Rozruchy wcale nie muszą świadczyć o trwałej wrogości do niego.

— I straże — powiedziała. — Wszędzie straże. I tarcze. Gdzie spojrzeć, wszędzie widać tę mgiełkę. Inaczej żyliśmy na Kaladanie.

— Dajmy tej planecie szansę — powiedział.

Lecz Jessika ponownie skierowała kamienne spojrzenie za okno.

— Czuję śmierć w tym zamku — rzekła. — Hawat wyprawił tutaj przodem swych agentów w sile batalionu. Tamci gwardziści na zewnątrz to jego ludzie. Tragarze to jego ludzie. Ze skarbca bez żadnych wyjaśnień pobiera się wielkie sumy. A to oznacza tylko jedno: łapówki w wysokich sferach. — Potrząsnęła głową. — Dokąd kroczy Thufir Hawat, tam idzie śmierć i zdrada.

— Oczerniasz go.

— Oczerniam? Ja go wychwalam. Śmierć i zdrada, to teraz nasza jedyna nadzieja. Ja po prostu nie mam złudzeń cb do metod Thufira.

— Powinnaś...mieć pełne ręce roboty. Nie zostawić sobie ani chwili na takie niezdrowe...

— Roboty! A co innego zabiera mi prawie wszystkie,chwile, Wellington? Jestem
\

sekretarką księcia, mam tyle roboty, że codziennie dowiaduję się, co nowego będzie mi spędzać sen z powiek, a jemu nawet nie przyjdzie do głowy, że wiem o tym. — Zacisnęła wargi i powiedziała bezbarwnym głosem: — Czasami zastanawiam się, na ile moje handlowe wykształcenie zaważyło, że jego wybór padł na mnie.

— Jak mam to rozumieć?

Uderzył go jej cyniczny ton, gorycz, jakiej nigdy przed nim nie ujawniła.

— Nie sądzisz, Wellington, że związana miłością sekretarka jest o niebo pewniejsza.

— To jest poroniony pomysł, Jessiko.

Reprymenda sama przyszła mu na usta. Uczucia księcia do jego konkubiny nie budziły wątpliwości. Wystarczyło tylko spojrzeć, jak wodzi za nią oczami. Westchnęła.

— Masz rację. Poroniony. /
Ponownie objęła się ramionami przyciskając do ciała pochwę z krysnożem i myśląc o związanej z nim nie zakończonej sprawie.

— Wkrótce poleje się obficie krew — powiedziała. — Harkonnenowie nie spoczną, dopóki nie legną w grobie, albo oni, albo mój książę. Baron nie może zapomnieć, że Leto jest spokrewniony z królewskim rodem — nieważne jak daleko — podczas gdy godności Harkonnenów pochodzą 7 kiesy KHOAM. Ale zadra, która tkwi w nim głęboko do dziś, to świadomość, że po bitwie pod Corrin jeden z Atrydów skazał Harkonnena na banicję za tchórzostwo.

— Dawna wendeta — mruknął Yueh. I poczuł chwilowy przypływ zapiekłej nienawiści. Wpadł w sidła tamtej dawnej wendety, która zabiła jego Wannę, czy — co gorsza — wydała ją na tortury Harkonnenów do czasu, aż jej mąż spełni ich żądania. Dawna wendeta omotała go, a ci ludzie byli częścią tej morderczej gry. Na ironię zakrawało, że taka śmierć mogłaby rozkwitać tutaj na Arrakis, jedynym we wszechświecie źródle życiodajnego melanżu, dawcy zdrowia.

— O czym myślisz? — spytała.

— Myślę, że za przyprawę dają już na wolnym rynku sześćset dwadzieścia tysięcy solaris za dekagram. Za takie bogactwo można mieć wiele rzeczy.
,— Czy i ty nie jesteś wolny od chciwości, Wellington?

— To nie chciwość.

— A co? .
Wzruszył ramionami.

— Banał. — Spojrzał na nią. — Pamiętasz smak swej pierwszej przyprawy?

— Smakowała jak cynamon.

— Lecz nigdy dwa razy tak samo — powiedział. — Ona jest jak życie, za każdym razem, kiedy jej kosztujesz, ukazuje inną twarz. Niektórzy utrzymują, że przyprawa wywołuje smakowy odruch warunkowy. Przekonując się, że to mu dobrze robi, ciało przyjmuje smak jako przyjemny — z lekka euforyczny. I tak, jak życia, nigdy nie uda się przyprawy wiernie zsyntetyzować.

— Myślę, że mądrzej byśmy zrobili uchodząc jako renegaci poza granice Imperium — powiedziała.

Zorientował się, że go nie słucha, zastanowił się głęboko nad jej słowami. Tak,

dlaczego nie zmusiła księcia, by tak Zrobił? Może go zmusić dosłownie do. wszyst-. kiego. Zaczął mówić szybko, ponieważ była w tym prawda i okazja do zmiany tematu:

— Czy uznasz to za zuchwałość z mojej strony... Jessiko, jeśli zadam ci osobiste pytanie?

Przytuliła się do wystającego parapetu przeszyta niewytłumaczalnym niepokojem.

— Oczywiście, że nie. Jesteś...moim przyjacielem.

— Dlaczego nie zmusiłaś księcia, by cię poślubił?
Odwróciła się, z podniesioną głową, z ogniem w oczach.

— Zmusić go do poślubienia mnie? Ale...

— Nie powinienem był pytać — powiedział.

— Nie. — Wzruszyła ramionami. — Istnieją po temu ważne racje polityczne:

dopóki mój książę jest wolny, co poniektóre z wysokich rodów mogą nadal liczyć na koligację. Poza tym... — westchnęła. — Motywowanie ludzi, naginanie ich do swojej woli wytwarza w nas cyniczny stosunek do człowieczeństwa. Poniża ono wszystko, czego dotknie. Gdybym go zmusiła do tego... to jakby nie on to zrobił.

— Coś takiego mogłaby powiedzieć moja Wanna — wyszeptał. I to także była prawda. Zakrył dłonią usta, przełykając nerwowo. Nigdy nie był bliżej wyznania, wyspowiadania się przed nią ze swojej potajemnej roli.

Jessika odezwała się, niwecząc ów moment.

— Poza tym, Wellington, książę to w istocie dwóch ludzi. Jednego z nich bardzo kocham. Jest uroczy, dowcipny, delikatny...czuły — ma to wszystko, czego może kobieta zapragnąć. Lecz tamten drugi mężczyzna jest zimny, gruboskórny, władczy, egoistyczny — ostry i okrutny jak zimowy wiatr. To człowiek ukształtowany przez ojca. — Twarz jej się wykrzywiła. — Szkoda, że ten staruch nie zmarł, gdy narodził się mój książę!

W ciszy, jaka zapadła między nimi, dał się słyszeć szmer story muskanej powiewem wentylatora.

Po chwili odetchnęła pełną piersią i powiedziała:

— Leto ma rację, te pokoje są milsze od tamtych w pozostałej części domu. Odwróciwszy się omiotła spojrzeniem pomieszczenie.

— Gdybyś nie miał nic przeciwko temu, Wellington, chcę jeszcze raz obejść to skrzydło, zanim wyznaczę kwatery.
Kiwnął głową.

— Ależ oczywiście. . ,

I pomyślał: Gdybyż tylko istniał Jakiś sposób, by nie wykonać tego, co muszę uczynić.

Jessika opuściła ramiona, wyszła na korytarz i przystanęła na moment bijąc się z myślami. Przez cały czas naszej rozmowy on coś ukrywał, coś w sobie dusił. By nie zranić moich uczuć, zapewne. To dobry człowiek. Ponownie opadły ją wątpliwości i mało nie zawróciła, by w konfrontacji z Yuem wydrzeć z niego to, co zataił. Ale bym go jedynie zawstydziła, przestraszyłby się widząc, jak łatwo go rozszyfrować. Powinnam pokładać więcej ufności w swoich przyjaciołach.

Wielu podkreśla szybkość, z jaką Muad'Dib przyswoił sobie wymogi Arraki.s. Benc Gesserii znają oczywiście źródła tej szybkości. Innym możemy powiedzieć, że Muad'Dib uczył się prędko. ponieważ najpierw przeszedł szkolenie, jak się uczyć. A najpierwsza ze wszystkich otrzymał lekcję podstawowej wiary, że może się nauczyć. Szokuje odkrycie, jak wielu ludzi nie wierzy, że mogą się nauczyć, a o ile więcej uważa, że nauka jest trudna. Muad'Dib wiedział, że każde zdarzenie

niesie Jakąś łekCJę. ^ .Czhiwiec/cńsiwa Mu.iirDih.i" pióra ksili/nic/ki Irufan

Pauł leżał na łóżku i udawał, że śpi. Z łatwością schował w dłoni tabletkę nasenną Yuego udając, że ją popija. Pohamował śmiech. Nawet matka uwierzyła, że śpi. Pragnął zerwać się i wyprosić u niej pozwolenie na wędrówkę po pałacu, ale zdawał sobie sprawę, że ona się nie zgodzi. Wszystko było jeszcze w zbytniej rozsypce. Nie.

Tak jest najlepiej. Wymykając się bez pytania nie złamię zakazów, no i zostanę w bu-
dynku, gdzie jest bezpiecznie.

Słyszał rozmowę matki i Yuego w drugim pokoju. Ich słowa docierały niewyraź-
nie — coś o przyprawie... o Harkonnenach. Głosy wznosiły się i opadały. Uwagę Paula /
zaprzątnęło rzeźbione wezgłowie łóżka — przytwierdzona do ściany imitacja wezgło-
wia kryła układ sterowania urządzeniami w pokoju. W drewnie przedstawiono rybę
wyskakującą ponad wypukłe, brązowe fale. Wiedział, że kiedy naciśnie jedyne wi-
doczne oko ryby, zapalą się dryfowc lampy w pokoju. Przekręcenie jednej z fal regu-
lowało wentylację. Innej — temperaturę.

Pauł po cichutku siadł na łóżku. Z lewej strony pod ścianą stał wysoki regał. Moż-
na go było odsunąć na bok i wtedy ukazywała się szafa z szufladami z jednej strony.
Klamka drzwi na korytarz imitowała drążek ornitoptera. Pokój urządzono jakby z za-
miarem oczarowania Paula.

Pokój i ta planeta. Przypomniał sobie księgofilm, który pokazał mu Yueh — „Ar-
rakis: Ośrodek Doświadczalny Botaniki Pustyni Jego Imperatorskiej Mości". Księgo-
film był stary, sprzed odkrycia przyprawy. W pamięci Paula przemknęły nazwy, każ-
da ze swym obrazem odciśniętym mnemotechnicznym rytmem księgi: saguaro. ośli
rzep, palma daktylowa, werbena piaskowa, nocna świeca, kaktus baryłkowaty, Juc-
ca brevifolia. Cotinus coggygria. Covillea mexicana...\is, Yulpes macrotis. 'jastrząb
pustynny, skoczek pustynny...

Nazwy i obrazy, nazwy i obrazy z ziemskiej przeszłości człowieka — a wiele ni-x
gdzie indziej już nie spotykanych we wszechświecie, tylko tutaj, na Arrakis. Trzeba
się uczyć o tylu nowych rzeczach — o przyprawie. I o czerwiach pustyni.

W sąsiednim pokoju trzasnęły drzwi. Pauł usłyszał kroki matki oddalające się
w głąb korytarza. Wiedział, że doktor Yueh znajdzie sobie coś do czytania i zostanie
w przyległym pokoju. Nadszedł już moment, by wyruszyć na eskapadę. Pauł wykradł
się z łóżka i skierował kroki do regału otwierającego się na szafę. Przystanął słysząc
szmer za plecami, odwrócił się. Rzeźbione wezgłowie łóżka opadło na miejsce, z któ-
rego się podniósł. Pauł zamarł i bezruch ocalił mu życie. Spoza wezgłowia wysunął się'
maleńki grot-gończak, najwyżej pięciocentymetrowej długości. Pauł rozpoznał to
w mgnieniu oka — pospolitą, skrytobójczą broń. o której uczono od maleńkości każ-
de dziecko krwi królewskiej. Drapieżna, metalowa drzazga, sterowana z bliska czyjąś

ręką i okiem. Potrafiła zaryć się w ruchomym ciele i po nitkach nerwów utorować so-
bie drogę do najbliższego z żywotnych narządów. Gończak uniósłszy się przejechał
bokiem przez pokój tam i z powrotem. Pauł uzmysłowił sobie, co wie na jego temat;

ograniczenia grota-gończaka: 'kompresja pola dryfowego zakłóca widzenie oka prze-
kaźnika. Skoro nic prócz nikłego oświetlenia pokoju nie odzwierciedla mu celu, ope-
rator będzie kierował się ruchem —jakimkolwiek.

Tarcza leżała na łóżku. Lance laserowe strącały gończaki, ale były kosztowne

i notorycznie się psuły, a poza tym zawsze istniała groźba wybuchu fajerwerku, gdy-
by wiązka laserowa przecięła aktywną tarczę. Atrydzi wierzyli w osobiste tarcze i przy-
- tómność umysłu. Zastygły w katątonicznym prawie bezruchu Paul wiedział, że teraz
jedynie przytomność umysłu pozostała mu, żeby stawić czoło niebezpieczeństwu.

Grot-gończak wzniósł się o dalsze pół metra. Kołysał się tam i z powrotem w smu-
gach światła, przeszukując pokój na wszystkie strony.

Muszę próbować go złapać — pomyślał Pauł. — Będzie śliski na spodzie od pola

dryfowego. Muszę go mocno chwycić.

Gończak opadł pół metra, zjechał na lewo i zawróciwszy okrążył łóżk-o. Dobie-

. gało od niego ciche buczenie. Kto tym draństwem steruje? — głowił się Pauł. — Musi być niedaleko. Mógłbym krzyknąć na Yuego, ale to go dopadnie, jak tylko otworzy

drzwi.

Za jego plecami zaskrzypiały drzwi od korytarza. Ktoś w nie zapukał. Otworzyły

się. Grot-gończak śmignął mu koło głowy w kierunku ruchu. Prawa ręka Paula wystrzeliła do przodu i w dół, chwytając śmiercionośne narzędzie. Gończak buczał i skręcał się w rozpaczliwie zaciśniętej na nim dłoni. Pauł zamachnął się i z gwałtownego półobrotu trzasnął nosem drzazgi w metalową płytę drzwi. Usłyszał chrupnięcie zmiażdżonego na czubku oka i gończak zamarł w jego dłoni. Mimo to dla pewności nie popuścił chwytu. Podniósł wzrok i napotkał czysty błękit otwartego spojrzenia Szadout

Mapes.

— Twój ojciec przysyła po ciebie — powiedziała. •— W sieni czekają ludzie z eskorty.

Pauł kiwnął głową skupiając wzrok i uwagę na obcej kobiecie w służebnym brązie workowatej sukni. Spoglądała teraz na przedmiot zaciśnięty w jego dłoni.

— Słyszałam o czymś takim — powiedziała. — Zabiłby mnie, prawda?

Musiał przełknąć, nim zdołał przemówić.

— To ja... byłem celem. . ' .

—• Ale szło na mnie.

— Bo się ruszałaś.

Zastanawiał się: Kim jest to stworzenie?

— Zatem uratowałeś mi życie — powiedziała.

— Uratowałem życie nam obojgu.

— Wygląda na to, że mogłeś mnie zostawić na pastwę tego czegoś, a sam uciec.

— Kim jesteś? — zapytał.

— Szadout Mapes, ochmistrzyni.

— Skąd wiedziałaś, gdzie mnie znaleźć?

— Twoja matka mi powiedziała* Spotkałafn ją przy schodach do magicznego

pokoju w końcu korytarza. —
kaja.

Wskazała na prawo. — Ludzie twojego ojca nadal cze-
i / •

To będą ludzie Hawata
dzenia.

pomyślał. — Musimy znaleźć operatora tego urzą-

— Idź do ludzi mojego ojca. Powiedz im, że złapałem grota-gończaka w budynku i żeby się rozeszli na poszukiwanie operatora. Każ im natychmiast otoczyć pałac ,i teren. Będą wiedzieli, jak się do tego zabrać. To musi być ktoś obcy. — Zadumał się:

A może to ona? Ale był przekonany, że nie. Gończakiem ktoś kierował, gdy wchodziła.

— Zanim zrobię, co każesz, młodzieńcze — powiedziała Mapes — musimy wyrównać nasze rachunki. Złożyłeś na mnie brzemię wody, a nie za bardzo mam ochotę je dźwigać. Lecz my, Fremeni. spłacamy długi i wdzięczności, i nikczemności. I wiadomo nam, że wśród was jest zdrajca. Nie wiemy kto, ale że istnieje, za to dajemy głowę. Jego to zapewne ręka prowadziła ten krajak ciała.

Pauł przyjął to w milczeniu: „zdrajca". Nim zdążył się odezwać, nieznajoma kobieta odwróciła się i pobiegła z powrotem do wyjścia. Przyszło mu na myśl, by ją przywołać, ale było w niej coś takiego, co mu mówiło, że ją tym urazi. Powiedziała, co było jej wiadome, i teraz zamierzała zrobić, co „kazał". Lada chwila dom zaroi się ludźmi Hawata. Wrócił pamięcią do 'innych fragmentów owej dziwnej rozmowy: „magiczny pokój". Spojrzał w lewo we wskazanym przez nią kierunku. „My, Fremeni". A więc to była Fremenka. Zatrzymał się na mrugnięcie mnemotechnicznej migawki, rejestrującej w jego pamięci obraz jej twarzy: pomarszczone jak śliwka, ciemnobrązowe rysy, błękitne w błękicie oczy bez odrobiny białka. Dołączył imię: Szadout Mapes.

Nadal ściskając strzaskany gończak zawrócił w głąb pokoju, lewą ręką zgarnął pas tarczowy z łóżka, owinął go wokół bioder i dopiął już w biegu, w drodze z pokoju i dalej korytarzem w lewo. Powiedziała, że gdzieś tutaj jest jego matka...schody...„magiczny pokój",

Cóż takiego podtrzymywało lady Jessikę w godzinie próby? Zastanówcie się głęboko nad aforyzmem Bene Gcsserit, a może zrozumiecie: „Każda przebyta do końca droga prowadzi dokładnie donikąd. Wdrap się na górę tylko tyle, by sprawdzić, że jest górą. Nie zobaczysz góry z jej szczytu".

7 ..Muad'D)b. uwagi o rod7inn;" pióra k.się/nic/ki Irulan

W końcu południowego skrzydła Jessika natknęła się na metalowe schody wznoszące się spiralą do, owalnych drzwi. Zerknęła za siebie na korytarz i ponownie na drzwi. Owalne? — zdumiała się. Co za dziwny kształt drzwi domowych. Za oknami pod spiralą schodów widziała ogromne białe słońce Arrakis chylące się ku wieczorowi. Długie cienie przeszywały korytarz. Zwróciła uwagę na schody. Ostre boczne światło wydobyło grudki wyschniętej ziemi na ażurowym metalu stopni. Jessika położyła dłoń na poręczy, zaczęła wchodzić. Poręcz była chłodna pod dotykiem przesuwającej się dłoni. Stanęła pod drzwiami, ujrzała, że nie mają klamki, zaś tam, gdzie powinna się znajdować, widniało lekkie wklęśnięcie. .

Przecież nie zamek papilarny — powiedziała sama do siebie. Zamek papilarny

. musi być nastrojony do kształtu i linii dłoni jednego osobnika. Jednak wyglądało to na zamek papilarny. Istniały zaś sposoby otworzenia każdego zamka papilarnego.— nauczono ją tego w szkole. Jessika obejrzała się dla pewności, że nikt jej nie obserwuje, przycisnęła dłoń do wgłębienia w drzwiach, odwróciła się i ujrzała Mapes u stóp schodów.

— Ludzie w Wielkiej Sali mówią, że książę przysyła ich po młodego panicza Pau-

la — powiedziała Mapes. — Mają książęcy sygnet i gwardzista ich zidentyfikował.

Spojrzała na drzwi i z powrotem na Jessikę. Ostrożna ta Mapes — pomyślała Jessika. — Dobry to znak.

— Jest w piątym pokoju licząc od tego" końca korytarza, taka mała sypialnia —

powiedziała. — Gdybyś miała kłopot z obudzeniem go, wezwij z sąsiedniego pokoju doktora Yuego. Pauł może potrzebować czegoś na przebudzenie.

Ponownie Mapes rzuciła przenikliwe spojrzenie na owalne drzwi i Jessrce wydało się, że wyczytała w jej oczach odrazę. Nim zdążyła zapytać o drzwi i co kryły, Mapes

zawróciła i w pośpiechu odeszła korytarzem.

Hawat poręczył za ten dom — pomyślała Jessika. — Nie może tu być nic szczególnie okropnego. Pchnęła drzwi. Otworzyły się do wewnątrz na małe pomieszczenie z drugimi owalnymi drzwiami naprzeciwko. Drugie drzwi miały jako klamkę obręcz koła. Śluza powietrzna! — pojęła Jessika. Spojrzała w dół i zobaczyła podpórkę do drzwi, która upadła na podłogę maleńkiego pokoiku. Podpórka nosiła własnoręczny znak Hawata. Drzwi podparto i zostawiono otwarte. Ktoś pewnie przypadkowo zwalił podpórkę nie zdając sobie sprawy, że drzwi zewnętrzne zamkną się na zatrzask papilarny. Przestąpiła krawędź wchodząc do małego korytarzyka. Po co w domu śluza powietrzna? — nie mogła zrozumieć. •! nagle przyszły jej na myśl egzotyczne stworzenia pozamykane w sztucznych klimatach. Sztuczny klimat! To miałoby sens na Arrakis, gdzie najbardziej sucholubne porosty spoza planety wymagały nawadniania. Drzwi za jej plecami zaczęły się zamykać. Złapała je i zablokowała otwarte drążkiem zostawionym przez Hawata. Ponownie stanęła przed wewnętrznymi drzwiami z obręczą ryglującą — teraz zauważyła zatartą inskrypcję wyrytą w metalu ponad kołem.

Rozpoznając słowa w języku galach, odczytała:

„Człowieku! Oto cudowna cząstka bożego świata: zatem stań przed nią i naucz

się miłować doskonałość Najwyższego Przyjaciela Twego". . '

Jessika naparła na koło. Obróciło się w lewo i wewnętrzne drzwi uchyliły się; Łagodny powiew musnął jej policzek, poruszył włosami. Poczuła zmianę w powietrzu, .jego bogatszy aromat. Otworzyła drzwi na oścież zapuszczając przez nie spojrzenie w gąszcz zieloności zalanej żółtym, blaskiem. Żółte słońce? — zdziwiła się. I po chwili:

Szkło filtracyjne! Przestąpiła próg i drzwi zatrzasnęły się za nią.

— Oranżeria mokrej planety — wyszeptała. Zewsząd otaczały ją doniczkowe'-rośliny i nisko przycięte drzewa. Poznała mimozę, kwitnącą pigwę, sondagi, zielono ukwieconą pleniscentę, akarso w zielone i białe pasy...róże...

Nawet róże! ' •

Nachyliła się nad gigantycznym różowym kwiatem wdychając jego woń, po chwili wyprostowała się i przyjrzała pomieszczeniu. Pochwyciła miarowy szmer. Rozdzieliła gąszcz zachodzących na siebie liści i skierowała spojrzenie na środek pokoju. Ujrzała niziutką fontannę, małą, z kanelurą na cokole. Regularny szmer pochodził od snującego się i rozszczepiającego łuku wody, która spadała do metalowej misy z głuchym odgłosem galopady. Jessika poddała się krótkiemu ćwiczeniu na wyostrzenie zmysłów i rozpoczęła metodyczny obchód po obwodzie pokoju. Na oko miał on około dziesięciu metrów kwadratowych. Z jego położenia ponad szczytem korytarza oraz po subtelnych różnicach w konstrukcji zorientowała się, że został dobudowany na dachu tego skrzydła długo po tym, jak wzniesiono oryginalną budowlę. Przystanęła na południowych obrzeżach pokoju przed szeroką taflą szkła filtracyjnego, rozglądając się wokoło. Cała powierzchnia użytkowa w tym pokoju była zapchana egzotycznymi roślinami z wilgotnego klimatu. Coś zaszeleściło w zieleni. Jessika zastygła w napięciu,

lecz zaraz spostrzegła prosty zegarowy serwok o ramionach z rur i węża. Jedno ramię uniosło się, wyrzuciło drobniutko rozpylony strumień wody, która okryła mgłą jej policzki. Ramię złożyło się, a ona spojrzała, co zostało zroszone: to była paproć drzewiasta. Wszędzie woda w tym pomieszczeniu — na planecie, gdzie woda jest najcenniejszą esencją życia. Marnotrawstwo wody tak rażące, że w Jessice zamarło serce. Wyjrzała ^ na pożółcone filtrem słońce. Uczepiło się nisko nad szczerbatym horyzontem ponad „ ścianami urwisk tworzącymi fragment olbrzymiego skalnego wypiętrzenia znanego

•jako Mur Zaporowy. •

Szkło filtracyjne — pomyślała. — Aby przemienić białe słońce w coś łagodniej-

- szego i bliższego. Któż mógł wybudować takie pomieszczenie? Leto? To do niego podobne, taka niespodzianka jako podarunek dla mnie — tylko że nie było na to czasu. ii miał na głowie poważniejsze sprawy. Przypomniały jej się doniesienia, że wiele ar- 'rakańskich domów izolowano śluzami powietrznymi w drzwiach i oknach dla zacho- 'wania i odzyskiwania wilgoci wnętrzy. Leto powiedział, że zignorowanie takich środ- ,ków ostrożności w ich domu jest świadomą deklaracją potęgi i bogactwa, bowiem ich drzwi i okna zabezpieczono jedynie przed wszechobecnym pyłem. Lecz ten pokój deklarował coś o wiele bardziej znaczącego niż. brak wodnych uszczelnień drzwi wejściowych. Oceniała, że to pomieszczenie rekreacyjne zużywało ilość wody wystarczającą do utrzymania tysiąca osób na Arrakis— być może więcej. Jessika przeszła wzdłuż okna, nie odrywając oczu od wnętrza oranżerii. Dzięki zmianie pozycji dostrzegła przy fontannie metaliczny blat na wysokości stołu, a na nim mignął jej biały notatnik i stylograf, częściowo przesłonięte zwisającym wachlarzowatym liściem. Podeszła do stolika, zauważając na nim inskrypcje Hawata, zapoznała się z treścią zapisanej kartki.

Do lady Jessiki:

Oby to miejsce dało ci tyle szczęścia, ile mnie dawało. Proszę, pozwól, aby len pokój przekazał lekcję, jakiej nauczyłyśmy się od tych samych nauczycieli: bliskość pożądanej rzeczy kusi człowieka, by uległ słabościom. Na drodze tej czyha zguba.

Z najlepszymi życzeniami ' -

Margot lady Fenring

Jessika pokiwała głową przypominając sobie, że Leto wymieniał hrabiego Fenringa jako poprzedniego namiestnika Imperatora na Arrakis. Lecz natychmiastowej

uwagi wymagała zaszyfrowana w liście informacja, której sposób ułożenia mówił, że jej autorka też jest Bene Gesserit. Przelotna myśl napełniła Jessikę goryczą: hrabia poślubił swoją panią. Owa myśl kołatała się jeszcze w jej głowie, gdy już Jessika pochylała się szukając ukrytej wiadomości. Musiała tu być. Pozostawiony na widoku list zawierał kodowy zwrot, jaki każda Bene Gesserit nie związana zakazem szkoły miała obowiązek przekazać drugiej Bene Gesserit, kiedy wymagały tego okoliczności. „Na drodze tej czyha zguba". Jessika zmacała spód listu, przejechała dłonią po powierzchni kartki w poszukiwaniu kropek kodu. Nic. Przebiegła badawczymi palcami brzeg notatnika. Nic. Odłożyła list tak, jak go znalazła, odczuwając naglącą presję. Coś w pozycji listu? — zastanowiła się. Ale Hawat przeszukiwał ten pokój i niewątpliwie poruszył list. Spojrzała na liść ponad kartką. Liść? Przesunęła palcem po spodzie liścia, wzdłuż krawędzi, po szypułce. Jest tutaj! Palce odnalazły delikatne punkciki szyfru, przebiegły tekst jednym pociągnięciem:

„Twój syn i książę są o krok od zguby. Jakąś sypialnię urządzono tak, by skusiła twego syna. H naszpikował ją śmiercionośnymi pułapkami przeznaczonymi do wykrycia, zostawiając jedną, która może ujść uwagi".

Jessika powstrzymała odruch, by natychmiast biec do Pąula; należało zapoznać się z treścią przesłania do końca. Jej palce śmigały po kropkach:

„Nie orientuję się dokładnie w charakterze zagrożenia, ale wiąże się to jakoś z łóżkiem. Groźba dla twego księcia ma związek ze zdradą któregoś z zaufanych towarzyszy lub adiutantów. H zamierza zrobić z ciebie podarunek dla jakiegoś sługusa. O ile wiem, ta oranżeria jest bezpieczna. Wybacz, że nie jestem w stanie powiedzieć więcej. Moje źródła informacji są skąpe, jako że mój hrabia nie zaprzedał się H. Muszę kończyć. MF".

Jessika odepchnęła liść od siebie, obróciła się, by gnać z powrotem do Paula. W tym momencie otworzyły się z trzaskiem drzwi śluzy powietrznej. Wpadł przez próg Pauł ściskając coś w prawej dłoni, zatrzasnął drzwi za sobą. Ujrzawszy matkę przedarł się do niej pomiędzy liśćmi, rzucił okiem na fontannę, włożył dłoń z zaciśniętym w niej przedmiotem pod strugę wody.

— Pauł! — Złapała go za ramię nie spuszczając oczu z jego ręki. —Co to?
Mówił obojętnie, ale w jego tonie wyczuła wysiłek:

— Grot-gończak. Złapałem go w swoim pokoju i zgniotłem mu nos, ale ostrożność nie zawadzi. Woda powinna go załatwić.

— Zanurz go! — rozkazała.
Usłuchał. Po chwili powiedziała:

— Zabierz rękę. Zostaw to w wodzie.

Wyciągnął dłoń i otrząsając z niej wodę spoglądał na nieruchomy kawałek metalu w fontannie. Jessika odłamała łodygę rośliny i szturchnęła nią morderczy oścień. Był martwy. Upuściła łodygę do wody, popatrzyła na Paula. Mierzył wzrokiem pokój z przenikliwą natarczywością, w której rozpoznała Metodę B. G.

— W tym pomieszczeniu można wszystko ukryć — powiedział.

— Mam powody uważać, że jest bezpieczne — odparła.

— Mój pokój też miał być bezpieczny. Hawat powiedział...

— To był grot-gończak — przypomniała mu. — To zaś oznacza, że wewnątrz bu-

dynku musiał być ktoś, kto nim sterował. Wiązka prowadząca grot ma ograniczony zasięg. Mogli tę zabawkę przeszmuglować tutaj po inspekcji Hawata.

Ale myślała o wiadomości z liścia: „...zdrada któregoś z zaufanych towarzyszy lub adiutantów". Nie Hawat przecież. Och, z pewnością nie Hawat.

— Ludzie Hawata właśnie przeszukują dom — powiedział. — Ten gończak omal nie trafił starej kobiety, która przyszła mnie obudzić.

— Szadout Mapes — powiedziała Jessika przypominając sobie spotkanie na schodach. — Ojciec wzywa cię na...

— Z tym możemy zaczekać — przerwał jej Pauł. — Dlaczego uważasz, że ten pokój jest bezpieczny?

Wskazała na list i opowiedziała mu o nim. Odprężył się z lekka. Lecz Jessiki nie

opuściło wewnętrzne napięcie. Grot-gończak! Matko Miłosierna! Tylko swemu wyszkoleniu zawdzięczała to, że nie dostała napadu histerii. Pauł powiedział jakby chodziło o zwykłą rzecz:

— To oczywiście Harkonnenowie. Musimy skończyć z nimi.

Rozległo się pukanie do drzwi śluzy powietrznej — ktoś wystukał hasło korpusu

Hawata.

— Wejść — zawołał Pauł.

Drzwi stanęły otworem i do środka zajrzał wysoki mężczyzna w mundurze Atry-

dów z insygniami Hawata na czapce.

— O, jesteś, sir — rzekł. — Ochmistrzyni powiedziała, że tu będziesz.

Rozejrzał się po pokoju.

— W piwnicy była kamienna pryzma, a w niej nakryliśmy człowieka. Miał konsolę gończaka. .

— Chcę być przy przesłuchaniu — .powiedziała Jessika.

— Przykro mi, o pani. Uszkodziliśmy go w trakcie wyciągania. Umarł.

— Nie ma po czym go zidentyfikować? - *

— Jeszcze nic nie znaleźliśmy, o pani.

— Czy to był ktoś miejscowy? — zapytał Pauł. Jessika skinęła głową doceniając

bystrość pytania.

— Wyglądał na miejscowego — powiedział człowiek Hawata. — Wydaje się, że

\ wsadzili go do tej pryzmy z górą miesiąc temu i zostawili, by czekał w niej na nasze przybycie. Kamień i zaprawa w miejscu, gdzie przedostał się do piwnicy, były nienaruszone, kiedy badaliśmy wczoraj dom. Ręczę za to swą reputacją.

— Nikt nie kwestionuje twej sumienności.

— Ja ją kwestionuję, o pani. Powinniśmy użyć sond akustycznych tam na dole.

— Rozumiem, że właśnie teraz to robicie — powiedział Pauł.

— Tak, sir. .

— Przekaż mojemu ojcu, że się spóźnimy.

— Tak jest, sir. — Zerknął na Jessikę. — Jest rozkaz Hawata, by w takich okolicznościach jak te otoczyć młodego pana strażą w bezpiecznym miejscu.— Ponownie

rozejrzał się po pokoju. — Co to za pomieszczenie?

— Mam powody uważać, że jest bezpieczne — powiedziała. — Sprawdziliśmy

je oboje, Hawat i ja. .

— Postawię iu zatem wartę pod drzwiami, pani, póki nie przeczeszemy pałacu jeszcze raz.

Skłonił się, zasalutował Paulowi i wycofał się tyłem zatrzaskując za sobą drzwi. Pauł przerwał nagłą ciszę: /

— Nie lepiej, żebyśmy później sami przeszukali dom? Twoje oczy potrafią zobaczyć rzeczy, które umkną innym.

— To skrzydło było jedynym miejscem, którego nie zbadałam — powiedziała. — Odłożyłam to na później, ponieważ...

— Ponieważ Hawat zajął isię nim osobiście — dokończył.
Spojrzała mu w twarz.

— Nie ufasz Hawatowi? — spytała.

— Ufam, ale on się starzeje...jest przepracowany. Moglibyśmy ulżyć mu trochę.

— To by go tylko upokorzyło i zmniejszyło jego sprawność — powiedziała. — Mucha się nie dostanie do tego skrzydła, jak on o tym usłyszy. Będzie mu wstyd, że...

— Musimy poczynić własne kroki — powiedział Paul.

— Hawat służy 7 honorem już trzeciemu pokoleniu Atrydów — odparła. — Zasługuje na wszelki szacunek i zaufanie, na jakie nas stać...po wielekroć.

— Kiedy ojcu nie podoba się coś, co robisz, mówi „Bene Gesserit!", jakby, to było przekleństwo. '

— A co takiego nie podoba się we mnie twemu ojcu?

— Kiedy się •/. nim spierasz.

— Nie jesteś swoim ojcem, Paul. . "
I Paul pomyślał: Zmartwię ją, ale muszę jei powiedzieć, co ta baba Mapes naplotła'o zdrajcy wśród nas.

— Co ty ukrywasz? — spytała Jessika. — To do ciebie niepodobne, Paul.
Wzruszył ramionami i zrelacjonował rozmowę z Mapes. A Jessika pomyślała o liściu z informacją. Nagle podjęła decyzję; pokazała liść Paulowi i zakomunikowała

mu treść ostrzeżenia.

— Ojciec musi się natychmiast o tym dowiedzieć — powiedział. — Zakoduję wiadomość i wyślę mu radiogram. .

— Nie. Zaczekasz, aż będziesz z nim w cztery oczy. O tym musi wiedzieć jak najmniej osób.

— Chcesz powiedzieć, że nie powinniśmy ufać nikomu?

— Jest jeszcze inna możliwość. Tu może chodzić tylko o to, by ta wiadomość, do nas dotarła./Ludzie, którzy nam ją przekazali, może i wierzą w jej prawdziwość, ale kto wie, czy dotarcie do nas nie było jedynym zadaniem tej informacji.

Wyraz ponurej zawziętości nie schodził z twarzy Paula.

— By zasiać nieufność i podejrzliwość w naszych szeregach i osłabić nas'w ten

sposób — powiedział. /

— Musisz zawiadomić,ojca na osobności i naświetlić mu sprawę pod tym kątem.

— Rozumiem. ' >

,,,. Odwróciła się do tafli szkła filtracyjnego, zapatrzyła się w stronę południowo-zachodnią, gdzie zapadało słońce Arrakis :— żółta kula tuż nad skalnymi urwiskami. Paul odwrócił się wraz z nią.

— Ja też nie myślę, że to Hawat. Czyżby Yueh?

— Nie-jest ani adiutantem, ani towarzyszem — powiedziała. — I mogę cię zapewnić, że nienawidzi Harkonnenów równie zawzięcie jak my.

Paul skierował swą uwagę ku urwiskom. I na pewno nie Gurney... ani Duncan.

-Może któryś z podadiutantów? Wykluczone. Wszyscy oni pochodzą z rodzin od pokoleń nam wiernych — i nie bez powodów.

Jessika potarła czoło, była zmęczona. Ileż tutaj niebezpieczeństw! Zatopiła spojrzenie w przefiltrowany na żółto pejzaż; zaczęła go studiować. Poza książęcymi włościami rozciągał się ogrodzony wysokim parkanem teren składowiska, na nim rzędy przyprawowych silosów, a wokół nich szczudłonożne wieże strażnicze rozstawiły się jak chmara najeżonych pająków. Ogarniała wzrokiem przynajmniej dwadzieścia składowisk z silosami ciągnącymi się po urwiska Muru Zaporowego — silos za silosem jakby kuśtykały przez basen. Przefiltrowane słońce z wolna zapadło się pod horyzont. Wyprysły gwiazdy. Zauważyła jedną jasną gwiazdę tak nisko nad horyzontem, że migotała w wyraźnym, regularnym rytmie — mrugające światełko: mig — mig — mig —

mig — mig...

Paul poruszył się przy niej w mrocznym pokoju. Lecz Jessika skoncentrowała

się na tej pojedynczej gwieździe uświadamiając sobłe, że jest ona zbyt nisko, że to światło musi dochodzić ze ścian Muru Zaporowego. Ktoś sygnalizuje. Spróbowała odczytać wiadomość, ale był to kod, jakiego się nigdy nie uczyła. Inne światełka rozbłysły w dole na równinie pod urwiskami: maleńkie żółtości rozsiane na tle granatowej nocy. '

-I w lewo od nich jedno światło rozjarzyło się jaśniej i na uboczu, zaczęło mrugać urwiskom bardzo szybko: mignięcie, migotanie, mig! I zgasło. Fałszywa gwiazda w urwisku odmrygała natychmiast.

Sygnały...Napełniły ją one złym przeczuciem. Dlaczego użyto świateł do sygnalizacji przez basen? — postawiła sobie pytanie. Dlaczego nie korzystali z sieci łączności? Odpowiedź nasuwała się sama: <ieć telekomunikacyjna była już z pewnością na podsłuchu agentów księcia Leto. Sygnały świetlne mogły oznaczać tylk,o jedno:

że wiadomości przesyłali sobie jego wrogowie — agenci Harkonnenów.
Za plecami usłyszeli pukanie do drzwi i głos człowieka Hawata:

— Wszystko w porządku, sir...pani. Czas wyprawić młodego pana do ojca.

Mówi się, że książę Leto zamknął oczy na groźby ArraRis, że zrobił nierozważny krok w przepaść. Czyż nie bliższe prawdy będzie, jeśli powiemy, że żyjąc tak długo w obliczu najwyższego zagrożenia, nie docenił zmiany w jego natężeniu? A może świadomie poświęcił siebie, aby jego sy-

nowi przypadło lepsze życie? Wszystkie fakty wskazują, że książę był człowiekiem, którego niełatwo wywieść w pole. • , ..,,..,.,

• y „Muud Dih. komentarze o rod/.inic pióra księżniczki Irulan

. Książę Leto Atryda wsparł się o parapet wieży kontrolnej lądowiska pod Arra--kin. Pierwszy księżyc nocy — płaska, srebrna moneta — wisiał już całkiem wysoko ponad południowym horyzontem. Pod nim zębate ściany Muru Zaporowego połyskiwały za mgiełką pyłu jak spękany lukier. Z lewej strony jarzyły się we mgle światła

71

Arrakin — żółć...biel...granat. Pomyślał o obwieszczeniach opatrzonych jego podpisem i rozlepionych teraz po wszystkich zaludnionych miejscach planety:

„Nasz Najjaśniejszy Padyszach Imperator nakazał mi wziąć we władanie tę planetę i położyć kres wszelkim waśniom". Ich ceremonialna formuła przepełniła go uczuciem osamotnienia. Kto się nabrał na ten dęty legalizm? Na pewno nie Fremeni. Ani rody niskie mające w swych rękach handel wewnętrzny Arrakis...i będące prawie co do jednego ludźmi Harkonnenów.

Targnęli się na życie mojego syna!

Trudno mu było opanować wściekłość. Zobaczył światła jadącego pojazdu zbliżające się do lądowiska od strony Arrakin. Miał nadzieję, że był to transporter gwardii 1 wojska przywożący Paula. Zwłoka była irytująca, chociaż wiedział, że wynikła z ostrożności porucznika w służbie Hawata.

Targnęli się na życie mojego syna!

Potrząsnął głową, by opędzić się od złych myśli, obejrzał się na lądowisko, gdzie pięć z jego własnych fregat tkwiło na obwodzie niczym strażnicy z monolitu. Lepsza ostrożna zwłoka niż... To był dobry porucznik, przypomniał sobie. Człowiek wyznaczony do awansu, całkowicie oddany. „Nasz Najjaśniejszy Padyszach Imperator.'.."

Gdyby tylko mieszkańcy tegołpodupadłego garnizonowego miasta zobaczyli prywatny list Imperatora do swego „Szlachetnie Urodzonego Księcia" — pogardliwe aluzje do zakwefionych mężczyzn i kobiet...ale czegóż więcej można oczekiwać od dzikusów, których najgorętszym'marzeniem jest żyć poza bezpiecznym ładem faufreluches?" Książę czuł w tym momencie, że jego własnym najgorętszym marzeniem jest położenie kresu wszystkim różnicom klasowym i żeby zapomnieć na zawsze o morderczym ładzie. Spojrzał w górę ponad pyłem na nieruchome gwiazdy i pomyślał: Wokół jednego z owych maleńkich światełek krąży Kaladan...lecz ja nigdy więcej nie zobaczę swojego domu.

Z tęsknoty za Kaladanem poczuł nagły ból w piersi. Czuł, że ból nie wziął się z niego samego, że dosięgną! go z Kaladanu. Nie mógł zmusić się do nazwania tej wyschniętej, jałowej ziemi swoim domem i.wątpił, by kiedykolwiek był w stanie. Muszę maskować swoje uczucia — pomyślał. — Dla dobra chłopaka. Jeśli kiedykolwiek ma mieć 'dom, musi to być tutaj. Ja mogę uważać Arrakis za piekło, do którego dostałem się przed śmiercią, lecz on musi odszukać tutaj coś, w czym znajdzie natchnienie. Coś musi być tutaj!

Ogarnęła go fala- litości nad samym sobą, wzgardzonej i odrzuconej natychmiast i przyłapał się na tym, .że z jakiegoś powodu czepia się jego pamięci dwuwiersz z kasydy przytaczanej często przez Gurneya Hallecka:

W pierś łapię oddech Czasu,
za którym opadł piach...

No tak, Gurney znajdzie tutaj sporo opadającego piachu, pomyślał książę. Cent-

ralne pustkowie za tymi oszkliwionymi księżycem urwiskami było pustynią: naga skała, wydmy i tumany pyłu — nie zbadane pustkowie z grupkami Fremenów tu i ówdzie, na skraju, a może i' rozsianymi po tej pustyni. Jeśli cokolwiek miało zapewnić przyszłość'. Atrydom, mogli to zrobić właśnie Fnemeni. Pod warunkiem, że Harkonnenowie nie zarazili ich swoimi krwawymi intrygami.

Targnęli się na życie mojego syna!
Zgrzytliwy, metaliczny łoskot wprawił wieżę w wibrację, zatrząsł balustradą pod rękami księcia. Przeciwpodmuchowe osłony zapadły przed nim odcinając widok. Prom przybywa — pomyślał. Pora zejść i zabrać się do roboty. Zawrócił ku schodom za swoimi plecami, ruszył na dół do wielkiej sali przylotów, starając się odzyskać spokój podczas schodzenia i przygotować*twarz na nadchodzące spotkanie.

Targnęli się na życie mojego syna!

Ludzie tłoczyli się już z lądowiska do środka, kiedy dotarł do nakrytej żółtą kopułą hali. Niosąc zarzucone na ramiona marynarskie worki pokrzykiwali i dokazywali jak uczniowie wracający z kolonii.

— Hej! Wyczuwasz to pod swoimi platfusami? To ci dopiero ciążenie, brachu!

— Ile tu mają stałej grawitacyjnej? Czuje się wagę.

— Dziewięć dziesiątych G, jak stoi w księgach. (

Bezładny gwar słów wypełnił ogromną salę.

— Przyjrzałeś się dobrze tej dziurze podczas lądowania? Gdzie leży cały ten szmal, jaki miał na nas czekać?

— Harkonneny zwinęły go ze sobą!

— Ja pod gorący prysznic i buch do łóżka!

— Nie słyszałeś, idioto? Tutaj nie ma pryszniców. Szorujesz dupę piaskiem!

— Hej! Mordy w kubeł! Książę!

Książę wyszedł z klatki schodowej na ucichła nagle salę. Gurney Halleck kroczył przy skraju tłumu; na jednym ramieniu niósł torbę, w drugiej ręce ściskał gryf swej dziewięciostrunowej balisety. Miał długopalce dłonie z wielkimi kciukami, zdolne do drobnych ruchów, którymi dobywał tak delikatną muzykę z balisety. Książę obser- . wował Hallecka podziwiając zwalistego brzydala, zauważył lustrzane refleksy źrenic, a w nich błysk barbarzyńskiego zrozumienia. Oto człowiek, który żył poza faufreluches, przestrzegając ich jednocześnie w każdym przykazaniu. Jak to go Paul. nazwał? „Gurney Waleczny". Kosmyki jasnych cienkich włosów snuty się po wyłysiałcj miejscami głowie. Szerokie usta wykrzywił w wesołym' uśmiechu, a blizna po chlaśnięciu krwawinowym biczem ruszała się. jakby żyła własnym życiem. Z całej jego postaci biła niedbała, niedźwiedzia siła. Podszedł do księcia, schylił się w ukłonie.

— Gurney — powiedział książę. ,

— Mój panie — Gurney wyciągnął baliście w kierunku ludzi na sali. — To już reszta. Wolałbym przybyć z pierwszym rzutem, ale...

— Zostało dla ciebie jeszcze trochę Harkonnenów — powiedział książę. — Chodź

ze mną na stronę, to pogadamy.

— Rozkazuj, mój panie.

Przenieśli się do alkowy koło sprzedającego wodę automatu ze szczeliną na monety, podczas gdy ludzie kręcili się nerwowo po ogromnej poczekalni. Halteck cishaj

torbę w kąt, nie wypuszczając z ręki balisety.

— Ilu ludzi możesz dać Hawatowi? — zapytał książę.

— Czy Thufir jest w tarapatach, Sire? • ' ,

— Stracił zaledwie dwóch agentów, ale jego straż przednia wspaniale rozpracowała całą tutejszą siatkę Harkonnenów. Jeśli będziemy działać szybko, zapewnimy sobie niejakie bezpieczeństwo, tak potrzebną nam chwilę wytchnienia. On chce tylu ludzi, ilu tylko możesz zwolnić — lodzi, którzy nie zawahają się popracować i nożem.

— Mogę mu dać trzy setki moich najlepszych — powiedział Halleck. — Gdzie mam ich odesłać?

— Do głównej bramy. Czeka tam agent Hawata, który ich przejmie.

— Mam się tym zająć natychmiast, Sire?

— Za chwilę. Mamy jeszcze jeden kłopot. Komendant lądowiska pod jakimś pretekstem zatrzyma tu prom do świtu. Galeon Gildii, którym przybyliście, leci dalej w swoich interesach, zaś prom ma spotkać się z towarowcem zabierającym stąd ładunek przyprawy.

— Naszej przyprawy, panie? " '

—^ Naszej przyprawy. Ale prom zabierze również niektórych poszukiwaczy przyprawy starego reżimu. Optowali za wyjazdem przy zmianie lenna, a Sędzia Zmiany im nie zabrania. To cenni pracownicy, Gurney, jest ich około ośmiuset. Do odlotu promu musisz namówić część z nich, by zaciągnęli się do nas.

— Jak mocno namawiać, Sire?

— Zależy mi na ich dobrowolnej współpracy, Gurney. Ci 'ludzie posiadają niezbędne nam doświadczenie i umiejętności. Fakt, że odlatują, sugeruje, iż nie są częścią machiny Harkonnenów. Hawat jest przekonany, że w grupie będzie paru podstawionych łotrów, ale on widzi assassinów w każdym cieniu. - •

— W swoim życju Thufir wypatrzył kilka wielce obiecujących cieni, panie.

— Są i takie, których nie wypatrzył. Ale moim zdaniem podrzucenie takich kukułczych jaj w ten tłum odjeżdżających to za dużo jak na wyobraźnię Harkonnenów.

— Możliwe, Sire. Gdzie są ci ludzie?

— Piętro niżej, w poczekalni na dole. Proponuję, abyś zszedł, na dół i zagrał ze dwie chwytające za serce melodie, po czym ich przyciśniesz. Możesz oferować kierownicze stanowiska dla posiadających kwalifikacje. Zaproponuj płace wyższe o dwadzieścia procent niż dostawali u Harkonnenów. • .

— Tylko dwadzieścia, Sire? Znam siatkę płac Harkonnenów. A w oczach ludzi

z-końcową odprawą w kieszeniach, i gorączką podróży w sercach... no cóż, Sire... dwadzieścia procent to raczej słaba pokusa do pozostania.

Leto powiedział ze zniecierpliwieniem:

— Więc sam decyduj o każdym przypadku z osobna. Pamiętaj tylko, że skarbiec nie jest bez dna. Tam, gdzie zdołasz, trzymaj się dwudziestu procent. Zależy nam szczególnie na melanżerach, przepatrywaczach pogody, diunidach — na wszystkich obytych z otwartymi piaskami.

—Rozumiem, Sire. „Przybędą spragnieni gwałtu: chmarą nadlecą jako wschodni wiatr i będą zbierać, co piach więzi",

— Bardzo wzruszający cytat — powiedział książę. — Przekaż swój oddział adiutantowi. Niech przeprowadzi krótkie przeszkolenie z reżimu wody, po czym zakwateruje ludzi na noc w barakach przy lądowisku. I nie zapomnij o ludziach dla Hawata.

— Trzy setki najlepszych, Sire. — Gurney podniósł swój marynarski worek. —

Gdzie mam się meldować po wykonaniu zadań?

— Zająłem pokój konferencyjny na górze. Odbędziemy tam naradę sztabową.

Chcę ustalić nowy system rozmieszczenia sił na planecie, poczynając od rozlokowania brygad pancernych.

Halleck zatrzymał się w pół obrotu, spojrzał Leto w oczy.

— Spodziewasz się tego rodzaju kłopotu, Sire? Myślałem, że jest tutaj Sędzia

Zmiany.

— I otwartej walki i podchodów — powiedział książę. — Popłynie tu rzeka krwi,

zanim będziemy to mieli za sobą.

— „A woda, którą czerpiesz z rzeki, w krew się przemieni na jałowej ziemi" —

wyrecytował Halleck.
Książę westchnął.

— Wracaj jak najprędzej, Gurney.

— Doskonale, panie. — Pręga po biczu zafalowała od szerokiego uśmiechu. —

„Syćcie oczy, bom jak dziki osioł pustyni kroczący do swej pracy".

Odwrócił się, wymaszerował na środek sali, przystanął, by wydać rozkazy, pospiesznie przecisnął się przez tłum ludzi. Leto pokręcił za nim głową. Halleck nie przestawał go zdumiewać — głowa nabita pieśniami, sentencjami i kwiecistymi aforyzmami...a serce assassina, gdy przychodzi mieć do czynienia z Harkonnenami. Wkrótce Leto ruszył wolnym krokiem na ukos przez salę w stronę windy, przyjmując honory niedbałym machnięciem ręki. Zauważył człowieka z korpusu propagandy, zatrzymał się, przekazując mu wiadomość do podania" ludziom przez radiowęzeł: ci, którzy przywieźli ze sobą kobiety, oczekiwali zapewnienia, że są one bezpieczne i gdzie je można znaleźć. Pozostali chcieliby wiedzieć, że tutejsza ludność okazuje się szczycić większą liczbą kobiet niż mężczyzn. Książę klepnął człowieka z propagandy po ramieniu, znak, że wiadomość ma bezwzględne pierwszeństwo i ma być nadana natychmiast, po czym ruszył dalej przez salę. Kiwał ludziom głową w ukłonie, uśmiechał się, wymienił uprzej-

mości z młodszym oficerem. Władza musi zawsze sprawiać wrażenie pewnej siebie — myślał. Dźwigać całe to brzemię zaufania na barkach, kiedy jest się w krytycznym położeniu, i nigdy tego po sobie nie pokazać. Wydał westchnienie ulgi, kiedy wchłonęła go winda i mógł odwrócić się, i stanąć twarzą do bezosobowych drzwi.
Targnęli się na życie mojego syn.a!

Ponad wyjściem na płytę lądowiska Arrakin widnieje toporny, jakby prymitywnym narzędziem ciosany napis, którego słowa Muad'Dib miał później powtarzać wiele razy. Zobaczył je owej pierwszej nocy na Arrakis, kiedy przywieziono go na książęce stanowisko dowodzenia, aby wziął udział w pierwszej naradzie pełnego sztabu swego ojca. Słowa zawierały prośbę do tych, co opuszczają Arrakis, lecz zapadły mrocznym ciężarem w serce chłopca, który dopiero co umknął spod skrzydeł śmierci. Brzmiały: „O wy, którzy wiecie, jak tutaj cierpimy, nie zapomnijcie o nas

w waszych modlitwach". • ' .... „-., .. , . . ,., ,

7 „Kroikiej historii Muad Diba piorą księżniczki Irulan

Cała teoria sztuki wojennej sprowadza się do obliczenia ryzyka — powiedział książę — lecz kiedy przychodzi do ryzykowania własną rodziną, element kalkulacji rozmywa się w...innych sprawach.

Wiedział, że nie panuje nad swym gniewem tak dobrze, jak powinien, odwrócił się i wielkimi krokami przemierzył długość ogromnego stołu tam i z powrotem. Książę i Pauł znajdowali się sami w sali konferencyjnej lądowiska. Był to pokój z głuchym pogłosem, wyposażony jedynie w długi stół, trójnożne antyczne krzesła stojące wokół niego, tablicę na mapy oraz projektor w drugim końcu pokoju. Pauł siedział przy stole pod tablicą. Opowiedział ojcu przygodę z grotem-gończakiem i przekazał informacje o grożącej mu zdradzie.

Książę zatrzymał się naprzeciwko Paula, walnął w stół:

— Hawat mówił mi, że dom jest bezpieczny!
Pauł odezwał się niepewnie:

— Ja też byłem zły...z początku. I obwiniałem Hawata. Lecz ten atak wyszedł spoza pałacu. Był prosty, sprytny i bezpośredni. I powiódłby się, gdyby nie wyszkolenie, jakie przeszedłem pod kierunkiem twoim i wielu innych, łącznie z Hawatem.

— Bronisz go? — zapytał książę.

— Tak.

— On się starzeje. Ot co. Powinien...

— Jest mądry ogromnym doświadczeniem — powiedział Pauł. — Ile pomyłek Hawata możesz wymienić?

— To ja powinienem go bronić — powiedział książę. — Nie ty.

Pauł uśmiechnął się. Leto przysiadł u szczytu stołu, objął syna ramieniem.

— Ostatnio...wydoroślałeś, synu.

Zabrał rękę. Odpowiedział uśmiechem na uśmiech syna.

— Cieszy mnie to. Hawat sam si^ę ukarze. Większy będzie jego gniew na siebie samego z tego powodu niż gniew nas obu razem wzięty.

Pauł spojrzał na pociemniałe okna za tablicą map, zatopił wzrok w czerni nocy.

Światło sali odbijało się od balustrady balkonu za oknami. Dostrzegł ruch i rozpoznał sylwetkę strażnika w mundurze Atrydów. Przeniósł spojrzenie na białą ścianę za plecami ojca, następnie w dół ku błyszczącej powierzchni stołu, zauważając na niej swoje własne dłonie zaciśnięte w pięści.

Drzwi naprzeciwko księcia rozwarły się gwałtownie. Wkroczył przez nie Thufir Hawat starzej wyglądający i bardziej jakby żylasty niż zwykle. Przeszedł całą długość stołu, zatrzymał się na baczność twarzą w twarz z Leto.

— Panie mój — odezwał się mówiąc do jakiegoś punktu ponad głową Leto — dowiedziałem się właśnie, jak cię zawiodłem. Zachodzi konieczność złożenia' przeze mnie rezyg...

— Och, siadaj i przestań się wygłupiać — przerwał mu książę. Wskazał krzesło naprzeciwko Paula. — Jeżeli się pomyliłeś, to przeceniając Harkonnenów. Ich prostackie umysły wyjechały z prostacką zagrywką. Nie braliśmy pod uwagę prostackich zagrywek. Syn mój zadał sobie wiele trudu, by mi dowieść, że wyszedł z tego głównie * dzięki twoim naukom. Tutaj mnie nie zawiodłeś.

Poklepał oparcie wolnego krzesła.

— Siadaj, mówię!

Hawat osunął się na krzesło.

— Ale...

— Nie chcę więcej o tym słyszeć — powiedział książę. — Incydent należy do przeszłości. Mamy pilniejsze sprawy. Gdzie reszta?

— Prosiłem ich, by zaczekali za drzwiami, kiedy ja...

— Zawołaj ich.

Hawat popatrzył Leto prosto w oczy.

— Sire, ja...

— Ja wiem, kto jest moim prawdziwym przyjacielem, Thufir — powiedział książę. — Zawołaj ludzi.

Hawat przełknął ślinę.

— Tak jest, mój panie. '

Obróciwszy się w krześle zawołał w stronę otwartych drzwi: ,

— Gurney, wprowadź ich.

Halleck wprowadził do pokoju korowód ludzi, na przedzie oficerowie sztabowi z ponurą powagą na twarzach, za nimi młodsi asystenci i eksperci tryskający zapałem. Krótkotrwałe odgłosy szurania rozeszły się echem po sali, kiedy ludzie zajmowali miejsca. Delikatny aromat stymulacyjnej rachag unosił się nad stołem.

— Jest kawa, jeśli ktoś ma ochotę — powiedział książę. Popatrując po swoich ludziach pomyślał: Dobra z nich ekipa. Ten rodzaj wojny mógł bardziej człowieka

wykończyć.

Czekał, aż przyniesiono z sąsiedniego pokoju i podano kawę, dostrzegając na nie-
których twarzach oznaki zmęczenia. Wkrótce przywdział swą maskę spokoju i kompe-
tencji, powstał i zastukał w blat knykciami dla przywołania uwagi.

— A więc, panowie — powiedział — nasza cywilizacja popadła zdaje się tak da-
lece w nałóg inwazji, że nawet nie możemy wykonać prostego rozkazu Imperium,

żeby się nie napatoczyć na stare zwyczaje.

Rozległy się zduszone śmiechy dokoła stołu i Paul zdał sobie sprawę, że jego oj-
ciec powiedział dokładnie właściwą rzecz dokładnie właściwym tonem, aby poprawić
nastrój na sali. Nawet ślad znużenia w jego głosie był na miejscu.

— Myślę, że najpierw powinniśmy się dowiedzieć, czy Thufir może cokolwiek

dorzucić do swego raportu o Fremenach. Thufir?

\ Hawat podniósł oczy.

— Mam pewne ekonomiczne sprawy do przestudiowania po moim ogólnym ra-
porcie, Sire, ale mogę już powiedzieć, że Fremeni zaczynają coraz bardziej wyglądać
na takich sojuszników, jakich potrzebujemy. Chcą nabrać pewności, że mogą nam
zaufać, lecz wydają się postępować szczerze. Przysłali nam podarunek — filtrfraki
ich własnego wyrobu... mapy pewnych rejonów pustyni, na których pozostały punkty
oporu Harkonnenów... — Spojrzał wzdłuż stołu. — Doniesienia ich wywiadu oka-
zały się absolutnie wiarygodne i pomogły nam znacznie w naszych stosunkach z Sę-
dzią Zmiany. Przysłali również nieco drobiazgów — biżuterię dla lady Jessiki, przy-
prawę, alkohole, słodycze, leki. Moi ludzie to teraz przetrząsają. Wydaje się, że nie ma
żadnego podstępu.

77

— Podobają ci się oni, Thufir? — zapytał ktoś' z końca stołu. Hawat obrócił się
twarzą do pytającego. .

— Duncan Idaho twierdzi, że należy tych ludzi podziwiać.

Paul zerknął na ojca, potem znowu na Hawata i zaryzykował pytanie:

— Masz jakąś informację, ilu jest Fremenów?
Hawat spojrzał na Paula.

— Na podstawie przetwórstwa żywności i innych dowodów Idaho oblicza kom-
pleks jaskiń, w którym przebywał, na ogółem jakieś dziesięć tysięcy ludzi. Ich przy-
wódca powiedział, że ma pod sobą sicz składającą się z dwóch tysięcy ognisk domo-
wych. Mamy powody przypuszczać, że takich siczowych społeczności jest sporo. Wy-
gląda na to, że wszystkie składają hołd komuś, kto zwie się Liet.

— To coś nowego — powiedział Leto.

— Może tu się mylę, Sire. Są pewne poszlaki', że ów Liet mógłby się okazać miej-
scowym bóstwem.

Ktoś inny, z dalszego miejsca, odchrząknął i zapytał:

— Czy to pewne, że prowadzą interesy z przemytnikami?

— W czasie pobytu Idaho w siczy wyruszyła stamtąd karawana przemytników
obładowana przyprawą. Używali jucznych zwierząt i wskazywali, że mają przed sobą
osiemnastodniową wędrówkę.

— Przemytnicy jakby podwoili swoje operacje w tym niespokojnym okresie — powiedział książę. — Trzeba się nad tym dobrze zastanowić. Nie powinniśmy zbytnio przejmować się startami nie posiadających koncesji fregat z naszej planety, zawsze tak było. Ale całkowicie stracić je z oczu byłoby niedobrze.

— Masz jakiś plan, Sire? — zapytał Hawat. -
Książę popatrzył na Hallecka.

— Gurney, chcę, abyś powiódł delegację-poselstwo, jeśli wolisz, w celu nawiązania kontaktów z tymi romantycznymi biznesmenami. Powiesz im, że przymknę oczy na ich działalność, dopóki składać mi będą książęcą dziesięcinę. Nasz Hawat szacuje, że przekupstwo i dodatkowe oddziały wojowników kosztowały ich cztery razy tyle.

— Co będzie, jeśli Imperator to wyniucha? — zapytał Halleck. — Jest bardzo zazdrosny o swoje zyski z KHOAM, mój panie.
Leto uśmiechnął się.

— Całą dziesięcinę złożymy otwarcie w banku na konto Szaddama IV, a odejmiemy ją legalnie z sumy płaconej przez nas na utrzymanie pomocniczych zaciągów wojskowych. N'iech Harkonnenowie spróbują to ugryźć! I przy okazji oskubiemy paru miejscowych, którzy wzbogacili się w systemie Harkonnenów. Koniec z łapówkami!

Halleck wykrzywił usta w uśmiechu.

— Ach, mój panie, jaki piękny cios poniżej pasa. Chciałbyrri zobaczyć oblicze barona, kiedy się o tym dowie.

Książę zwrócił się do Hawata.

— Thufir, masz te księgi rachunkowe, o których mówiłeś, że możesz je kupić?

— Tak, mój panie. Są szczegółowo badane nawet w tej chwili. Wszelako przerzuciłem je i mogę podać pierwszą przybliżoną ocenę.

— Więc podaj.'

78

— Harkonnenowie wyciągali stąd dziesięć miliardów solaris co trzysta trzydzieści dni standardowych.

Zduszone westchnienie obiegło stół. Nawet zdradzający pewne znudzenie młodsi asystenci wyprostowali się i wymienili spojrzenia szeroko otwartych oczu. Halleck zamruczał:

'— „Albowiem będą czerpać z .obfitości mórz i bogactwa, jakie piasek kryje".

— Widzicie, panowie — powiedział Leto. — Czy jest tu ktoś na tyle naiwny ,-by wierzył, że Harkonnenowie grzecznie spakowali swoje manatki i odeszli tylko dlatego, że tak przykazał Imperator?

Nastąpiło ogólne kręcenie głowami, szmer potakiwań.

— Wszystko musimy brać z mieczem w dłoni — powiedział Leto. — Dobry moment na sprawozdanie o sprzęcie — zwrócił się do Hawata. — Ile nam zostawili piachogąsieników, żniwiarek, przetwórni przyprawy i czego tam jeszcze?

— Pełny inwentarz, jak stoi wypisane w imperialnym remanencie zbilansowanym przez Sędziego Zmiany, mój panie.

Hawat skinął na asystenta, ten podał mu prospekt, który Hawat otworzył przed

sobą na stole.

— Zapomnieli dodać, że mniej niż połowa gąsieników jest na chodzie, że za-
ledwie około jedna trzecia ma zgarniarki na dolot do przyprawowych piasków — że
wszystko, co nam Harkonnenowie zostawili, lada chwila runie i rozleci się na kawał-
ki. Będziemy mieli szczęście, jeśli uruchomimy połowę sprzętu, a jeszcze większe, je-
śli czwarta część urządzeń popracuje chociaż pół roku.

— Prawie tak, jak przypuszczaliśmy — powiedział Leto. — Jak się przedstawia
dokładne zestawienie podstawowego sprzętu?
Hawat spojrzał w swój prospekt.

— Około dziewięciuset trzydziestu żniwnych kombajnów gotowych, ruszyć za
parę dni. Około sześciu tysięcy dwustu pięćdziesięciu ornitfcpterów do poszukiwań,
zwiadu i obserwacji pogody...zgarniarek nieco poniżej tysiąca.

— Czy nie byłoby taniej — powiedział Halleck — wznowić negocjacje z Gildią
,co do zezwolenia na wprowadzenie na orbitę fregaty w charakterze satelity meteoro-
logicznego?

Książę spojrzał na Hawata.

— Nic nowego w tej sprawie, co, Thufir? • ,
- . — Na razie musimy szukać innych rozwiązań — powiedział Hawat. — Agent
Gildii niczego z nami tak naprawdę nie negocjował. Dawał jedynie do zrozumienia —
jak mentat mentatowi — że cena jest poza naszym zasięgiem i pozostanie taka bez
względu na to, jak wysoko zajdziemy. Naszym zadaniem jest dowiedzieć się dlaczego,
zanim ponownie go zaczepimy.

Jeden z asystentów Hallecka w głębi sali wykręcił się na krześle i warknął:

— I to ma być sprawiedliwość!' .

— Sprawiedliwość? — książę zmierzył go wzrokiem. — Kto szuka sprawiedli-
wości? Zaprowadzimy naszą własną sprawiedliwość. Zaprowadzimy ją tutaj na Ar-
rakis — zwyciężając albo ginąc. Czy żałujesz, sir, ze związałeś z nami swój los?

Mężczyzna wpatrywał się przez chwilę w księcia.

79

— Nie, Sire. Nie mogłeś nie przyjąć najbogatszego w naszym wszechświecie pla-
netarnego źródła dochodu...a mnie nie pozostawało nic innego, jak pójść za tobą.
Przepraszam za wybuch, ale... — Wzruszył ramionami. — Wszyscy chyba czasami
odczuwamy rozgoryczenie.

'— Rozgoryczenie to ja rozumiem — powiedział książę. — Ale przestańmy uża-
lać się na sprawiedliwość, dopóki-mamy ręce i możemy nimi władać. Czy ktoś jeszcze
żywi rozgoryczenie? Jeśli tak, niech mówi. To jest przyjacielska narada, gdzie każdy
może powiedzieć, co mu leży na sercu.

Halleck poruszył się. .

— Sadzę, że to, co nas gryzie, Sire, to brak jakichkolwiek ochotników z innych
wielkich rodów. Nazywają cię Leto Sprawiedliwym i przysięgają ci wieczną przyjaźń,
byle tylko ich to nic nie kosztowało.

— Jeszcze nie wiedzą, kto wygra tę zmianę — powiedział książę, r— Większość
rodów doszła do majątku dzięki unikaniu ryzyka. Nie można ich za to tak naprawdę
winić, można nimi co najwyżej pogardzać. — Spojrzał na Hawata. — Mówiliśmy
o sprzęcie. Czy zechciałbyś wyświetlić kilka maszyn, żeby ludzie zapoznali się z tymi

urządzeniami?

Hawat kiwnął głową, dał znak asystentowi przy projektorze. Trójwymiarowe solido pojawiło sig na powierzchni stołu w'odległości ^około jednej trzeciej blatu od księcia. Niektórzy z dalszych miejsc powstawali, by lepiej widzieć. Pauł wychylił -się do przodu obserwując maszynę. Mierzona skalą maleńkich figurek ludzkich dokoła, miała ze sto dwadzieścia metrów długości j około czterdziestu szerokości. W ogólnych zarysach był to długi, insektowaty korpus poruszający się na układach niezależnych szerokich kół. . '

— To jest kombajn żniwny — wyjaśnił Hawat. — Wybraliśmy do projekcji taki w dobrym stanie. Jest tu jeden zestaw linowłókowy przywieziony przez pierwszą ek-ipę ekologów imperialnych, ale wciąż jeszcze na chodzie...chociaż nie mam pojęcia jak...ani po co. •

. — Jeżeli to ten zwany „Starą Marią", to należy on do muzeum •*- powiedział któ--' ryś z asystentów. — Myślę, że Harkonnenowie utrzymywali go jako rodzaj kary, miecza zawieszonego nad głowami robotników. Bądź grzeczny, bo przydzielimy cię na „Starą Marię".

Dokoła rozległy się chichoty. Pau] nie brał udziału w tej wesołości, jego uwagę zaprzątała projekcja i pytanie wypełniające myśli. Wskazał obraz na stole i powiedział:

— Thufir, czy istnieją piaskowe czerwie tak wielkie, by mogły to połknąć w całości? .

Nad stołem raptownie zapadła cisza. Książę zaklął pod, nosem, ale po chwili pomyślał: Nie, oni muszą stawić czoło tutejszej rzeczywistości.

— W głębi pustyni żyją czerwie, które mogą wziąć cały tęp kombajn na jeden ząb — powiedział Hawat. — Tutaj bliżej Muru Zaporowego, gdzie prowadzi się większość prac wydobywczych, jest też mnóstwo czerwi zdolnych uszkodzić taki .kombajn i spokojnie go pożreć ot, tak sobie.

— Dlaczego nie stosuje się osłon? — zapytał Paul.

— Według doniesień Idaho — powiedział Hawat — w pustyni tarcze są niebez-'

pieczne. Tarcza na ciało ludzkie zwabia wszystkie czerwie w promieniu setek kilometrów. Zdaje się, że dostają od niej amoku. Tak twierdzą Fremeni i nie ma powodu im nie wierzyć. Idaho nie widział żadnych śladów wyposażenia siczy w tarcze.

— W ogóle żadnych? — zapytał Paul.

— Byłoby ciężko ukryć taką rzecz w wyposażeniu kilku tysięcy ludzi — powiedział Hawat. — Idaho miał wolny wstęp do każdego zakamarka siczy. Nie zobaczył żadnej tarczy ani śladów ich użycia.

— To dziwne — rzekł książę.

— To pewne, że Harkonnenowie mielu tu mnóstwo tarcz — powiedział Hawat. — Mieli składy remontowe we wszystkich garnizonach wojskowych, a ich księgi rachunkowe wykazują duże wydatki na naprawy tarcz i części zamienne.

— Czy to możliwe, żeby Fremeni mieli sposób neutralizowania tarcz? — spytał

Paul. .

— Nie wydaje się to prawdopodobne — odparł Hawat. — Teoretycznie jest to

możliwe, oczywiście — przeciwny ładunek elektrostatyczny o wymiarach hrabstwa ma rzekomo dokazać tej sztuki, ale nikt tego nigdy jeszcze nie był w stanie wypróbować.

— Słyszeliśmy już wcześniej o'tym — powiedział Halleck. — Przemytnicy są. w zażyłej komitywie z Fremenami i zdobyliby takie urządzenie, gdyby było osiągalne. I bez żadnych oporów znaleźliby na nie zbyt również poza planetą.

— Nie podoba mi się brak odpowiedzi w tak istotnej sprawie — rzekł Leto. — Thufir, chcę, abyś nadał bezwzględny priorytet rozwiązaniu tej zagadki.

— Już się tym zajmujemy, mój panie. — Odchrząknął. — Aha, Idaho powiedział jedną rzecz: powiedział, że nie można się pomylić, jeśli chodzi o stosunek Fremenów do tarcz. Powiedział, że najczęściej śmieją się z nich.

Książę zmarszczył brwi. Nagle stwierdził:

— Tematem dyskusji jest sprzęt do wydobywania przyprawy."
Hawat dał znak ręką asystentowi za projektorem: solido kombajnu żniwnego ustąpiło miejsca projekcji skrzydlatej machiny, przy której .figurki ludzkie 'wyglądały jak mrówki. '

— Zgarniarka — poinformował Hawat. — Właściwie jest to wielki ornitopter mający jedno zadanie: donieść kombajn na bogate w przyprawę piaski, a następnie "ratować go, kiedy zjawi się czerw pustyni. One zjawiają się zawsze. Zbiór przyprawy odbywa się na zasadzie: dopaść, nachapać się i wiać, z czym się da.

— Pasuje jak ulał do moralności Harkonnenów — powiedział książę. Śmiech .był raptowny i zbyt głośny. W soczewce projektora ornitopter zastąpił zgarniarkę.

— Te ornitoptery są dość konwencjonalne — mówił Hawat. — Zasadnicze modyfikacje dotyczyły zwiększenia zasięgu. Dodatkowych starań wymagało zabezpieczenie najważniejszych elementów przed piaskiem i pyłem. Zaledwie co trzydziesty ma osłonę — być może zmniejszono ciężar o wagę generatora tarczy, żeby uzyskać większy zasięg.

— Nie podoba mi się to pomniejszanie roli tarcz — zamruczał książę. A pomyślał: Czy to jest sekret Harkonnenów? Czy to znaczy, że nie będziemy mogli nawet uciec w osłoniętych fregatach, gdyby wszystko obróciło się na naszą niekorzyść? Po-

trząsając energicznie głową, by odegnać te myśli, powiedział głośno: — Przejdźmy do kosztów wydobycia. Ile wyniesie nasz zysk?

Hawat przerzucił dwie kartki w swoim zeszycie.

— Po wycenie remontów i sprzętu na chodzie dokonaliśmy wstępnej kalkulacji kosztów eksploatacyjnych. Za podstawę przyjęliśmy naturalnie fundusz pomniejszony o koszty amortyzacji dla zapewnienia wyraźnego marginesu bezpieczeństwa.

Przymknął oczy w mentackim półtransie i zaczął:

— Koszty konserwacji i płace za Harkonnenów nie przekraczały czternastu procent. Będziemy mogli mówić o szczęściu, gdy uzyskamy trzydzieści procent — na początek. Uwzględniając nowe inwestycje i czynryki wzrostu łącznie z odsetkami KHOAM i kosztami wojskowymi, nasz zysk skurczy się do bardzo wąskiej marży sześciu—siedmiu procent, dopóki riie zdołamy wymienić zużytego sprzętu. Potem będziemy w stanie podnieść marżę zysku do dwunastu—piętnastu procent jej właściwego poziomu. —

Otworzył oczy. — Chyba, że mój pan życzy sobie przejąć metody Harkonnenów.

— Walczymy o solidną i trwałą bazę planetarną — powiedział książę. — Musimy zadowolić wysoki procent ludności, zwłaszcza Fremenów.

— Fremenów przede wszystkim — zgodził się Hawat.

— Nasze panowanie nad Kaladanem — mówił książę — opierało się na potędze morskiej i powietrznej. Tu musimy zbudować coś, co pozwolę sobie nazwać potęgą pustynną. Może ona obejmować siły powietrzne, ale niewykluczone, że nie musi. Zwracam uwagę na brak tarcz w ornitopterach. — Pokręcił głową. — Harkonnenowie werbowali część swego kluczowego personelu poza planetą. My się nie odważymy pójść na to. Każda przybywająca grupa miałaby swój kontyngent prowokatorów.

— A więc będziemy się musieli zadowolić o wiele mniejszym zyskiem i skromniejszymi zbiorami — powiedział Hawat. — Nasza produkcja w pierwszych dwóch sezonach będzie niższa o jedną trzecią od średniej Harkonnenów.

— No i mamy dokładnie to — rzekł książę — czego mogliśmy się spodziewać. Musimy szybko ruszyć Fremenów. Chciałbym dysponować pięcioma pełnymi batalionami wojsk fremeńskich przed najbliższym bilansem KHOAM.

— To niewiele czasu, Sire — powiedział Hawat.

— Dobrze wiesz, że mamy niewiele czasu. Oni się tu pojawią przy najbliższej okazji, wraz z sardaukarami w harkonneńskich mundurach. Ilu ich, twoim zdaniem, zostanie wyekspediowanych, Thufir?

— Wszystkiego cztery do pięciu batalionów, Sire, Nie więcej, przy takich opłatach, jakie Gildia liczy za przewóz wojska.

— Zatem pięć batalionów Fremenów plus własne nasze siły powinny wystarczyć. Urządźmy przed Zgromadzeniem Landsraadu defiladę kilku pojmanych sardaukarów, a sprawy będą się miały zupełnie inaczej — bez względu na zyski.

— Dołożymy wszelkich starań, Sire.

Paul obrzucił ojca spojrzeniem i zatrzymał oczy na Hawacie, zdając sobie nagle sprawę z sędziwego wieku mentata, uprzytomniając sobie, że stary człowiek służy Atrydom od trzech pokoleń. Stary. Widać to było w łzawym blasku piwnych oczu, w policzkach pomarszczonych i ogorzałych od egzotycznych klimatów, w opadającym łuku ra-

mion, w cienkiej kresce ust zabarwionych sokiem sapho na kolor żurawiny. Tak wiele zależy od jednego starego człowieka — pomyślał Paul.

— Znajdujemy się obecnie w stanie wojny assassinów — powiedział książę — ale nie doszła ona jeszcze do zenitu. Thufir, jak wygląda tutejsza organizacja Harkonnenów?

— Wyeliminowaliśmy dwustu pięćdziesięciu dziewięciu ich prowodyrów, mój panie. Pozostały nie więcej niż trzy komórki Harkonnenów — vi sumie może ze stu ludzi.

— Te wyeliminowane przez ciebie sługusy Harkonnenów — zapytał książę — czy to klasa posiadaczy?

— Większość była dobrze sytuowana, mój panie, z warstwy przedsiębiorców.

— Chcę, byś sfałszował świadectwa hołdu opatrzone podpisem każdego z nich —

powiedział książę. — Kopię złóż u Sędziego Zmiany. Zajmiemy legalistyczne stanowisko, że przebywali oni na fałszywym hołdzie. Skonfiskuj ich własność, zabierz wszystko, eksmituj rodziny. I dopilnuj, żeby Korona dostała swoje dziesięć procent. To musi być absolutnie zgodne z prawem.

. Thufir uśmiechnął się odsłaniając zabarwione na czerwono zęby za karminowymi wargami.

— Krok godny twego przodka, mój panie. Wstyd mi, że pierwszy na to nie wpadłem.

Halleck spojrzał z dezaprobatą ponad stołem i przyłapał-Paula z głębokim marsem na czole. Fałszywy krok — myślał Paul. — To tylko zmusi pozostałych do stawiania tym zacieklejszego oporu. Na poddaniu się niczego nie zyskują. Znał aktualnie obowiązującą w kaniy konwencję, która nie chroniła własności, lecz tego rodzaju posunięcie zamiast doprowadzić do zwycięstwa, mogło ich> równie dobrze zgubić.

— „Obcy byłem w obcej krainie" — zacytował Halleck. Pauł wlepił w niego oczy rozpoznając werset z Biblii P. K., dumając: Czyżby również i Gurney chciał położyć kres podstępnym intrygom?

Książę spojrzał w ciemność za oknami i z powrotem na Hallecka.

— Gurney, ilu z tamtych piachmistrzów namówiłeś do pozostania z nami?

— Dwustu osiemdziesięciu sześciu, Sire. Myślę, że powinniśmy ich łapać i uważać się za szczęściarzy. Wszyscy reprezentują przydatne specjalności.

— Tylko tylu? — książę wydął wargi. — No cóż, przekaż dalej wiadomość do...
Przerwał mu hałas w drzwiach. Duncan Idaho przecisnął się przez wartę, szybkim krokiem doszedł do końca stołu i nachylił się do ucha księcia.
Leto odsunął go gestem.

— Mów głośno, Duncan. Widzisz, że obraduje tu sztab.

Pau! przypatrywał się pilnie Idaho dostrzegając kocie ruchy, szybkość refleksu, cechy, które czyniły zeń tak niedościgłego nauczyciela fechtunku. Ciemna, krągła twarz Idaho odwróciła się do Paula, oczy mieszkańca jaskini nie dały znaku, że go zauważają, za to Paul zauważył podniecenie pod maską spokoju. Idaho spojrzał wzdłuż stołu.

— Wzięliśmy oddział harkonneńskich najemników przebranych za Fremenów.

83

Sami Fremeni przysłali nam kuriera z ostrzeżeniem przed oszukańczą bandą. Podczas ataku okazało się jednak, że Harkonnenowie urządzili zasadzkę na kuriera Fremenów raniąc go ciężko. Zmarł, kiedy wieźliśmy go tutaj, by zajęli się nim nasi lekarze. Widzitłem, w jakim stanie był ten człowiek, więc zatrzymałem się, by zobaczyć, co mogę dla niego zrobić. Zaskoczyłem go, kiedy usiłował odrzucić coś daleko od siebie.
Idaho spuścił wzrok na Leto.

— Nóż, mój panie, któremu podobnego nigdy nie widziałeś.

— Krysnóż? — spytał ktoś.

— Nie ma co do tego żadnych wątpliwości — odparł Idaho. — Mlecznobiały i jarzący się jak gdyby własnym światłem.

Sięgnął pod bluzę, wydobył pochwę z wystającą z niej czarną, karbowaną rękojeścią.

— Zostaw to ostrze w pochwie!

Głos doleciał z otwartych drzwi w końcu sali, wibrujący i przenikliwy głos, który unieruchomił ich wszystkich z wytrzeszczonymi oczami. W progu stała wysoka, owinięta burnusem postać, odgrodzona skrzyżowanymi mieczami straży. Cienka, brązowa szata spowijała ją całkowicie, z wyjątkiem szpary między kapturem a czarną przesłoną, ukazującej zupełnie błękitne oczy — bez śladu białka.

— Pozwól mu wejść — wyszeptał Idaho. '

— Przepuścić tego człowieka — powiedział książę. Po chwili wahania gwardziści opuścili miecze. Postać wpłynęła do sali, stając naprzeciwko księcia.

— To jest Stiigar, wódz siczy, w której przebywałem, przywódca tych, którzy ostrzegli nas przed zamaskowaną bandą — powiedział Idaho.

— Witaj, sir — rzekł Leto. — Dlaczegóż to nie powinniśmy dobywać z pochwy tego ostrza? i

Stiigar spojrzał na Idaho.

— Ty przestrzegałeś wśród nas obyczajów czystości i honoru. Tobie pozwoliłbym patrzeć na ostrze należące do człowieka, któremu pośpieszyłeś z pomocą. — Omiótł wzrokiem resztę ludzi w pokoju. — Ale nie znam tych pozostałych. Czy dopuściłbyś, by zbrukali prawy oręż?

— Jestem książę Leto — powiedział książę. •»- Czy mnie pozwoliłbyś zobaczyć to ostrze?

— Pozwolę ci zasłużyć na praw* dobycia go z pochwy — powiedział Stiigar. a kiedy wokoło rozległ się szmer protestów, uniósł szczupłą dłoń poznaczoną ciemnymi żyłami.

— Przypominam, że to jest ostrze tegb, który wam okazał swą przyjaźń.
W wyczekującej ciszy Pauł wpatrywał się w tego człowieka, czuł bijącą od-niego siłę. Miał przed sobą przywódcę — przywódcę Fremenów. Ktoś po przeciwnej stronie w pobliżu środka stołu zamruczał:

— Co to za Jeden, by nam dyktował, jakie mamy prawa na Arrakis?

— Mówią, że książę Leto Atryda panuje w zgodzie z poddanymi — rzekł Fremen. — Przeto powiem wam, jaki jest u nas obyczaj: na tych, którzy widzieli krysnóż, spada pewna odpowiedzialność. — Rzucił mroczne spojrzenie w stronę Idaho. — Są nasi. Nigdy nie wolno im opuścić Arrakis bez naszej zgody.

Halleck, a za nim wielu innych zaczęło się podnosić z gniewem na twarzach. Halleck powiedział: '•.

— Książę Leto decyduje, czy...

— Chwileczkę — przerwał Leto i sama łagodność jego tonu ich powstrzymała.
Ta sytuacja nie może się wymknąć spod kontroli — pomyślał. Zwrócił się do Fj-emena.

— Sir, poważam i szanuję osobistą godność każdego człowieka, który szanuje moją godność. Jestem rzeczywiście twoim dłużnikiem, a ja zawsze spłacam swoje długi. Jeśli wasz zwyczaj wymaga, by ten nóż nie opuścił tutaj pochwy, zatem tak ma być z mojego rozkazu. I jeśli jest jakikolwiek inny zwyczaj, pozwalający nam uhonorować tego człowieka poległego w naszej służbie, wystarczy, byś go tylkp wymie-

nił.

Fremen wlepił w księcia spojrzenie, następnie z wolna odsunął na bok swoją zasłonę, odkrywając wąski nos i pełne usta okolone połyskliwą czarną brodą. Niespiesznie nachylił się nad brzegiem stołu i splunął na politurę. Ludzie zaczęli zrywać się od stołu, gdy głos Idaho jak grzmot przetoczył się po sali:

— Stać!

W pełnej napięcia ciszy Idaho rzekł:

— Dziękujemy ci, Stiigarze, za dar wilgoci twego ciała. Przyjmujemy go w duchu, w jakim został złożony.

I Idaho splunął na stół księciu pod nosem, zaś na stronie powiedział:

— Nie zapominaj, jak cenna jest tutaj woda, Sire. To był dowód szacunku.
Leto osunął się z powrotem na swoje krzesło, dojrzał wpatrzone w siebie oczy Paula i ponury uśmiech na twarzy syna, wyczuwał powolne opadanie napięcia w miarę, jak zrozumienie docierało do jego ludzi za stołem. Fremen utkwił oczy w Idaho.

— Dobrze wypadłeś w mej siczy, Duncanie Idaho. Czy ślubowałeś hołd księciu?

— Pyta mnie, czybym się nie zaciągnął do niego, Sire — powiedział Idaho.

— Zaakceptowałby podwójny hołd? — spytał Leto.

— Chcesz, abym z nim poszedł, Sire?

— Chcę, abyś sarn podjął w tej sprawie decyzję — powiedział Leto i nie udało mu się ukryć nacisku w głosie. Idaho przyjrzał się bacznie Fremenowi.

— Wziąłbyś mnie pod takim warunkiem, Stiigarze? Czasami musiałbym wracać na służbę do mego księcia.

— Dobrze walczysz i zrobiłeś wszystko, co mogłeś, dla naszego przyjaciela — powiedział Stiigar. Popatrzył na Leto.

— Niechaj tak będzie: ten człowiek, Idaho, zatrzymuje krysnóż, który ma w dłoni, na znak swej przynależności do nas. Musi poddać się, oczywiście, oczyszczeniu i dopełnić rytuału, ale to da się zrobić. Będzie on i Fremenem, i żołnierzem Atrydów. Istnieje na to precedens: Liet służy dwóm panom.

— Duncan? — spytał Leto.

— Rozumiem, Sire — powiedział Idaho.

— A zatem postanowiono — powiedział książę.

— Twoja woda jest nasza, Duncanie Idaho — powiedział Stiigar. — Ciało naszego przyjaciela zostaje przy twoim księciu. Jego woda jest wodą Atrydów. To jest ślub między nami.

Leto westchnął, zerknął na Hawata, wymieniając spojrzenia ze starym men(atem. Hawat kiwnął głową z wyrazem zadowolenia na twarzy.

— Będę czekał na dole — powiedział Stiigar — aż Idaho pożegna się ze swoimi przyjaciółmi. Turok — takie było imię naszego zmarłego przyjaciela. Pamiętajcie je, kiedy przyjdzie czas uwolnić jego duszę. Jesteście przyjaciółmi Turoka.

Stiigar zawrócił do wyjścia.

— Nie zostaniesz ani chwili? — zapytał Leto.
Fremen obejrzał się, niedbałym ruchem wtykając czarczaf, coś pod nim majstrując. Paulowi mignęła jakby cienka rurka, nim czarczaf opadł na swoje miejsce.

— Czy jest powód, bym został? — zapytał Fremen.

— Przyjmiemy cię z honorem — powiedział książę.

— Honor wymaga, bym się znalazł wkrótce gdzie indziej — powiedział Fremen.
Rzucił jeszcze jedno spojrzenie na Idaho, zakręcił się i przemaszerował między strażami w drzwiach.

— Jeżeli inni Fremeni są do niego podobni, dobrze nam będzie ze sobą — powiedział Leto.- ^
Idaho odezwał się bezbarwnym głosem:

— On jest niezłą próbką, Sire.

— Wiesz, co masz robić, Duncan?

— Jestem twoim ambasadorem wśród Fremenów, Sire.

— Wiele od ciebie zależy, Duncan. Będziemy potrzebowali pięciu batalionów tych ludzi, nim spadną na nas sardaukarzy.

— To nie będzie takie proste, Sire. Fremeni to raczej niezależne towarzystwo. — Idaho chwilę bił się z myślami. — I jeszcze jedno, Sire. Któryś z ogłuszonych przez nas najemników próbował odebrać to ostrze naszemu zmarłemu fremeńskiemu przyjacielowi. Najemnik twierdzi, że Harkonnenowie wyznaczyli milion solaris w nagrodę dla każdego, kto dostarczy pojedynczy krysnóż.

Leto uniósł brodę w wyraźnym zaskoczeniu.

— Dlaczego tak im strasznie zależy na jednym z tych noży?

— Ostrze jest wytoczone z zęba czerwia pustyni, jest znamieniem Fremena, Sire. Mając je przy sobie błękitnooki człowiek mógłby przeniknąć do każdej siczy na tej ziemi. Mnie by zakwestionowano, chyba, żebym był znany. Nie wyglądam na Fremena. Ale...

— Piter de Vries — powiedział książę.

— Człowiek diabelskiej chytrości, mój panie — rzekł Hawat.
Idaho wsunął tkwiący w pochwie nóż pod bluzę.

— Strzeż tego noża — powiedział książę.

— Rozumiem, mój panie. — Poklepał umieszczony w pasie nadbiornik. — Zamelduję się jak najszybciej. Thufir ma mój kod wywoławczy. Używajcie języka walki.

Zasalutował, wykręcił się na pięcie i pośpieszył w ślad za Fremenem. Usłyszeli dudnienie jego oddalających się korytarzem kroków. Leto i Hawat popatrzyli na siebie porozumiewawczo. Uśmiechali się.

— Mamy dużo roboty, Sire — powiedział Halleck.

— I ja cię od niej odrywam.

— Mam sprawozdanie o bazach wypadowych — powiedział Hawat. — Czy przedstawić je innym razem, Si.re?

— Długo to potrwa?

— Nie, jak na wprowadzenie. Wśród Fremenów krążą pogłoski, że tutaj na Arrakis zbudowano ponad dwieście takich baz w czasach Stacji Doświadczalnych Botaniki Pustyni. Wszystkie podobno porzucono, ale mówi się, że przed opuszczeniem zostały zaplombowane.

— Ze sprzętem?

-— Tak mi donosił Duncan. -
' — Gdzie są położone?

— Na to pytanie — rzekł Hawat — odpowiadają niezmiennie: Liet wie.

— Bóg wie — mruknął Leto.

— Może nie bóg, Sire — powiedział Hawat. — Słyszałeś to imię z ust Stiigara. Czy mógł on mieć na myśli konkretną osobę?

— Służy dwóm panom — powiedział Halleck. — To brzmi jak cytat religijny.

— A ty się na tym znasz — powiedział książę.
Halleck uśmiechnął się.

— Ten Sędzia Zmiany — rzekł Leto — ów Ekolog Imperialny, Kynes...nie wiedziałby, gdzie są te bazy?

— Sire — przestrzegł Hawat — ten Kynes jest urzędnikiem imperialnym.

— I znajduje się bardzo daleko od Imperatora -*- powiedział Leto. — Potrzebuję tych baz. Mogą być pełne materiałów i rozporządzając nimi moglibyśmy wyremontować nasze urządzenia wydobywcze.

— Sire! — powiedział Hawat, — Te bazy prawnie nadal stanowią własność Jego Królewskiej Mości.

— Tutejszy klimat jest wystarczająco surowy, by wszystko uległo >zniszczeniu — powiedział książę. — Zawsze możemy zwalić na pogodę. Zabierz się do tego Kynesa i przynajmniej dowiedz się,.czy bazy istnieją. ^

— Zarekwirować je byłoby niebezpiecznie — powiedział Hawat. — Duncan jedną sprawę stawiał jasno: bazy, czy też ich idea, mają dla Fremenów jakieś ukryte znaczenie. Zajmując bazy możemy ich zrazić.

Pauł rozejrzał się po twarzach otaczających ich ludzi i zauważył napięcie, z jakim chłonęli każde słowo. Wyglądali na mocno zaniepokojonych stanowiskiem jego ojca.

— Usłuchaj go, ojcze — odezwał się Pauł cichym głosem. — To prawda, co on mówi.

— Sire — rzekł Hawat — owe bazy mogłyby nam dostarczyć materiałów do wyremontowania każdej sztuki pozostawionego nam sprzętu, tyle że ze względów strategicznych mogą pozostawać poza naszym zasięgiem. Nie róbmy pochopnego kroku, dopóki się czegoś więcej "nie dowiemy. Kynes posiada arbitrażowe pełnomocnictwa Imperium. Nie wolno nam o tym zapominać. I cieszy się szacunkiem Fremenów.

— Więc zrób to delikatnie — powiedział książę. — Chciałbym jedynie wiedzieć, czy te bazy istnieją.

— Jak sobie życzysz, Sire — Hawat opadł na oparcie krzesła, spuścił wzrok.

— No więc dobrze — powiedział książę. — Wiemy, co nas czeka, robota. Zosta-

87

liśmy do niej przeszkoleni. Mamy niejakie doświadczenie. Znamy wysokość zapłaty, ' zaś alternatywa jest dość jasna. Zadania dla.,wszystkich zostały wyznaczone. Spojrzał na Hallecka.

— Gurney, najpierw zajmij się tą aferą przemytniczą.

— „Udam się do nieposłusznych, co niegościnną zamieszkują ziemię" — zadeklamował Halleck.

— Któregoś dnia przyłapię tego człowieka na braku porzekadła i będzie wyglądał jak bez gaci — oświadczył książę.

Chichoty rozeszły się echem»vokół stołu, ale Pauł słyszał w nich przymus. Książę zwrócił się do Hawata: ^

— Załóż na tym piętrze jeszcze jedno stanowisko dowodzenia dla wywiadu i łączności, Thufir. Kiedy z tym skończysz, będę chciał się z tobą zobaczyć.

Hawat wstał, rozglądając sję po sali, jakby szukał wsparcia. Odwrócił się i wyprowadził procesję z pokoju. Pozostali pośpieszyli hurmą, szurając w bałaganie krzesłami i tworząc niewielkie zatory. ' - .

Skończyło się tp bałaganem —^pomyślał Pauł wpatrując się w plecy wychodzących na końcu. Jak dotąd Sztab zawsze rozchodził się w pełnym werwy animuszu. To spotkanie jakby przeciekło między palcami, wyczerpując się we własnych niedomaganiach, a uwieńczyła je rozbieżność zdań. Po raz pierwszy Pauł dopuścił do świadomości realną możliwość klęski, licząc się z nią nie ze strachu ani pod wpływem ostrzeżeń w rodzaju krakania starej Matki Wielebnej, lecz zmuszony do tego własną oceną sytuacji. Ojciec jest zdesperowany — przyznał w duchu. Sprawy nie toczą się po naszej myśli. Zaś Hawat — Pauł przypomniał sobi,e zachowanie starego mentata w trakcie konferencji — drobne wahania, oznaki zaniepokojenia. Hawata coś gnębiło skry-

cie- - . . / .

— Najlepiej pozostań tu na resztę nocy, synu — powiedział książę. — I tak niebawem wstanie świt. Zawiadomię matkę.
Podniósł się z wolna, ociężale.

— Zestaw sobie parę krzeseł i wyciągnij się na nich, by trochę rozprostować kości.

— Nie jestem bardzo zmęczony, sir.

— Jak sobie życzysz.

Książę założył ręce do tyłu, zaczął spacerować tam i z powrotem wzdłuż stołu. — Jak zwierz w klatce — pomyślał Pauł. ^

— Przedyskutujesz ewentualność zdrady z Hawatem? — spytał Pauł.
Książę zatrzymał się naprzeciwko syna po drugiej stronie stołu, jego słowa były skierowane do ciemnych okien.

— Omawialiśmy tę ewentualność wiele razy.

— Tamta stara kobieta wyglądała na bardzo pewną swego — powiedział Pauł. — I wiadomość, jaką matka... • i

— Podjęliśmy środki ostrożności — oświadczył książę. Rozejrzał się po sali. i Pauł dostrzegł panikę zaszczutego stworzenia w jego oczach. — Zostań tutaj. Chciałbym omówić z Thufirem parę spraw związanych ze stanowiskami dowodzenia.

Zakręcił się i wyszedł z pokoju lekko skinąwszy wartownikom w drzwiach. Pauł

wpatrywał się w miejsce, w którym przed chwilą stał jego ojciec. Przestrzeń była już pusta, zanim książę wyszedł z pokoju. I przypomniało mu się ostrzeżenie starej: „...dla ojca — nic".

Owego pierwszego dnia kiedy Muad'Dib ze swą rodziną jechał ulicami Arrakin, niektórzy ludzie na trasie przejazdu przypomnieli sobie legendy i przepowiednię i podnieśli krzyk: „Mahdi!" Lecz ich okrzyk był bardziej pytaniem, niż obwieszczeniem, gdyż Jak dotąd mogli Jedynie żywic •nadzieję, że Jest on tym zapowiedzianym Lisanem al-Gaibem. Głosem Spoza Świata. Uwagę ich przyciągnęła również matka, albowiem słyszeli o mej, ze jest Bene Gesserit. a więc — co dla nich było oczywiste — drugim Lisanem al-Gaibem.

.7 .Krótkiej historii MuacTDihd" pióra księ/niczki Irulan

Thufira Hawata zastał książę w kącie pokoju, do którego drogę wskazał mu strażtlik. Z przyległego pomieszczenia docierały odgłosy krzątaniny ludzi zakładających łącza telekomunikacyjne. Książę rozglądał się dokoła, gdy Hawat podnosił się od zawalonego papierami stołu. Była to mała izolatka o zielonych ścianach, w której prócz stołu znajdowały się jeszcze trzy dryfowe krzesła z pośpiesznie zdartymi z nich „H" Harkonnenów, co pozostawiło nie dobarwione łaty.

— Krzesła są zdobyczne, ale zupełnie bezpieczne — powiedział Hawat. — Gdzie jest Pauł, Sire?

— Zostawiłem go w sali konferencyjnej. Mam nadzieję, że tam trochę odpocznie z dala od mojej absorbującej osoby.

Hawat kiwnął głową, powędrował pod drzwi przyległego pokoju i zamknął je, odcinając elektrostatyczne szumy i elektroniczne trzaski.

— Thufir — powiedział Leto — zapasy przyprawy Imperium i Harkonnenów nie dają mi spokoju. . •• '

— Mój panie?
Książę wydął wargi.

— Składy są narażone na zniszczenie. — Podniósł rękę, gdy Hawat chciał coś powiedzieć. — Nie bierz pod uwagę skarbu Imperatora. On by. się po cichu ucieszył z tarapatów Harkonnenów. A czy baron może protestować, jeśli ulegnie zniszczeniu coś, do posiadania czego nie może się otwarcie przyznać?

Hawat pokręcił głową.

— Mamy mało ludzi na zbyciu, Sire.

— Weź część ludzi Idaho. A może jacyś Fremeni mieliby ochotę na wycieczkę poza planetę. Rajd na Giedi Prime — z takiej dywersji płyną taktyczne korzyści, Thufir.

— Twoja wola, mój panie. — Hawat odwrócił się, a książę, widząc oznaki zdenerwowania u starego człowieka, pomyślał: Może podejrzewa, że mu nie ufam. Musi wiedzieć o moich prywatnych informacjach o zdrajcach. Tak, najlepiej od razu rozproszyć jego obawy.

— Thufir — rzekł — musimy omówić jeszcze jedną sprawę, jako że należysz do niewielu ludzi, których darzę całkowitym zaufaniem. Obaj wiemy, jak trzeba się mieć

nieustannie na baczności, by nie dopuścić do infiltracji naszych sił przez zdrajców... ale mam dwa nowe doniesienia.

Hawat obrócił się, wlepił w niego spojrzenie. Leto zaś powtórzył przyniesione przez Paula historie. Wiadomości te, zamiast wprawić go w stan wytężonej koncentracji mentackiej, wzmogły jedynie podniecenie Hawata. Leto przyglądał się uważnie ' staremu człowiekowi.

— Ukrywasz cos, stary druhu — odezwał się po .chwili. — Powinienem się był domyślić w trakcie narady, kiedy siedziałeś jak na szpilkach. Cóż to jest takie trefne, że nie mogłeś wygarnąć tego przed całym sztabem?

Zabarwione sapho wargi Hawata ściągnięte były w sztywną prostą linię, z biegnącymi ku niej drobniutkimi zmarszczkami. Nie straciły swej pomarszczonej sztywności, gdy powiedział: ' •

— Panie mój, zupełnie nie wiem, jak to poruszyć.

— Wiele blizn nosimy jeden za drugiego.Thufir — powiedział książę. — Wiesz, że ze mną możesz poruszyć każdy temat. .

Hawat nie spuszczał z niego oczu. Takiego go właśnie lubię najbardziej — myślał. — Oto jest człowiek honoru, godzien mej wierności i służby do ostatniej kropli krwi. Dlaczego muszę go zranić?

— No więc? — ponaglił Le,to. •
Hawat wzruszył ramionami.

— Chodzi o strzępek listu. 'Znaleziony przy kurierze Harkonnenów. List był przeznaczony dla agenta imieniem Pardee. Mamy wszelkie powody mniemać, że Pardee stał na czele tutejszego podziemia 'Harkonnenów. Ten list — on może mieć albo ogromne konsekwencje, albo żadnych zgoła. Zależy, jak go tłumaczyć.

— Co jest takiego drażliwego w liście?

— W strzępku listu, mój panie. Niekompletnym. Był na minimikrofilmie z dołączoną jak zwykle kapsułą niszczącą. Wstrzymaliśmy działanie kwasu na moment przed całkowitym wymazaniem tekstu, ocalając fragment zaledwie. Fragment ów jednakże jest wyjątkowo sugestywny. •

— Tak?

Hawat potarł wargi.

—— Mówi on: „...eto nigdy nie będzie podejrzewał, a kiedy spadnie na niego cios z ukochanej ręki, już samo to winno go zgubić". List opatrzony był własną pieczęcią barona, a jej autentyczność sprawdziłem.

— Twoje podejrzenia Są oczywiste — powiedział książę i nagle głos jego zrobił się zimny. :

— Prędzej uciąłbym sobie własne ręce, niż ciebie zranił — powiedzia^Hawat. — Panie mój, a co jeśli... ' '

— Lady Jessika — rzekł Leto czując, jak ogarnia,go wściekłość. — Nie mogłeś

wydusić faktów z tego Pardee?

— Na nieszczęście Pardee'ego nie było już wśród żywych, kiedy przejęliśmy ku-
riera. Kurier nie wiedział, jestem pewny, co przewoził.

— Rozumiem.

-90

Leto potrząsnął głową. Cóż za śliska sprawa — myślał. — Niemożliwe, by coś
w tym było. Znam swoją kobietę.

— Mój panie, jeśli...

— Nie! — warknął książę. — W tym jest jakaś pomyłka, która...

— Nie wolno nam tego zlekceważyć, mój panie.

— Ona jest ze mną szesnaście lat! Okazji ku temu było bez liku, sam zresztą spraw-
dziłeś szkołę i tę kobietę!

Hawat powiedział z goryczą:

— Wiadomo o sprawach, które mi umknęły.

— To niemożliwe, mówię ci! Harkonnenowie chcą zniszczyć ród Atrydów łącz-
nie z Paulem. Raz już próbowali. Czy kobieta byłaby zdolna spiskować przeciwko
własnemu swemu synowi?

— Może ona nie spiskuje przeciwko własnemu synowi. A wczorajszy zamach
mógł być sprytną mistyfikacją.

— Nie mógł być mistyfikacją.

— Sire, ona ma nie znać swego pochodzenia, ale gdyby tak je znała? I gdyby tak
była sierotą, załóżmy, przez Atrydę?

— Zrobiłaby to już dawno temu. Trucizna w szklance...sztylet wśród nocy. Któż
miał lepszą okazję?

— Harkonnenowie zamierzają cię zniszczyć, mój panie.'A nie po prostu
zabić.' W kaniy istnieje gama'subtelnych rozróżnień. Ta może być dziełem sztuki wśród-
wendet.

Księciu opadły ramiona. Przymknął oczy, wyglądał jak stary, zmęczony czło-
wiek. To niemożliwe — myślał. — Ta kobieta otworzyła dla mnie swoje serce.

— Gdzież lepszy sposób zniszczenia mnie nad rzucenie podejrzeń na -kobietę,
którą kocham? — zapytał.

— Brałem taką możliwość pod rozwagę — powiedział Hawat. — Mimo to...
Książę otworzył oczy i utkwił je w Hawacie myśląc: niech on będzie podejrzliwy.

Podejrzliwość to jego fach, nie mój. Może gdy sprawię wrażenie, że w to wierzę, ktoś

inny popełni nieostrożność.

— Co radzisz? — wyszeptał książę.

— Na razie stałą inwigilację, mój panie. Powinna być pod nadzorem o każdej
porze dnia i nocy. Postaram się, by robiono to dyskretnie. Idaho byłby idealnym kan-

dydatem do tej roboty. Może za jakiś tydzień ściągniemy go z powrotem. W oddziale Idaho szkolimy młodego człowieka, który go doskonale może zastąpić u Fremenów. To urodzony dyplomata.

— Nie narażaj na szwank naszego przyczółka u Fremenów.

— Rzecz jasna, Sire. i

— A co z Paulem? . ..

— Chyba moglibyśmy zaalarmować doktora Yuego.
Leto odwrócił się plecami do Hawata. •

—— Rób, jak uważasz.

— Zachowam ostrożność, mój panie.

Na to przynajmniej mogę liczyć — pomyślał Leto.

— Przejdę się. Gdybyś mnie potrzebował, będę na terenie. Straż ci...

— Mój panie, zanim odejdziesz, mam tu wycinek filmowy, z którym powinieneś się zapoznać. Pierwsza próba analizy fremeńskiej religii. Przypominasz sobie, że prosiłeś mnie o sprawozdanie na ten temat?

Książę przystanął i nie odwracając się powiedział:

— Nie możesz z tym zaczekać?

— Oczywiście, mój panie. Pytałeś jednak, co oni wykrzykiwali. To było „Mahdi!"

Kierowali to określenie do młodego pana. Kiedy...

— Do Paula?

— Tak, mój panie. Mają tutaj legendę, przepowiednię, że objawi się im jakiś wódz, dziecko pewnej Bene Gesserit, aby poprowadzić ich ku prawdziwej wolności. Jeszcze jedna wersja znanego schematu mesjasza.

— Oni myślą, że Paul jest tym...tym...

— Mają jedynie nadzieję, mój panie.

Hawat wyciągnął kapsułę z wycinkiem filmu. Książę ją przyjął, wsadził do kieszeni.

— Później sobie to obejrzę.

— Oczywiście, mój panie.

—— Teraz potrzebny mi jest czas do...namysłu.

— Tak, mój panie.

Książę głęboko odetchnął, westchnął i wyszedł z pokoju wielkimi krokami. Na korytarzu skręcił w prawo i zaczął iść powoli z rękami założonymi do tyłu, nie zwracając uwagi, gdzie się znajduje. Mijał korytarze i schody, balkony i sale; ludzie salutowali i odsuwali się na bok, robiąc mu przejście. Po pewnym czasie powrócił do sali konferencyjnej, którą zastał w ciemnościach, Paul zaś spał na stole narzucony płasz-

czem strażnika, z marynarskim workiem zamiast poduszki. Książę po cichu przeszedł przez całą długość sali, na balkon wychodzący na lądowisko. W rogu balkonu wartownik wyprężył się na baczność, poznając księcia w nikłym odblasku świateł lądowiska. ,

— Spocznij — zamruczał książę. Oparł się o zimny metal balustrady. Spokój

przedświtu ogarnął pustynny basen. Książę spojrzał w górę. Prosto nad głową gwiazdy tworzyły cekinową wstęgę, rozpostartą na tle niebieskawej czerni. Nisko nad południowym horyzontem drugi księżyc nocy wyzierał z leciutkiej mgiełki pyłu — niedowiarek księżyc, spoglądający nań cynicznym blaskiem. Książę zapatrzył się, jak księżyc nurkuje pod Mur Zaporowy srebrząc jego urwiska i w nagłym zagęszczeniu mroku poczuł ziąb. Zadrżał. Przeszył go gniew. Po raz ostatni Harkonnenowie mi brużdżą i judzą, i polują na mnie — pomyślał. — Gnoje o mentalności hycla. Tutaj stawię im czoło! I pomyślał z nutą smutku: Muszę panować okiem i szponem — jak jastrząb wśród pośledniejszego ptactwa. Jego dłoń nieświadomie musnęła emblemat jastrzębia na bluzie. Noc na wschodzie zrodziła smugę świetlnej szarości, a po niej perłową opalizację, która przyćmiła gwiazdy. Nadciągnął świt szerokim zamachem rozkołysanego dzwonu uderzając w horyzont. Była to scena takiej piękności, że książę zapomniał o bożym świecie. Są rzeczy niepowtarzalne — pomyślał. Nigdy nie wyobrażał
^

sobie, że może być tutaj cokolwiek tak pięknego, jak ten zgruchotany, czerwony horyzont z purpurą i ochrą urwisk. Poza lądowiskiem, gdzie skąpa nocna rosa tchnęła życie w spieszne nasiona Arrakis, ujrzał ogromne lany czerwonego kwiecia i przecinający je wyraźny trakt fioletu...jak ślad gigantycznych stóp.

— Piękny poranek, Sire — powiedział strażnik.

— Tak, piękny — kiwnął głową książę zastanawiając się: być może ta planeta potrafi zauroczyć. Być może potrafi stać się prawdziwym domem dla mego syna. Nagle zobaczył postacie ludzkie wkraczające na pola kwiatów, omiatające je dziwacznymi, przypominającymi kosy narzędziami — żeńcy rosy. Woda jest tak cenna tutaj, że nawet rosę trzeba zbierać. I potrafi też być ta planeta miejscem upiornym — pomyślał książę.

Chyba nie ma straszliwszego olśnienia nad to, w którym odkrywasz, iż twój

ojciec jest człowiekiem w ludzkim ciele. . , .._.. . . . . ,

z „Myśli zebranych Muad Diba opracowanych przez księżniczkę Irulan

— Paul, nienawidzę tego, co robię, ale nie mam wyjścia — powiedział książę. Stał pod przenośnym wykrywaczem trucizny wniesionym do sali konferencyjnej na czas śniadania. Sensorowe macki urządzenia zwisały bezwładnie nad stołem, przywodząc Paulowi na myśl jakiegoś nieznanego owada, który właśnie zdechł przed chwilą. Uwagę księcia pochłaniało lądowisko za oknami i kłębiący się nad nim tuman pyłu' na tle porannego nieba. Paul miał przed sobą przeglądarkę z krótkim wycinkiem filmu na temat religijnych praktyk Fremenów. Materiał zebrany przez jednego z ekspertów Hawata bulwersował Paula aluzjami do jego osoby.

„Mahdi!"

„Lisan al-Gaib!"

Zamykając oczy słyszał jeszcze okrzyki tłumów. A więc to na to czekają — pomyślał. I przyszły mu na pamięć słowa Matki Wielebnej: „Kwisatz Haderach". Na ich wspomnienie ożyły w nim emocje straszliwego przeznaczenia, mrocząc ten obcy świat poczuciem swojskości, której nie pojmował.

— Nienawidzę — powiedział książę.

— Co masz na myśli, sir?

Leto odwrócił się spoglądając z góry na syna.

— Bowiem Harkonnenowie zamierzają mnie zwieść rzucając podejrzenie na twoją matkę. Nie wiedzą, że prędzej bym podejrzewał samego siebie.

— Nie rozumiem, sir.

Leto ponownie spojrzał za okna. Białe słońce płonęło już całkiem wysoko w kwadrancie przedpołudnia. Mleczne światło wydobywało kipiel obłoków pyłu wsypującego się do ślepych kanionów, którymi ponacinany był Mur Zaporowy. Niespiesznie, cichym od hamowanego gniewu głosem, książę opowiedział Paulowi o tajemniczym liście.

— Równie dobrze mnie mógłbyś podejrzewać — powiedział Pauł.

— Oni muszą uznać, że im się udało — rzekł, książę. — Muszą sądzić, że jestem

taki głupi. I musi na to wyglądać. Nawet twoja matka nie powinna wiedzieć o mistyfikacji.

— Ależ sir! Dlaczego?

— Reakcja twojej matki nie może być udawana. Och, ona potrafi doskonale udawać...lecz zbyt wiele od tego zależy. Mam nadzieję wykurzyć zdrajcę z nory. Powinno im się wydawać, że zostałem kompletnie wyprowadzony w pole. Zadanie jej w ten sposób bólu jest konieczne, by ominęło ją większe cierpienie.

— Dlaczego mnie o tym mówisz, ojcze? Mogę się zdradzić. . •

— Na ciebie nie będą patrzeć pod tym kątem. Dotrzymasz tajemnicy. Musisz dotrzymać.

Przybliżył się do okien i mówił odwrócony tyłem. '

— W ten sposób, gdyby mnie się coś stało, ty będziesz mógł jej powiedzieć prawdę: że nigdy w nią nie zwątpiłem, nawet na mgnienie oka; Chciałbym, żeby ona o tym wiedziała.

W słowach ojca Pauł wyczytał myśli o śmierci, powiedział pośpiesznie:

— Nic ci się nie stanie, sir. Oni...

— Cicho bądź, synu.

Pauł nie spuszczał oczu z pleców ojca, dostrzegając zmęczenie w nachyleniu szyi, w linii ramion, w zwolnionych ruchach,

— Jesteś po prostu zmęczony, ojcze.

— Jestem zmęczony — zgodził się książę. — Jestem moralnie zmęczony.
Pewnie dopadła mnie wreszcie melancholia degeneracji wielkich rodów. A byliśmy kiedyś tak mocnymi ludźmi.

Pauł odezwał się z nagłym rozdrażnieniem:

— Nasz ród się nie zdegenerował.

— Nie? — książę odwrócił się twarzą do syna, ukazując ciemne kręgi pod chłodnymi oczami; na ustach miał cyniczny grymas.

— Powinienem był poślubić twą matkę, uczynić ją moją księżną. Ale...mój wolny stan daje jeszcze pewnym rodom nadzieję na możliwość koligacji ze mną przez ich córki na wydaniu. — Wzruszył ramionami, — Więc ja... *

— Matka mi to wytłumaczyła.

— Wódz niczym tak nie zdobywa serc, jak imponowaniem brawurą — powiedział książę. — Przeto obnoszę się z.tą swoją brawurą. ,

— Jesteś dobrym przywódcą — zaprotestował Pauł. — Dobrym władcą. Ludzie idą za tobą chętnie i z miłością.

— Mam jeden z najlepszych korpusów propagandy — powiedział książę. Znowu zatonął spojrzeniem w basenie. — Tu na Arrakis mamy większą szansę, niż mogłoby podejrzewać Imperium. A jednak czasami przychodzi mi do głowy; że lepiej byłoby uciec, zostać renegatem. Czasami chciałbym, byśmy pogrążyli się w anonimowości rzesz ludzkich, mniej wystawieni na...

— Ojcze!

— Tak, jestem zmęczony — powiedział książę. — Czy wiedziałeś, że osad przyprawy wykorzystujemy jako surowiec, i że mamy już własną fabrykę do produkcji podłoża filmów?

- Sir?

— Nie może nam zabraknąć folii podłożowej — powiedział książę. — Jakże tu bez niej zalewać wsie i miasta naszą informacją? Ludzie muszą się dowiedzieć, jak dobrze nimi rządzę. Skąd by wiedzieli, gdybyśmy im nie donosili?

— Powinieneś trochę odpocząć — powiedział Pauł.
Ponownie książę stanął twarzą w twarz z synem.

— O mało nie zapomniałem wymienić jeszcze jednej zalety Arrakis. Tutaj we wszystkim jest przyprawa. Oddychasz nią i jesz ją prawie we wszystkim. I dochodzę do wniosku, że daje ona pewną naturalną odporność na niektóre z najbardziej popularnych trucizn z Poradnika Assassina. Zaś konieczność liczenia każdej kropli wody sprawia, że cały przemysł spożywczy -s- hodowla drożdży, hydroponika, chemia spożywcza, wszystko — znajduje-się pod najściślejszym nadzorem. Nie możemy wymordować znacznej części naszej populacji za pomocą trucizny — ani też nie można nas w ten sposób zaatakować. Arrakis czyni nas moralnymi i etycznymi.

Pauł .chciał coś powiedzieć, ale książę nie dopuścił go do głosu.

— Muszę się przed kimś wygadać, synu — rzekł z westchnieniem. Zerknął przez .ramię na wypalony krajobraz, z którego zniknęły już teraz nawet i kwiaty stratowane przez żeńców rosy, zwarzone przedpołudniowym słońcem.

— Na Kaladanie władaliśmy przy pomocy potęg morskiej i powietrznej — powiedział książę. — Tutaj musimy dochrapać się potęgi pustynnej. Oto twoje dziedzictwo, Pauł. Co z tobą będzie, jeśli mnie zabraknie? Nie, nie zostaniesz głową rodu^renegatów, lecz partyzantem — uciekającym, ściganym. ' ,

Pauł rozpaczliwie szukał stów, nie wiedząc, co powiedzieć. Nigdy nie widział swojego ojca aż tak przybitego.

— Kto chce utrzymać Arrakis — mówił książę —staje przed podjęciem decyzji, których ceną może się okazać własna godność..

Wskazał za okno na zielono-czarny sztandar Atrydó^ zwisający martwo z masztu na skraju lądowiska.

— Ten chlubny sztandar może stać się symbolem wielu strasznych rzeczy.
Pauł przełknął suchość w ustach. W słowach ojca była beznadziejność, przeczucie nieuchronnego losu, które zostawiło ciężar pustki w piersi chłopca. Książę wyjął

z kieszeni tabletkę przeciw zmęczeniu i połknął ją nie popijając.

— Siła i strach — powiedział. — Narzędzia dyplomacji. Nłuszę przykazać, by położono silniejszy nacisk na twoje szkolenie partyzanckie. W tym wycinku filmu — nazywają cię tam „Mahdi" — „Lisan al-Gaib" — to może stać się dla.ciebie ostatnią deską ratunku.

Pauł wpatrywał się w ojca dostrzegając, jak pod wpływem tabletki prostują się mu ramiona, ale w pamięci miał jego słowa pełne lęku i niepewności.

— Co zatrzymało ekologa? — wymamrotał książę. — Mówiłem Hawatowi, żeby przysłał go wcześnie.

Pewnego dnia ojciec mój, Padyszach Imperator, wziął mnie za rękę i wyczułam dzięki metodom, jakich nauczyła mnie matka, że coś go gnępi. Powiódł mnie przez Salę Portretową" poć

9;

cgo-portret księcia Lcto Atrydy. Zauważyłam silne podobieństwo między nimi — moim ojcem a tym mężczyzną na portrecie — obaj mieli pociijgte, arystokratyczne twarze o ostrych 'rysach. którym ton nadawało spojrzenie zimnych oczu.

„Córko-księżnicz-ko" — powiedział mój ojciec — „żałuję, że nie byłaś starsza, kiedy nadeszła pora wyboru kobiety dla tego mężczyzny". Mój ojciec liczył wtedy siedemdziesiąt jeden' lat i nie wyglądał starzej od człowieka na portrecie, ja zaś miałam lat zaledwie czternaście, ale pamiętam, jak zrozumiałem w tamiym momencie, że ojciec potajemnie pragnął mieć księcia za syna i czuł awersję do politycznych układów, które uczyniły ich wrogami.

7 „W domu mojcyo ojdr pióra kMę7,nic7ki Irula"

Pierwsze spotkanie z ludźmi, których przykazano mu zdradzić, wstrząsnęło'Sektorem Kynesem. Chlubił się tym, że jako uczony uważa legendy jedynie za interesujące przesłanki do zrozumienia kulturowych korzeni. Ale chłopak pasował jak ulał do starożytnej przepowiedni. Miał „oczy, które widziały" i wyczuwało się w nim „ukrytą prawość". Wyrocznia pozostawiła oczywiście pewną swobodę — co do kwestii, czy Bogini Matka przywiedzie Mesjasza ze sobą, czy zrodzi go na miejscu. Jednakowoż istniała zadziwiająca zgodność przepowiedni z osobami.

Spotkali się późnym rankiem pod budynkiem zarządu lądowiska Arrakin. Nie oznakowany ornitopter przycupnął opodal w pogotowiu startowym, brzęcząc cicho jak ospały owad. Z obnażonym mieczem stał przy nim gwardzista Atrydów w lekkiej dystorsji powietrza od okalającej go tarczy. Kynes uśmiechnął się szyderczo na widok konturów tarczy i pomyślał: tutaj Arrakis szykuje im niespodziankę. Planetolog podniósł rękę dając znak Fremenom ze swojej straży przybocznej, by pozostali w tyle. Sam pomaszerował prosto do wejścia budynku — ciemniejszego otworu w powleczonej plastikiem skale. Jakże odsłonięty jest ten monolityczny budynek — pomyślał. O ileż lepsza jest jaskinia. Ruch w wejściu zwrócił jego uwagę. Zatrzymał się wykorzystując ten moment, by poprawić sobie burnus i fałdę na lewym ramieniu filtrfraka.

Drzwi wejściowe rozwarły się na oścież. Gwardziści Atrydów .wysypali się pośpiesznie, co do jednego uzbrojeni po zęby —w głuszaki na moderacyjne kule, miecze, tarcze. Za nimi nadchodził wysoki mężczyzna o jastrzębich rysach, ciemnoskóry i ciemnowłosy. Miał na sobie dżubbę z herbem Atrydów na piersi i nosił ją w sposób zdradzający brak obycia z tego rodzaju ubiorem. Poła dżubby czepiała mu się nogawek filtrfraka. Tkaninie brakowało rozbujanego w rytmie kroków falowania.

U boku mężczyzny szedł młodzieniec z równie ciemnymi włosami, lecz pełniejszy na twarzy. Mały był na te swoje piętnaście lat, o których Kynes wiedział. Ale w młodym człowieku wyczuwało się majestat i niewzruszoną pewność siebie, jakby dokoła widział i rozpoznawał rzeczy dla innych niedostrzegalne. A płaszcz identycznego co u ojca kroju leżał na nim z niedbałą swobodą, sprawiając wrażenie, że chłopiec nosił takie okrycie od urodzenia. „Mahdi świadom będzie spraw niewidzialnych dla innych" — głosiła wyrocznia. Kynes potrząsnął głową przekonując sam siebie:

ludzie jak ludzie. ^

Z tymi dwoma i jak .oni w ubiorze pustynnym zbliżał się człowiek Kynesowi znajomy — Gurney Haliccy. Kynes wciągnął głęboko powietrze tłumiąc niechęć do Hal-Iccka, który udzielił mu pouczeń, jak się należy zachowywać w obecności księcia i ksią-

żęcego dziedzica. Wotn.o ci zwracać się'do księcia „mój panie" albo „Sire". „Szlachetnie urodzony" leż ujdzie, ale to zwrot na bardziej oficjalne okazje. Do syna można mówić „młody panie" albo.„mój panie". Książę jest człowiekiem wielce wyrozumiałym. ale nie znosi zbytniej poufałości. Obserwując zbliżając;) się grupę Kynes pomyślał:

bardzo prędko dowiedzą się. kto jest panem Arrakis. Kazać jakiemuś mentatowi maglować mnie prze/ pół nocy? Spodziewać się po mnie, że ich /•anjorę na inspekcję przyprawowych piasków? Cel pytań Ha.wata nie uszedł uwagi Kynesa. Oni chcą imperialnych baz. l nie ulegało wątpliwości, że o bazach dowiedzieli się od Idaho. Każę Slilgarowi odesłać temu księciu głowę Idaho — obiecał sobie Kynes. Książęcy orszak znajdował się teraz zaledwie o parę kroków, piasek chrzęścił pod podeszwami butów pustynnych. Kynes schylił głowę w ukłonie.

— Mój panie, książę. • ;

Zbliżając się do samotnej postaci mężczyzny stojącego w sąsiedztwie ornitoptcra Leto przyglądał mu się / uwagą: wysoki, szczupły, odziany na pustynną modłę w luźny płaszcz, filtrirak i huty / krótkimi cholewami. Zarzucony na plecy kaptur /e zwisającym u boku czarczafem wystawiał na widok rudoblond włosy i rzadką brodę. Oczy pod krzaczastymi brwiami były owym niezgłębionym błękitem w błękicie. W jego oczodołach znać było resztki ciemnego barwnika.

— Ty jesteś ekologiem — powiedział książę.

— My lulaj wolimy stary tytuł, mój panie — odparł Kynes. — Planctologicm.

— Jak sobie życzysz — powiedział książę. — Synu. to jest Sędzia Zmiany, arbiter w sporze, człowiek, który z urzędu mu czuwać tutaj nad przestrzeganiem form objęcia przez nas we władanie tego lenna. — Zerknął na Kynesa. — A to jest mój syn. \

— Mój panie — powiedział Kynes.

— Jesteś Fremenem? — spytał Paul.
Kynes uśmiechnął się.

— Przyjmuje mnie i sicz. i wioska, młody panie. Ale jestem Imperialnym Planetplogiem w służbie .lego Królewskiej Mości.

Paul skinął głową — był pod wrażeniem bijącej od mężczyzny siły. Halleck wskazał Paulowi Kynesa z. górnego okna budynku zarządu: To ten mężczyzna stojący w eskorcie Fremenów, co idzie teraz w stronę ornitoptera. Paulowi mignęły przelotnie. w lornetce dumne, proste usta i wysokie czoło Kynesa. Halleck zamruczał Paulowi do ucha:

— Dziwaczny facet. Wysławia się krótko, węzłowato, bez owijania w bawełnę.
A książę za ich plecami powiedział:

— Typowy naukowiec. .

Teraz, stojąc zaledwie o parę stóp .od tego człowieka, ł^auł wyczuwał w nim moc. emanację osobowości obdarzonej wrodzoną charyzmą przywódcy, jakby w żyłach Kynesa płynęła królewska krew.

— Rozumiem, że tobie winniśmy podziękowanie za nasze filtrfraki i te płaszcze — powiedział książę. •' • •

— Mam nadzieję, że leżądobrze, mój panie — rzekł Kynes.— To robota fremeńska, a wielkość ich jest jak najbliższa wymiarów, które rni'podał twój człowiek, obecny tu Halleck.

— Zaniepokoiło mnie twoje stwierdzenie, że nie zabierzesz nas w pustynię, jeśli nie założymy tych strojów — powiedział książę. — Możemy wziąć dużo wody. Nie wybieramy się na długi lot i będziemy mieli powietrzną osłonę, eskortę, jaką widzisz w tej chwili nad głową. Nie wydaje się prawdopodobne, byśmy przymusowo lądowali.

Kynes przeszył go spojrzeniem, mier-ząc napęczniałe wodą ciało. Powiedział ozięble:

— Na Arrakis nigdy nie mówi się o prawdopodobieństwach. Mówi się o ślepym przypadku.

Halleck najeżył się.

— Do księcia należy się zwracać „mój panie" albo „Sire"!
Leto zrobił sekretny znak dłonią, by dat on spokój; powiedział:

— Nasze zwyczaje «ą tu nowe, Gurney. Musimy brać to pod uwagę.

— Twoja wola, Sire.

— Jesteśmy twymi dłużnikami, doktorze Kynes — powiedział Leto. — Te ubiory i troska o nasze dobro nie pójdą w niepamięć.

Pauł przypomniał sobie werset z Biblii P. K. i pod wpływem chwili Wyrecytował:

— „Dar jest błogosławieństwem ofiarodawcy".

W martwym powietrzu słowa zahuczały z nienaturalną donośnością. Fremeńska eskorta, którą Kynes zostawił w cieniu pod budynkiem zarządu, zerwała się z kucek na równe nogi szemrząc w wyraźnym podnieceniu. Jeden, z nich krzyknął:

— Lisan al-Gaib! * :- ' .'
Kynes obrócił się jak ukąszony w ich stronę, zrobił krótki, błyskawiczny ruch dłonią i machnięciem ręki odprawił swoją eskortę. Sarkając między sobą cofnęli się i powlekli za róg budynku.

— Nader ciekawe — powiedział Leto.

Kynes zmierzył twardym, piorunującym spojrzeniem księcia i Paula.

— Większość tubylców to zabobonna gromada. Nie zwracajcie na nich uwagi. Nie mają złych intencji.

Ale myślał o słowach wyroczni: „Powitają was Świętymi Słowy i błogosławieństwem będą wasze dary".

Opinia Leto o Kynesie, w części oparta na krótkim ustnym raporcie Hawata (ostrożnym i pełnym podejrzeń) skrystalizowała się nagle: ten człowiek jest Fremenem. Kynes przybył z eskortą Fremenów, co mogło oznaczać po prostu, że Fremeni sprawdzają swoje nowe prawo do swobodnego przebywania na terenie miast, lecz wyglądało to na kompanię honorową. A sądząc z zachowania. Kynes był człowiekiem dum-. nym, przywykłym do wolności, którego język i maniery trzymały na wodzy jedynie jego własne uprzedzenia. Pytanie Paula było na miejscu i na temat. Kynes zasymilował się.

— Czy nie powinniśmy ruszać, Sire? — zapytał Halleck.
Książę przytaknął skinieniem głowy.

— Sam poprowadzę swój ornitopter. Kynes niech siądzie ze mną z przodu, by pokazywać mi drogę. Ty i Paul zajmijcie tylne siedzenia.

9S

— Jeszcze chwilkę — powiedział Kynes. — Za pozwoleniem, Sire, muszę sprawdzić stan zabezpieczenia waszych ubiorów.

Książę zamierzał coś odpowiedzieć, ale Kynes ponaglił:

— Chodzi o moje własne ciało tak samo jak o twoje... mój panie. Doskonale zdaję sobie sprawę, czyje poderżną gardło, jeśli wam dwóm coś się przytrafi pod moją opieką.

Książę zmarszczył brwi. Co za drażliwy moment! Jeżeli odmówię, gotów się obrazić. A to może być człowiek o bezcennej dla mnie wartości. Mimo to... wpuścić go za mą tarczę, zezwolić na dotykanie mej osoby, gdy tak niewiele o nim wiem?

Myśli te przemknęły mu przez głowę błyskawicznie, decyzja przyszła tuż po nich.

— Oddajemy się w twoje ręce — powiedział książę. Zrobił krok do przodu otwierając płaszcz, .dostrzegł, że Halleck przenosi ciężar ciała na palce, zebrany w sobie i czujny, ale nie rusza się 2f'miejsca. — I gdybyś był taki uprzejmy — dodał książę — z wdzięcznością przyjmę objaśnienia dotyczące tego stroju od kogoś, kto żyje z nim na co dzień.

— Oczywiście — powiedział Kynes. Zmacał pod płaszczem u góry uszczelki ramienne, mówiąc w trakcie sprawdzania stroju. — Podstawą jest mikroprzekładka —, wysokiej wydajności system filtracyjny i wymiany ciepła.

Dopasował uszczelki ramion.

— Warstwa stykająca się ze skórą jest porowata. Po ochłodzeniu ciała przenika przez nią pot...prawie naturalny proces parowania. Następne dwie warstwy... — Kynes mocniej ściągnął pierś — zawierają włókna wymiany ciepła i osadniki soli. Sól jest odzyskiwana.

Na dany znak książę podniósł ramiona.

— Nader ciekawe — powiedział.

— Oddychać głęboko — rzekł Kynes./ Książę wykonał polecenie. Kynes przyglądał się uszczelkom pod pachami, jedną, poprawił.

— Ruchy ciała, szczególnie przy oddychaniu — powiedział — i w części działanie osmołyczne dostarczają siły pompującej. '
Poluzował z lekka ściągacz piersi.

— Odzyskana woda przepływa do kieszeni łownych, z których czerpie sieją przez tę rurkę w chomątku na szyi.

Książę przycisnął brodę do piersi, by zobaczyć wylot rurki.

— Skuteczne i wygodne — powiedział. — Świetne rozwiązanie techniczne.
Kynes przyklęknął, zbadał uszczelki nóg.

— Mocz i fekalia przetwarzane są w podkładkach udowych — powiedział i wstał, sprawdził szczelność kołnierza, uniósł na nim osobną klapę. — W otwartej pustyni nosi się ten filtr na twarzy, a tę rurkę zakończoną uszczelniającymi wtykami w nozdrzach. Wdech przez filtr naustny, wydech przez rurkę nosową. W dobrze działającym fremeńskim stroju tracimy nie więcej niż naparstek wilgoci dziennie, nawet jeśli się ugrzęźnie w sercu Wielkiego Ergu. '

— Naparstek dziennie — powtórzył książę. Kynes dw^nąt palec do podkładki naczółka stroju i powiedział:

— Tu czasami trochę uwiera. Jeśli będzie obcierać, proszę mi powiedzieć. Mógłbym to nieco ciaśniej dopasować.

— Dziękuję — powicd/iat książę. Poruszył ramionami, gdy Kynes się cofnął, i poczuł, ze wszystko leży na nim lepiej: bardziej przylega i mniej drażni.
Kynes zwrócił się do Paula.

— Teraz kolej na ciebie, zuchu.

Dobry człowiek, ale musi się nauczyć odpowiednio do nas zwracać — pomyślał książę. Paul stał biernie, kiedy Kynes sprawdzał mu ubiór. Miał dziwne uczucie w trakcie nakładania tego stroju o pomarszczonej śliskiej powierzchni. W jego przedświadomości była absolutna pewność, żc,nigdy przedtem me nosił filtrfraka. Mimo to Każde dociągnięcie przylepnych patek pod niedoświadczonym okiem (iurneya wydnwało mu się naturalne, instynktowne. Gdy ściągnął się w piersi, by uzyskać maksymalne działanie pompujące przy oddechu, wiedział, co robi i dlac/cgo. Gdy ściśle dopasował patki szyjne i naczółka, wiedział, że zrobił to, by nie dopuścić do powstania obtarcia i pęcherzy.

Kynes wyprostował się i cofnął z zaintrygowaną miną.

— Nosiłeś już kiedyś filtrfrak? — zapytał.

— Mam go na sobie po raz pierwszy.

— A więc ktoś ci go dopasował?

— Nie.

— Twoje pustynne buty są przewiązane na ukos w kostkach Klo ci tak ka/ał zrobić?

— Wydawało mi się...że tak trzeba.

— Bo rzeczywiście tak trzeba.

I Kynes pocierając policzek wspomniał słowa legendy: , On będzie /nat wasze zwyczaje, jakby się do nich urodził".

— Tracimy czas — powiedział książę.' Wskazał w stronę czekającego ornitoptera'i ruszył przodem, oddając wartownikowi salut kiwnięciem głowy. Wdrapał się do środka, zapiął pasy bezpieczeństwa, sprawdził stery i przyrządy. Statek skrzypiał, kiedy pozostali gramolili się na pokład. Kynes zapiął swoje pasy i zwrócił uwagę na komfort wnętrza statku: puchowy luksus szarozielone) tapicerki, światła przyrządów i smak przefiltrowanego i nawilżonego powietrza w płucach, gdy po zatrzaśnięciu drzwi ożyły z furkotem wentylatory. Jak w łóżku — pomyślał.

— Wszystko gotowe, Sirc — powiedział Halleck.

Leto podał napęd na skrzydła, poczuł, jak wznoszą się i opadają — raz'i-drugi. Po dziesięciu metrach byli w powietrzu ze skrzydłami usztywnionymi w położeniu na płask, a silniki w ogonie z szumem wypychały ich w stromym wznoszeniu do góry.

— Południowy wschód za Murem Zaporowym —opowiedział Kynes. — Tam właśnie zaleciłem waszemu piachmistrz.owi skierować sprzęt.

— Dobrze.

Książę wszedł wirażem w szyk swej powietrznej osłony, której siatki ,',)'"i>iwały pozycje ubezpieczające, gdy kierował się na południowy ws''hód.

— Projekt i wykonanie tych filtrfraków świadczą o wysokim poziomic m\ ;ii technicznej — powiedział.

— Któregoś dnia mogę wam pokazać wytwórnię w siczy — powiedział Kynes.

— Będzie to dla mnie interesujące — rzekł książę. — Wiem, że fraki wyrabia się też w niektórych miastach garnizonowych.

— Nieudolne imitacje — odparł Kynes. •— Każdy dbający o własną skórę diunida nosi frak Fremenów.

— I dzięki temu'nie traci więcej niż naparstek wody dziennie?

— W sprawnym filtrfraku, przy dociśniętej pokrywie naczółka, z wszystkimi uszczelkami w porządku, tracimy wodę głównie przez dłonie — powiedział Kynes. — Można założyć frakowe rękawice, jeśli to, co robimy, nie wymaga precyzji, lecz większość Fremenów na otwartej pustyni naciera sobie dłonie sokiem z liści Covi!lea mexicana. On powstrzymuje pocenie. , '

Książę spojrzał w lewo na popękany w dole krajobraz Muru Zaporowego — na rozpadliny udręczonej skały, na plamy żółtawego brązu porozrywane czarnymi liniami uskoków. Jakby ktoś upuścił ten ląd z niebios i zostawił tam, gdzie się roztrzaskał. Przecięli płytki basen z wyraźnymi konturami szarej łachy piasku rozlewającej się po nim z południowego wylotu kanionu. Jęzory piachu wpadały do basenu suchą deltą Zarysowaną na tle ciemniejszej skały. Kynes opadł na oparcie myśląc o bogatych w wodę ciałach, jakie wymacał pod filtrfrakami. Na płaszczach nosili pasy tarczowe, u bioder głuszaki na zwolnione pociski, z szyi zwisały im na sznurkach alarmowe nadajniki wielkości monety. Obaj, książę i syn, mieli noże w pochwach na nadgarstkach, a te pochwy były nieźle podniszczone. Ci ludzie zafrapowali Kynesa dziwną kombinacją mięk-

kości i zbrojnej siły. W ich postawie było coś zupełnie niepodobnego do Harkonnenów.

— Kiedy przyjdzie ci zameldować Imperatorowr-o zmianie tutejszego rządu, czy powiesz, że przestrzegaliśmy prawa? — spytał Leto.

— Harkonnenowie odeszli, wy przyszliście — powiedział Kynes.

— I wszystko jest w porządku?

Na chwilę mięśnie szczęki Kynesa stężały, zdradzając jego podenerwowanie:

— Jako planetolog i Sędzia Zmiany jestem bezpośrednio poddanym Imperium... mój panie.

Książę uśmiechnął się ponuro.

— Przecież obaj jesteśmy realistami.

— Pragnę przypomnieć, że Jego Wysokość popiera to, co tu robię.

— Rzeczywiście? A właściwie co tutaj robisz?

W chwili krótkiej ciszy Pauł pomyślał: Za mocno naciska tego Kynesa. Zerknął na Hallecka, ale minstrel-wojownik oglądał pustynny pejzaż. Kynes powiedział sztywno: . • ^

— Oczywiście mowa o moich obowiązkach planetologa.

— Oczywiście.

— Przeważnie zajmuję się biologią suchego środowiska i botaniką...trochę badań geologicznych: wiercenia skorupy i analiza. Nigdy nie wyczerpie się do końca możliwości całej planety.

— Czy również zajmujesz się badaniami przyprawy? '

Kynes zwrócił się do księcia i Pauł zauważył twardą linię policzka tego mężczyzny.

— Dziwne pytanie, Sirc. . . \ •

— Miej na uwadze, Kynes, że teraz to moje lenno. Moje metody różnią się od metod Harkonnenów. Nie obchodzą mnie twoje badania nad przyprawą, dopóki mam udział w twoich odkryciach. — Spojrzał na planetologa. — Harkonnenowie byli przeciwni badaniom pr/yprawy, nieprawdaż?

Kynes nie odpowiedział, odwzajemniając spojrzenie.

— Możesz mówić bez ogródek — odezwał się książę — bez obawy o swoją skórę.

— Dwór imperialny Jest rzeczywiście bardzo daleko — zamruczał Kynes. A pomyślał: Czego ten nasiąknięty wodą mięczak się spodziewa? Czy wydaje mu się, że jestem aż tak głupi, by służyć intruzowi?

Książę parsknął śmiechem i skupił się na trzymaniu kursu.

.-- Wyczuwam nutę goryczy w twoim głosie, sir. Wtargnęliśmy tutaj z riaszą hałastrą obłaskawionych morderców, tak? I spodziewamy się, że natychmiast dostrzeżesz, iż jesteśmy różni od Harkonnenów.

— Czytałem propagandówki. jakimi zalewacie sicz i wioski — rzekł Kynes. — „Kochajcie dobrego księcia!" Was.z korp.ys prop...

— Ejże! — warknął Halleck. Oderwał w/rok od okna, pochylił się do przodu. Pauł położył mu dłoń na ramieniu.

— Gurney! — powiedział książę. Obejrzał się. — Ten człowiek był długo pod Harkonnenami.

Halleck opadł na oparcie fotela.

— Aha.

— Twój człowiek, Hawat, jest subtelny —'• powiedział Kynes — ale jego cel był dość jasny.

— Udostępnisz nam więc owe bazy? — zapytał książę. Kynes uciął oschle:

— Są własnością Jego Królewskiej Mości.

— Nie są wykorzystywane.

— Ale mogą być.

— Jego Królewska Mość też tak myśli? Kynes rzucił księciu złe spojrzenie.

— Arrakis byłaby rajem, gdyby jej władcy dostrzegali coś więcej prócz rycia za przyprawą!

Nie odpowiedział na moje pytanie — pomyślał książę.

— Jak planeta ma się stać rajem bez pieniędzy? — zapytał.

— Cóż po pieniądzach, skoro nie da się kupić tego, co potrzeba? Ach tak! — pomyślał książę. I powiedział:

— Porozmawiamy o tym innym razem. Chyba zbliżamy się już do krawędzi Muru Zaporowego. Mam trzymać kurs?

— Trzymać kurs — wymamrotał Kynes.

Pauł wyjrzał przez okno. Pod nimi spękany griint zaczynał opadać wzburzonymi falami ku gołej skalnej płaszczyźnie i ostremu jak nóż szelfowi. Za szelfem półksiężycowe paznokcie wydm szły aż po horyzont, z tu i ówdzie rozmazaną w dali plamką, ciemniejszym kleksem mówiącym o czymś, co nie było piaskiem. Być może wycho-

dniami warstwy skalnej. W tym stężałym od upału powietrzu Pauł nie był niczego pewny. • '

— Czy tam na dole są jakieś rośliny? — zapytał.

— Trochę — powiedział Kynes. — W strefie życia na tej szerokości występuje przeważnie to, co nazywamy drugorzędnymi złodziejami wody — przystosowanymi do wzajemnego ograbiania się z wilgoci, pochłaniającymi śladową rosę. Pewne rejony pustyni obfitują w życie. Ale wszystko, co żyje, posiadło sztukę przetrwania w tych trudnych warunkach. Znalazłszy się tam na dole musisz naśladować owo życie albo

zginąć.

— To znaczy okradać innych z wody? — zapytał Pauł. Sama idea napełniła go oburzeniem, co zdradzał jego głos.

— Robi się to — powiedział Kynes — ale niezupełnie o to mi chodziło. Widzisz, mój klimat wymaga specyficznego podejścia do wody. Nie zapomina się o niej ani na chwilę. Nie marnuje się niczego, co zawiera w sobie witgoć.

A książę pomyślał: mój klimat!

— Skręć na wiatr dwa stopnie bardziej na południe, mój panie — powiedział Kynes.—Z'zachodu idzie wichura.

Książę skinął głową. Sam zauważył kłęby brązowego pyłu. Położył w zakręt ornitopter i zobaczył, jak skrzydła eskorty przechylają się W wirażu, by go nie zgubić, i odbijają mleczną pomarańczowość załamanego w pyle światła.

— Dzięki temu powinniśmy obejść bezpiecznie czoło huraganu — rzekł Kynes.

— Taki piasek musi być niebezpieczny, kiedy się w niego wleci — zauważył Pauł. — Czy rzeczywiście przecina on najtwardsze metale?

— Na tej wysokości to nie jest piasek, tylko pył — wyjaśnił Kynes. — Niebezpieczeństwo, jakie on stwarza, to brak widoczności, turbulencja, zatkanie wlotów.

— Czy zobaczymy dziś samo wydobywanie przyprawy? — spytał Pauł.

— Bardzo możliwe — odparł Kynes.

Pauł zagłębił się w fotelu. Za pomocą pytań i nadświadomości dokonał czegoś. co jego mat"ka nazywała „rejestracją" osobnika. Znał teraz Kynesa na pamięć — barwę głosu, każdy szczegół twarzy i gestu. Nienaturalna fałda lewego rękawa mówiła o nożu w pochwie na ramieniu. Talia była dziwnie wybrzuszona. Słyszał, że ludzie pustyni noszą w pasie szarfę, za którą wtykają niezbędne drobiazgi. Może wybrzuszenie pochodziło od takiej szarfy, bo na pewno nie od ukrytego pasa tarczy. Miedziana zapinka z wygrawerowanym wizerunkiem zająca spinała kołnierz jego płaszcza. Drugą, ^mniejszą, z podobnym wizerunkiem miał przy zarzuconym na plecy kapturze.

Halleck odwrócił się w fotelu obok Paula, sięgnął do przedziału w ogonie i wyciągnął swoją baliście. Kynes obejrzał się, kiedy Halleck stroił instrument, po czym' wrócił do obserwowania kursu.

— Czego chciałbyś posłuchać, młody panie? — zapytał Halleck.

— Sam coś wybierz, Gurney — powiedział Pauł. ' .
Halleck przysunął ucho do pudła rezonansowego, wziął akord i zaśpiewał cichutko:

103

Nasi ojce jedli mannę pustyni;

w /.nr/e miejsc, gdzie lulają cyklony.
Panie, /baw nas od strasznej ziemi!
Zbaw nas...aaach, zh.iw nas

od martwej, suchej ziemi.

t •

Kynes zerknął na księcia i powiedział:

:—Podróżujesz z małym zaiste oddziałem straży, mój panie. Czy wszyscy twoi ludzie posiadają tak wiele talentów?

— Gurney? — książę- roześmiał się. — Gurney jest jedyny w .swoim rodzaju. Lubię go "mieć prz.y sobie dla jego oczu. Niewiele przegapią.

Planetolog zmarszczył czoło; Nic gubiąc rytmu swej melodii Halleck dośpiewał:

Bo jam jest. jak sowa pustyni, o! '
O tak! Jam jest jak sowa pus-ty-ni!

Książe sięgnął w dół, wyjął z tablicy przyrządów mikrofon, włączył go kciukiem, powiedział:

— Dowódca do Eskorty Gemma. Obiekt latający w godzinie dziewiątej, sektor B. Jak z rozpoznaniem? '

— 1 o tylko duży ptak — powiedział Kynes i dodał: — Masz bystre oczy.
)— Eskorta Gemma. Obiekt zbadany w pcłnyrrt powiększeniu. To jest duży ptak.

Pauł spojrzał we wskazanym kierunku, dostrzegł odległy punkt, kropkę w przerywanym ruchu, i uświadomił sobie, jak przewrażliwiony musi być jego ojciec. Wszystkie zmysły w pełnym pogotowiu. .

— Nie zdawałem sobie sprawy, że spoty-ka się takie wielkie ptaki tak daleko w głębi pustyni — powiedział książę.

— To zapewne orzeł — powiedział Kynes. — Wiele stworzeń zaadaptowało się do tego miejsca. * • i

Ornitopter przemknął nad nagą skalną równiną. Pauł spojrzał w dół z wysokości dwóch tysięcy metrów, zobaczył pomarszczony cień ich statku i eskorty. Grunt pod nimi wyglądał płasko, lecz zmarszczki cienia świadczyły b czymś przeciwnym. --

— Czy ktoś wyszedł kiedyś z pustyni? — zapytał książę. Halleck przestał grać. Nachylił się, by uchwycić odpowiedź. , '

— Nie z głębokiej pustyni — powiedział Kynes. — Ludzie wychodzili z drugiej strefy wiele razy.. Przeżyli dzięki temu, że szli przez skaliste obszary, gdzie rzadko'zapuszczają się czerwie. . . ,

Ton głosu Kynesa przykuł uwagę Paula. Czuł, że wszystkie :»ego zmysły zostały zaalarmowar.c tak, jak je wyszkolono.

— Aach, czerwie-— powiedział książę. — Muszę kiedyś zobaczyć czerwia.

— Może dzisiaj zobaczysz — powiedział Kynes. — Gdziekolwiek jest przyprawa. tam są czerwie. -

— Zawsze? — spytał Halleck.

— Zawsze. .

J 04

— Czy istnieje związek między czerwiem a przyprawą? — spytał książę. Kynes obrócił'sięj Pauł zobaczył zasznurowane usta, gdy przemówił:

— One bronią piasków przyprawnych. Każdy czerw ma określone...terytorium.

Jeśli chodzi o przyprawę...kto wie? Zbadane przez nas okazy czerwi każą podejrzewać ; złożone chemic/ne przemiany wewnętrzne. Znajdujemy ślady kwasu chlorowodorowego w przewodach anatomicznych. bardziej złożone związki kwasowe w mnych miejscach. Polecam swoją monografię na len lemat.

— I tarcza nie jest żadna obroną? — spytał książę.

— Tarcze! — zadrwił Kynes. — Włącz tarczę w strefie czerwia, a przypieczętujesz swój los. Czerwie ignoruj;) granice terytoriów, ściągają z oddali, by zaatakować tarczę. Żaden człowiek noszący tarczę nie przeżył nigdy takiego ataku.

— Więc w jaki sposób chwyta się czerwie?

— Porażenie każdego pierścienia z osobna prądem wysokiego napięcia jest jedynym znanym sposobem na zabicie bądź pojmanie czerwia w całości — powiedział [/Kynes. — Można je oszołomić i porozrywać materiałami wybuchowymi, lecz każdy pierścień żyje niezależnym życiem. Oprócz energii atomowej nie znam żadnego ma•teriału wybuchowego o sile dostatecznej, by zabić dużego czerwia. One są niewiarygodnie odporne.

— Dlaczego nie próbowano ich wytępić?, — zapytał Pauł.

— To zbyt kosztowne — powiedział Kynes. — Zbyt wielki obszar na taką operację. "" .

Pani odchylił się do tyłu w swoim kącie. Jego zmysł prawdy, wrażliwość na odcienie tonu mówiły mu, że Kynes kłamie i wypowiada półprawdy, l pomyślał: Jeśli zachodzi relacja między przyprawą a czerwiami, wytępienie czerwi zniszczyłoby przyprawę.

— Niebawem nikt nie będzie musiał wychodzić z pustyni — powiedział książę. — Wystarc/y pstryknąć tymi małymi nadajniczkartii na naszych szyjach i ratunek jest w drodze. Niedługo będą je nosili wszyscy nasi robotnicy. Organizujemy specjalną służbę ratowniczą.

— Wielce chwalebne — powiedział Kynes.

— Twój ton świadczy, że się z tym nie zgadzasz — powiedział książę.

— Nić zgadzam? Oczywiście, że się zgadzam, ale z tego niewiele będzie pożytku. Llektryczność statyczna / burz piaskowych zagłusza wiele sygnałów. Nadajniki milkną od zwarcia, .luz ich tu próbowano, nie wiecie?'Arrakis jest okrutn.i dla sprzętu. l jeśli czerw na kogoś poluje, czasu jest niewiele. Czesio ma się nie więcej ni/ piętnaście do dwudziestu minut.

— Co byś radził? — zapylał książę.

— Pytasz mnie o radę?

— J.iko planetologa. tak.

— Posłuchasz mojej rady? .

—- Jeśli sensowna...

— Doskonale, mój panie. Nigdy nie podróżuj samotnie.
Książę odwrócił się od przyrządów.

— To wszystko? .

— To wszystko. Nigdy nie podróżuj samotnie.

— A jeżeli człowiek zgubi się w burzy i będzie zmuszony lądować?— zapytał Halleck. — Czy może coś zrobić?

— „Coś" to bardzo ogólne sformułowanie.

— Co t y byś zrobił? — zapytał Paul.

Kynes spojrzał na niego zimnym wzrokiem i odwrócił się z powrotem do księcia.

— Pamiętałbym o ochronie mego filtrfraka przed uszkodzeniem. Poza strefą czerwia lub w skałach zostałbym przy statku. Gdybym wylądował na otwartych piaskach, zwiewałbym od statku co sił w nogach. Wystarczy odległość około tysiąca met;

' rów. Potem ukryłbym się pod płaszczem. Czerw dopadłby statku, a mnie może by przegapił.

— Co potem? — zapytał Halleck.
Kynes wzruszył ramionami.

— Czekać, aż czerw odejdzie.

— To wszystko? — zapytał Paul.

— Jak już nie ma czerwia, można spróbować wyjść — powiedział Kynes.— Trzeba iść ostrożnie, omijając grające piaski i baseny z pyłopływami, w stronę najbliższej strefy skał. Takich stref jest wiele. Jest szansa na powodzenie.

—— Grające piaski? — zapytał Halleck.

— Piasek w stanie zagęszczenia — wyjaśnił Kynes. — Najlżejsze stąpnięcie wpra-
. wia je w dudnienie. To zawsze ściąga czerwie.

— A basen pyłopływu? — zapytał książę.

— Różne zapadliska w pustyni przez stulecia wypełniły się pyłem. Niektóre są

tak rozległe, że mają prądy i pływy. Wszystkie pochłoną tego, kto nieopatrznie tam wejdzie.

Halleck oparł się wygodnie, wziął akord na balisecie. Po chwili zaśpiewał:

Tam gonią dzikie bestie pustyni,
dybią na niewiniątek szeregi,
Oooch, nie kuś bogów pustyni.
bo znajdziesz się w elegii.
Pułapki tej...

Urwał, wychylając się do przodu. '

— Kurzawa przed nami, Sire.

— Widzę, Gurney. . '

— Tego właśnie szukamy — powiedział Kynes.
Paul wyciągnął szyję, by zerknąć w przód, dojrzał kłębiącą się żółtą chmurę nisko nad powierzchnią pustyni, jakieś trzydzieści kilometrów przed sobą.

— To jeden z waszych gąsieników — powiedział Kynes. — Jest'na powierzchni,

co znaczy, że trafił na przyprawę. Chmura to piasek wydmuchiwany po odwirowaniu przyprawy. Nie ma drugiej takiej chmury na świecie.

— Statek nad nią — powiedział książę.

— Widzę dwa...trzy...cztery szperacze — rzekł Kynes. — Wypatrują znaku czerwia.

— Znaku czerwia? — zapytał książę.

— Fali piaskowej sunącej na gąsienik. Będą też mieli sondy sejsmiczne na ziemi. Czasami czerwie wędrują zbyt głęboko, by fala się,pokazała — Kynes obiegł spojrzeniem niebo dokoła. — W pobliżu powinna być zgarniarka, ale jej^nie widzę.

— Czerw przychodzi zawsze, co? — zapytał Halleck.

— Zawsze. ^ - '

/

.Paul wychylił się przed siebie, dotknął ramienia Kynesa.

— Jak duże terytorium obstawia czerw? , ' .
Kynes zmierzył go kosym spojrzeniem. Ten dzieciak nie przestaje zadawać dorosłych pytań. -

— To zależy od rozmiarów czerwia.

— Jaki jest rząd wielkości? — zapytał książę.

— Duże mogą zajmować trzysta i czterysta kilometrów kwadratowych. Małe...
Przerwał, gdyż książę nadepnął na hamulce strumieniowe. Statkiem szarpnęło, . silniki w ogonie zaszeptały i ucichły. Szczątkowe skrzydła wydłużyły się, zagarnęły

powietrze. Statek zamienił się w pełny ornitopter, kiedy książę przechylał go w zakręt, l • utrzymując skrzydła w łagodnym łopocie i wskazując lewą ręką w dal na wschód poza gąsienikbwy kombajn.

— Czy to jest znak czerwia?

Kynes przechyli) się przez księcia, by spojrzeć. Paul i Halleck skupili się razem wyglądając w tym samym kierunku i Pauł zauważył, jak ich eskorta zaskoczona nagłym manewrem pomknęła naprzód i teraz zawraca. Gąsienikowy kombajn znajdował się w prostej linii przed nimi, w odległości jeszcze około trzech kilometrów. Tam gdzie wskazał książę, dukty sierpowatych wydm ścieliły się cieniowanymi zmarszczkami po horyzont, a przecinając je prostą, nadbiegającą z dali linią, sunął podłużny, ruchomy pagórek — fala piasku. Paulowi przypominało to lustro wody, które zakłóca płynąca tuż pod jej powierzchnią wielka ryba.

— Czerw — powiedział Kynes. — Duży.

Cofnął się w fotelu, chwycił z tablicy rozdzielczej mikrofon, przerzucił selektor na inną częstotliwość. Wpatrując się w siatkę współrzędnych na wałkach pod sufitem kabiny, powiedział do mikrofonu:

— Wzywam gąsienik dziewiątkę Delta Ajax. Ostrzegawczy znak czerwia. Gąsienik dziewiątka Delta Ajax. Ostrzegawczy znak czerwia. Proszę potwierdzić.
Czekał. Z głośnika dobiegały trzaski, po czym głos:

— Kto wzywa dziewiątkę Delta Ajax? Odbiór.

— Nie wygląda, żeby się tym specjalnie przejęli — zauważył Halleck. Kynes odezwał się do mikrofonu:

— Nie rejestrowany lot około "trzech kilometrów na północny wschód od was. Znak czerwia na przechwytującym kursie, namiar wasza pozycja, przypuszczalny kontakt dwadzieścia pięć minut.

Inny głos zaburczał w głośniku: • '

— Tu szperacz dozorowiec. Potwierdzam namiar. Zostańcie na nasłuchu do zliczenia kontaktu.

Zapadła cisza, po czym: (

107

— Kontakt za dwadzieścia sześć minut zero zero. Kto jest w tym nie rejestrowanym locie? Odbiór.

Zerwawszy z siebie pasy, Halleck rzucił się do przodu między Kynesa i księcia.

— Czy to normalna częstotliwość robocza, Kynes?

— Tak. A bo co?

— Kto jest na nasłuchu? ^

— Tylko załogi pracujące w tym rejonie. To zmniejsza interferencję.
Głośnik zatrzes/czał i ponownie usłyszeli:

— Tu dziewiątka Delta Ajax. Kto bierze premię za ten znak? Odbiór.
Halleck zerknął na księcia.

—Przyznaje się premię zależną od urobku przyprawy dla tego, kto pierwszy ostrzeże przed czerwiem — powiedział Kynes. — Oni chcą wiedzieć...

— Powiedz im, kto pierwszy dostrzegł tego czerwia — rzekł Halleck. Książę kiwnął gtowq. Kynes chwilę bił się z myślami, po czym podniósł mikrofon:

— Premia szperacza dla księcia Lcto Atrydy. Książę Leto Atryda. Odbiór.

Głos w głośniku był bezbarwny i częściowo zniekształcony zakłóceniami atmosferycznymi.

— Zrozumieliśmy i dziękujemy. • .

— A teraz powiedz im, by podzielili premię między siebie — rozkazał Halleck. — Powiedz im, że takie jest życzenie księcia.
Kynes wziął głęboki oddech.

— Książę życzy sobie, żeby premię rozdzielić wśród załogi. Słyszycie mnie? Odbiór.

— Słyszymy i dziękujemy — powiedział głośnik.

— Zapomniałem nadmienić — wtrącił książę — że Gurney to również wielki talent jako rzecznik prasowy.

Kynes łypnął zaintrygowanym okiem na Hallecka.

— W ten sposób ludzie zobaczą, że książę troszczy się o ich bezpieczeństwo — rzekł Halleck. — Wieść się rozniesie. To było na roboczej częstotliwości obszaru; niepodobna, by odbierali ją agenci Harkonnenów. — Zerknął przez okno na powietrzną osłonę. — I jesteśmy w niemałej sile. Warto było zaryzykować.

Książę wprowadził statek w zakręt kierując go na tuman piasku buchającego z gąsienikowego kombajnu.

— Co teraz będzie?

— Gdzieś w pobliżu znajduje się zgarniarka — powiedział Kynes — Nadleci i zabierze gąsienik. ' /

— A jeśli zgarniarka się rozbije? — spytał Halleck. '

— Będzie o jedną maszynę mniej — odparł Kynes. — Zejdź nisko nad gąsienik, mój panie, to cię zainteresuje.

Książę popatrzył spode łba i zajął się sterami, ponieważ weszli w turbulencję powietrza nad gąsicnikiem. Pauł spojrzał w dół i zobaczył rzygające nadal piaskiem metalowo-plastikowe monstrum pod nimi. Wyglądało jak ogromny brązowo-niebieski żuk z mnóstwem szerokich gąsienic na rozpostartych wokoło ramionach. Na przedzie dostrzegł odwrócony lejek gigantycznego r,yja wetknięty w ciemny piasek.

— Bogate zło/e przyprawy, sądząc po barwie —. powiedział Kynes. — Nie przerwą pracy aż do ostatniej chwili.

Książę da) więcej 'mocy na skrzydła, usztywnił je, by stromiej opadały podczas schodzenia w kołującym ślizgu nad gąsienik. Rzut oka w lewo i w prawo upewnił go, /e osłona pozostała n;i .tym samym pułapie krążąc nad jego głową. Pani przypatrzył się dokładnie żółtemu obłokowi buchającemu z wylotów dmuchaw gąsienika i wzrokiem odszukał w pustyni nadciągający znak czerwia.

— C/y nic powinniśmy s!\s:/rc \v v 7. warna zgarniarki? — zapytał Halleck.
• — Zwykle mają skrzydło na innej c/ęstolliwości — powiedział Kynes.

— Czy na wszelki wypadek nie powinni mieć dwóch zgarniarek na każdy gąsienik? — nie wytrzyma^książę. — Na tej maszynie w dole będzie pewnie dwudziestu sześciu lud/i. nic mówiąc już o cenie urządzenia.

Kynes powiedział:

— Nie macic tyle ded...

Nic dokończył, gdy'•' ' wybnchnąt rozeźlonym głosem:

— Nikt nie wid/.i '.i '••lic /.ghis/;i się.

Głośnik wypełniły . ••i: trz;i-,ki, które zagłuszył nagle sygnał przeciążenia:

polem ciszu i znowu len : .

— - Meldować IHIITK bińr.

— Tu szperacz diiyi .^ Ostami raz widziałem skrzydło dość wysoko, krążyło oddalając się na północ] . chód. Nic widzę go teraz; Odbiór.

— Szperacz, pierwszy: wynik negatywny. Odbiór.

— Szperacz drugi: wynik negatywny. Odbiór.

— Szperacz trzeci: wynik negatywny. Odbiór.
Cisza. .

^Książę spojrzał w, dół. Cirń jego własnego,statku przesuwał się właśnie nad gą-
sienikiem. •

—L Tylko cztery szpcrac/e, zgadza się?

— Zgadza — polwicid/il Kynes.

— Pięć w naszej eskadra;— powiedział ksiĄŻę.— Nasze statki są większe. Mo-
żemy upchać dodatkowo trójki; do każdego. Każdy z ich szperaczy powinien być w sta- •
nie oderwać się od ziemi.z dwójką. , .

Pani wykonał rachunek w pamięci i zauważył:

— Zostaje trzech.

— Dlaczego nie mają po dwie zgarniarki na każdy gąsienik? — warknął książę.

— Nic macie tyle,dodatkowego sprzętu — powiedział Kynes. - . •

— Tym hardziej powinniśmy chronić len, który posiadamy!

—Gdzie mogła sic yyć zg;i miarka? — spytał Halleck. , '• *

— Mogła gdzieś pi; • wylądować poza zasięgiem wzroku — odparł Kynes.

—Książę złapał mikro iliał się z kciukiem zwieszonym nad przyciskiem.

—. Jak oni mogli si /,u zgarniarkę? , ,

—Całą uwagę sku; iemi. wypatrując znaku czerwia — powiedział Kynes.
Książę wgniółł kciu ,'cisk, powiedział do mikrofonu:

— Mówi was/ k:-.;; ilzimy do lądowania, by zabrać załogę dziewiątki

Delta Ajax. Rozkazuję to samo szperaczom. Szperacze siadają po wschodniej stronie.
My zajmiemy zachodnią. Odbiór, i

Sięgnął do tablicy rozdzielczej, wcisnął własną częstotliwość dowodzenia i po-
« wtórzywszy rozkaz swej osłonie powietrznej oddał mikrofon Kynesowi. Kynes wrócił
na częstotliwość roboczą i z głośnika bluznęło:

— ...prawie pełną ładownię przyprawy! Mamy prawie pełną ładownię! Nie mo-
żemy tego zostawić dla jakiegoś cholernego czerwia! Odbiór.

— Do cholery z przyprawą! — warknął książę. Wyrwał z powrotem mikrofon
i powiedział:

— Przyprawy nam nie zabraknie. Dla trzech spośród was nie starczy miejsc w na-
szych statkach. Ciągnijcie losy albo jakoś inaczej ustalcie, kto Bia lecieć. Ale lecicie,
i to jest rozkaz!

Ponownie wbił Kynesowi w dłonie mikrofon i wymamrotał „przepraszam", gdy
Kynes zamachał stłuczonym palcem.

— Ile czasu? — spytał Paul.

— Dziewięć minut — powiedział Kynes.

— Ten statek ma większą moc od reszty ^- rzekł książę. — Jeśli wystartujemy na silniku przy trzech czwartych skrzydeł, możemy wcisnąć dodatkowego człowieka.

— Piasek jest grząski — powiedział Kynes.

— Z czterema dodatkowymi ludźmi na pokładzie moglibyśmy przy starcie silnikiem połamać skrzydła, Sire — rzekł Halleck.

— Nie na tym statku — rzucił książę. Pociągnął stery na. siebie siadając ślizgowym lotem obok gąsienika. Skrzydła przechyliły się, wyhamowały ornitopter, który zafył się płozami nie dalej niż dwadzieścia metrów od kombajnu. Gąsienik był teraz cichy, przestał rzygać piaskiem z odpowietrzników. Dobiegał od niego jedy- , nie słaby, mechaniczny pomruk, który stał się bardziej uchwytny dla ucha, kiedy książę otworzył drzwi po swojej stronie. Uderzył ich natychmiast w nozdrza zapach cynamonu — ciężki, gryzący. Z głośnym łopotem szperacz osiadł ślizgiem na piasku z drugiej strony gąsienika. Eskorta pikowała, by lądować w jednej linii z księciem. Wyglądając na kombajn Paul ujrzał, jak zmalały przy nim wszystkie ornitoptery — komary przy drapieżnym żuku. .

— Gurney. wyrzućcie z Paulem tamto tylne siedzenie — polecił książę. Własnoręcznie skręcił korbą skrzydła do trzech czwartych, ustawił ich kąt, sprawdził stery silników gondoli.

— Dlaczego, u diabła, nie wyłażą z tej nrószyny?

— Liczą, że pokaże się zgarniarka — powiedział Kynes.. — Mają jeszcze parę minul.

Uciekł spojrzeniem na wschód. Wszyscy obejrzeli się w tym samym kierunku, ale nie wypatrzyli żadnego znaku czerwia, tylko w powietrzu czuło się ciężar pełnego

napięcia niepokoju. Książę wziął mikrofon, włączył częstotliwość dowodzenia i powiedział:

— Dwóch z was wyrzuci generatory tarcz; Po kolei. W ten sposób zabierzecie jeszcze po jednym człowieku. Nie zostawimy nikogo temu potworowi. — Przerzucił się z powrotem na częstotliwość roboczą i warknął: — No dobra, wy w dziewiątce Delta

Ajax! Wyłazić! Już! To rozkaz waszego księcia! W podskokach, bo wezmę rusznicę laserową i potnę ten.gąsienik na kawałki!

Na przedzie kombajnu odskoczyła pokrywa luku, z tyłu druga, jeszcze jedna na szczycie. Ludzie wysypali się zjeżdżając i staczając się w dół na piasek. Ostatni wyłonił się wysoki mężczyzna w połatanym płaszczu roboczym. Zeskoczył na gąsienicę, potem na ziemię.

Książę odwiesił mikrofon na tablicę i wychyliwszy się na płat-skrzydła zawołał:

— Po dwóch ludzi do każdego z waszych szperaczy!
' Mężczyzna w połatanym płaszczu zaczął dzielić swoją załogę na dwójki, popychając je w kierunku czekających po drugiej stronie statków.

— Czterech tutaj! — krzyknął książę. — Czterech do statku za mną! — wskazał palcem na ornitopter eskorty zaraz za swoim. Gwardziści wyrywali właśnie z nie-' go generator tarczowy.

— I czterech do tamtego statku dalej. — Wskazał na drugi eskortowiec pozba wiony już generatora. -^ Po trzech do każdego z pozostałych. Biegiem, szczury pias kowe! •

Wysoki mężczyzna dokończywszy podziału swej załogi brnął przez piasek, prowadząc trzech towarzyszy.

— Słyszę czerwia, ale go nie widzę — powiedział Kynes. Nagle usłyszeli to wszyscy pozostali — ślizgowy pochrzęst. daleki, lecz coraz bliższy. .

— Partacka robota — mruknął książę. Wokoło siatki zaczęły podrywać się z piasku. Przypominało to księciu obrazek z dżungli na jego rodzimej planecie; nagle wyjście na porębę i ścierwniki zrywające się w niebo od padliny bawołu. Przyprawiarze dobrnęli do burty ornitoptera i zaczęli włazić do środka za plecami księcia. Halleck pomagał wciągając ich do tyłu.

— Włazimy, chłopaki! — rzucił.— Raz, dwa!

Wciśnięty przez zapoconych mężczyzn w kąt Paul wdychał lepką woń strachu;

zobaczył, że dwaj z nich mieli-marnie spasówane przy szyjach filtrfraki. Zatrzymał informację w pamięci, by zapobiec temu na przyszłość. Ojciec będzie musiał zarządzić ostrzejsze rygory w związku z. filtrfrakami. Ludzie nabierają skłonności do fuszerki, jeśli się nie pilnuje takich spraw.

Ostatni człowiek" wpadł na tył zdyszany, wołając:

— Czerw! Jest tuż, tuż! Odpalajcie! „

Książę usadowił się w fotelu i powiedział nachmurzony:

— Mamy jeszcze prawie trzy minuty według pierwotnego zliczenia' kontaktu. Zgadza się, Kynes? — Zatrzasnął i sprawdził drzwi. .

— Prawie co do joty, mój panie — powiedział Kynes i pomyślał: Opanował y typ, ten książę.

— Tutaj wszystko w porządku, Sire — zameldował Halleck. Książę kiwnął głową, prześledził start swego ostatniego eskortowca. Ustawił zapłon, jeszcze raz zerknął na skrzydła i przyrządy, wcisnął kolejność zapłonu. Start wgniótł księcia i Kynesa głęboko w fotele, sprasował ludzi w ogonie. Kynes obserwował, w jaki sposób książę operuje sterami — delikatnie, pewn.e. Ornitopter oderwał się już zupełnie od ziemi, książę studiował przyrządy, obejrzał się w jedną i drugą stronę na skrzydła.

— Jest bardzo ciężki, Sire — powiedział Halleck. .

— W granicach tolerancji dla tego statku — odparł książę.— Chybaflie myślałeś poważnie. że naraziłbym na szwank jego ładunek, co, Gurney?

— Ani przez, chwilę, Sire.

Książę przechylił statek w długim, łagodnym wirażu wzbijając się nad gąsienikiem. Wgnieciony w kąt pod oknem Pauł wlepiał oczy w ucichła maszynę na piasku. Znak czerwia urwał się jakieś czterysta metrów od gąsienika. Piasek wokół kombajnu zafalował.

— Czerw znajduje się teraz pod gąsienikiem — powiedział Kyncs. — Za chwilę będziecie świadkami czegoś; co niewielu oglądało.

Drobiny pyłu zaćmiły piach przy gąsienik-u. Wielka machina zaczęła chylić się na prawą stronę. Tam z. jej prawej strony formował się gigantyczny lej wirującego pias-

ku. Wirował coraz .szybciej i szybciej. Teraz piach i pyl wypełniały powietrze w pronieniu setek metrów, l wtedy go zobaczyli!

Z piasku wynurzył się przepastny otwór. Światło słoneczne zamigotało na połyskliwych, białych ostrokołuch w jego głębi. Pauł ocenił, że średnica otworu przynajmniej dwukrotnie przekracza długość gąsienika. Patrzył, jak maszyna osuwa się do rozwarcia w kipieli piasku i pyłu. Otwór wycofał się.

— Bogowie, co za potwór! — wyszeptał mężczyzna obok Paula.

— Zagarnął całą' naszą cholerną przyprawę! — warknął inny.

— Ktoś za to zapłaci — powiedział książę. — Obiecuję wam.
Po determinacji w głosie ojca Pauł odgadł jego głęboki gniew. Odnalazł go też ^•i w sobie. To było karygodne niedbalstwo! W ciszy, jaka zapadła, dosłyszeli głos Kynesa:

— Niech będzie błogosławiony Stworzyciel i Jego woda — wyszeptał Kynes. •— Błogosławione Jego przybycie i odejściel Niechaj Jego droga oczyści świat. Njech zachowa On świat dla Swych ludzi.

— Co tam mruczysz? — spytał książę. Ale Kynes zachował milczenie. Pauł rozejrzał się po stłoczonych wokół siebie ludziach. Patrzyli.z lękiem na tył głowy Kynesa. Jeden wyszeptał:

— Lici. \ ' —•

Kynrs obejrzał się rzucając groźne spojrzenia. Mężczyzna schował się, skonsternowany. Ktoś'z uratowanych ludzi począł kasłać — sucho, rozdzierająco. Po chwili wykrztusił:

— Niech piekło pochłonie tę diabelną dziurę!

Wysoki diunida. który ostatni opuścił gąsienik. powiedział:

— Nic gadaj tyle, Coss. To źle robi na kaszel.

Poruszył się wśród mężczyzn, aż wypatrzył pomiędzy nimi tył głowy księcia Leto.

— Ręczę, żeś książę Leto. Tobie to składamy dzięki za życic. Byliśmy o krok od śmierci, zanim się zjawiłeś.

— Siedź cicho, człowieku, i daj księciu prowadzić statek — mruknął Halleck.
Pani zerknął na niego. On sam również widział zmarszczki na szczęce ojca. Kiedy książę był wściekły, należało chodzić na palcach. Leto zaczął wyprowadzać przechylony ornitopter z szerokiego wirażu, wstrzymał się widząc, że znowu coś się rusza

na piasku. Czerw wycofał się w głębiny, a teraz w pobliżu dawnego miejsca gąsienika widoczne byty dwie sylwetki uchodzące od leja w piachu na północ. Wydawało się, że ślizgają się one po powierzchni, ledwie wzbijając pył za sobą.

— Co to za jedni tam w dole? — warknął książę.

— Dwaj faceci, którzy zabrali się na przejażdżkę, seer — odparł diunida.

— Dlaczego nie wspomniano o nich ani słowem?

— Zrobili to na własne ryzyko, seer.

— Mój panie — powiedział Kynes — ci ludzie wiedzą, jak niewiele można zrobić dla ofiar pustyni w krainie czerwia.

— Wyślemy po nich statek z bazy — uciął książę.

— Jak sobie życzysz, mój panie — rzekł Kynes. — Ale kiedy statek tułaj dotrze, prawdopodobnie nie będzie kogo ratować.

— Wyślemy statek tak ć/y owak — odparł książę.

—— Byli prawie dokładnie lam, gdzie wyszedł czerw — powiedział PauL — Jak oni uciekli?

— Ściany krateru osuwają się i stąd złudna ocena odległości — powiedział Kynes.

— Marnujemy tu paliwo, Sire — ośmielił się zauważyć Halleck.

— Nic da się ukryć, Gurney. /

Książę zawrócił statek w kierunku Muru Zaporowego. Jego eskorta zcsyła z krążenia pozycyjnego zajmując stanowiska nad nimi i na skrzydłach. Pani rozmyślał nad tym, co powiedzieli diunida i Kynes. Wyczuwał półprawdy, zwyczajne kłamstwa. Tamci ludzie na piasku ślizgali się po nim z taką pewnością, posuwali się w wyraźnie przemyślany" sposób, aby unikną-ć ponownego wywabienia czerwia z jego czeluści. Frerrieni — pomyślał Pauł. — Któż inny czułby się tak pewnie na powierzchni piasku? Kogóż. innego można było spokojnie pozostawić samemu sobie — bo nic mu nie groziło? Oni potrafią tu żyć! Umieją przechytrzyć czerwia!

— Co robili Fremeni n;i tym gąsieniku? — zapytał Pauł.
Kynes odwinął się do tyłu. Wysoki diunida wbił w Paula szeroko otwarte oczy —. błękit wśród błękitu w błękicie.

— Co to za chłopak? — zapytał.

Halleck przesunął się stając między nim a Paulem.

— To Pauł Atryda, książęcy dziedzic.

— Czemu plecie, że na naszej landarze byli Fremeni?

— Tak wyglądali — powiedział Pauł. '
Kynes prychnął.

— Fremenów nic poznaje się po wyglądzie! ^

Zmierzył diunidę wzrokiem. •

—• Ty, co to byli za ludzie?

—Kumple jednego z naszych — powiedział diunida. — Zwyczajni kumple z. wioski, chcieli zobaczyć piaski przyprawne.
Kynes odwrócił głowę.

— Fremeni! — Ale wspomniał słowa wyroczni: „Lisan al-Gaib przejrzy wszelkie wybiegi".

— Oni są już martwi pewnikiem, młody paniczu — powiedział diunida. —Nie powinniśmy się źle o nich wyrażać. —

Jednak Pani słyszał fałsz w ich głosach, czuł groźbę, która sprawiła, że Halleck

instynktownie przyjął obronną pozycję. Powiedział oschle:

— Wybrali sobie straszliwe miejsce na śmierć. ' , . ,
Nie odwracając się Kynes rzekł:

— Kiedy Bóg wyznacza jakiejś istocie miejsce śmierci,.sprawia On, by potrzeby ją w owe miejsce przywiodły. '

Leto obrócił twarde spojrzenie na Kynesa. A Kynes odwzajemniając to spojrzenie poczuł się zakłopotany tym, czego tutaj był świadkiem. Tego księcia bardziej obchodzili ludzie niż przyprawa. Zaryzykował życiem własnym i życiem własnego syna dla ratowania ludzi. Machnął ręką na stratę gąsienika: Zagrożenie życia ludzi wprawiło go we wściekłość. Takiemu przywódcy jest się wiernym na śmierć. Trudno go pobić.

Wbrew własnej woli i wszystkim poprzednim osądom Kynes przyznał się przed sobą: Podoba mi się ten książę.

Wielkość to chwilowe przeżycie. Nigdy nie bywa racjonalna. Poniekąd zależy od mitotwórczcj wyobraźni rodzaju ludzkiego. Człowiek przeżywający wielkość musi czuć mit, w którym .. istnieje. Musi. odbijać to, co nań pada. l musi umieć śmiać się z siebie. Tylko tak wyzwoli się od wiary we własne aspiracje. Śmiech jest wszystkim, co pozwala mu poruszać się wewnątrz siebie. Bez śmiechu nawet chwilowa wielkość zniszczy człowieka. -

? .„Mv^Ji /obranych Muad'Diha" w opracowaniu l<"i?7nic7ki Irulał)

W saji jadalnej wielkiego pałacu Arrakin zapalono dryfowe, lampy na wypadek wczesnych ciemności. Rzucały żółte łuny ku górze na czarny łeb byka i jego zakrwawione rogi, i na mrocznie połyskujący portret olejny Starego Księcia. Pod owymi talizmanami jifśnialo białe płótno pośród refleksów wypolerowanych atrydzkich sreber rozstawionych v.' pedantycznym szyku na ogromnym stole — małe archipelagi na- . kryć czekających przy kryształowych szklanicach, wszystko rozmieszczone w kwadraty przed ciężkimi, drewnianymi krzesłami. Klasyczny centralny kandelabr pozostał nie zapalony, a jego splatające się w górze z cieniami łańcuchy chowały mechanizm wykrywacza trucizny.

Zatrzymując się w drzwiach; by sprawdzić stan przygotowań, książę myślał o wykrywaczu Iruci/ny i znaczeniu tego urządzenia w jego sferach. Wszystko podciągnięte pod szablon. Można nas przykroić według języka —• precyzyjnych i subtelnych określeń na perfidne sposoby zadawania śmierci. Czy dziś wieczorem ktoś spróbuje chaumurky — trucizny w napoju? Czy raczej będzie to chaumas — trucizna w jedzeniu? — Potrząsną! głową. . , .

Przy każdym talerzu na długim stole znajdowała się karafka z wodą. Wody na stole wystarczyłoby, jak oszacował książę, do utl^ymania przybyciu biednej arrakińskiej rodziny przez ponad rok. Po obu stronach drzwi, w których się zatrzymał, stały szerokie umywalniane misy z bogato zdobionej, żółtej i zielonej glazury. Do każdej misy był osobny wieszak z ręcznikami. Jest tu taki zwyczaj — wyjaśniła ochmistrzyni —

że wchodzący goście ceremonialnie zanurzają dłonie w misie, wychlapują parę filiżanek wody na podłogę, wycierają dłonie w ręcznik, a ręczniki rzucają w rosnącą pod drzwiami kałużę. Po przyjęciu u bramy zbierają się żebracy, którym dawano wyciśniętą z ręczników wodę. ' . .

Jakże typowe dla lenna Harkonnenów — pomyślał książę. — Wszelkie możliwe do wymyślenia upodlenia ducha. — Odetchnął głęboko czując. Jak zalewa go wściekłość-.

—— Od dzisiaj koniec z tym zwyczajem! .— mruknął.

Po drugiej stronie dostrzegł kobietę ze służby — jedną z owych {"loleconych przez

ochmistrzynię łykowatych bab — pałętającą się przy drzwiach od kuchni. Przywołał ją gestem ręki. Spiesząc do niego wokół stołu wysunęła się z cieni i zobaczył twarz jak skórzaną podeszew, oczy błękitne w błękicie.

— Mój pan sobie życzy?
Głowę pochyliła, spuściła oczy.
Machnął ręką.

— Usunąć te misy i ręczniki.

— Ależ...Szlachetnie Urodzony... — Podniosła spojrzenie, usta były rozdziawione.

— Wiem o zwyczaju! — warknął. — Zabierz te misy do wejścia. Kiedy będziemy jedli i dopóki nie skończymy, każdy żebrak, który się zgłosi, ma dostać pełen kubek wody. Jasne? .

Grymas jej wysuszonej twarzy wyrażał wzburzenie...konsternację, złość...W przebłysku intuicji Leto zdał sobie sprawę, że musiała nosić się z zamiarem sprzedaży wyżymków wody z podeptanych ręczników, żeby wycisnąć parę groszy z przybyłych pod drzwi nędzarzy. Możliwe, że to również był zwyczaj. Nachmurzył się i burknął:

— Stawiam gwardzistę, by przypilnował, żeby moje rozkazy zostały wykonane co do joty.

Zakręcił się na pięcie i wielkimi krokami zawrócił w korytarz do Wielkiej Saji. Wspomnienia nękały jego pamięć jak mamrotanie bezzębnych staruch. Przypomniały mu się otwarte wody i fale — dni trawy miast piasku — oszołamiające wiosny, które przemknęły obok niego jak niesione huraganem liście. Wszystko przeminęło. Starzeję się — pomyślał. — Poczułem zimną dłoń swojej śmiertelności. I to w czym? W chciwości starej kobiety. • • •

W Wielkiej Sali lady Jessika stanowiła ośrodek mieszanego towarzystwa zebranego przy kominku. Żywe płomienie trzaskały rzucając migotliwe, pomarańczowe błyski na klejnoty i koronki, na bogate tkaniny. W grupie rozpoznał producenta filtrfraków aż z Kartagin, importera sprzętu elektronicznego i spedytora wody, który miał letnią rezydencję w pobliżu swej wytwórni na czapie polarnej, przedstawiciela Banku Gildii (szczupły typ, trzymający się nieco na uboczu), hurtownika części zamiennych dla urządzeń do eksploatacji przyprawy, chudą i zimną kobietę, której usługi przewodniczki dla gości spoza planety służyły reekomo za przykrywkę różnorodnej działalności przemytniczej, szpiegowskiej i szantażu. Większość obecnych na sali kobiet sprawiała wrażenie odlanych według określonego modelu — strojne, w każdym calu szykowne, z dziwną domieszką nieuchwytnej zmysłowości. Jessika nawet gdyby nie była gospodynią, przyćmiłaby to całe towarzystwo — pomyślał. Nie nosiła żądnej bi-

/utLi-n i /decydowała się na ciepłe kolory — długą suknię w odcieniu niemal ognia i ciemnobrązowa wstążkę w miedzianych włosach. Zrozumiał, że było to delikatne wyzwanie pod icgo adresem, w-yr/ul z powodu jego oziębłego ostatnio zachowania. Wied/iał;i doskonale, .że w tych kolorach podoba mu się najbardziej — że jawi mu się szelestem ciepłych barw. W pobliżu, bardziej oskrzydlając grupę, niż wchodząc w jej .skład, .sta) Duncan Idaho w lśniącym paradnym mundurze, bez wyrazu na nieodgadiir'11^] ',w,\i/y. ze starannie zaczesanymi, czarnymi lokami. Został odwołany od Fretiiciiów i "nzyinał rozkazy od Hawata: „Pod pretekstem ochrony lady Jessiki będziesz ją miał stale na oku".

Książę rozejrzał się po sali. W rogu otaczał Paula nadskakujący mu tłumek złotej młodzieży Arrakin i trzymający się nieco na uboczu trzej oficerowie gwardii pałacowej. Uwagę księcia szczególnie przyciągnęły młode panny. Jaką wspaniałą partię stanowiłby książęcy dziedzic. Lecz Pauł traktował je wszystkie równo, z arystokratyczną

rezerwą. Dobrze będzie nosił tytuł — pomyślał książę i uświadomił sobie z uczuciem nagłego chłodu, że jest to jego kolejna myśl o śmierci. •

Pauł zobaczył ojca w drzwiach, umknął oczami przed jego spojrzeniem. Obejrzał sobie zbitych w gromadki gości, upierścienione palce ściskające drinki (i dyskretne próby dokonywane za pomocą miniaturowych zdalnie sondujących wykrywaczy). Patrząc na twar/e tych paplających ludzi Pauł poczuł do nich gwałtowną odrazę. Tanie maskj nałożone na gnijące myśli — bełkot głosów dla zagłuszenia ciszy krzyczącej w każdej piersi. Jestem w zgorzkniałym nastroju — pomyślał i zastanowił się, co by na to powiedział Gurney. Znał przyczyny swego nastroju. Nie chciał występować w obecnej roli, lecz ojciec był stanowczy.

— Masz pozycję, masz stanowisko. Dorosłeś już do tego. Jesteś prawie mężczyzną. Pani zauważył, że ojciec opuszcza drzwi, rozgląda się. po sali, a następnie podchodzi do towarzystwa otaczającego Jessikę.

Leto nadszedł, kiedy spedytor wody zapytywał:

— Czysto prawda, że książę ma zamiar wprowadzić nadzór pogody?
Książę odezwał się zza jego pleców:

— Nie wybiegaliśmy myślą aż. tak daleko, sir.
Mężczyzna odwrócił się odsłaniając dobroduszne, krągłe oblicze, ciemne od opa-Irm/ny.

— Aach, książę — powiedział. — Brakowało nam was.
Leto spojrzał na Jessikę.

— Musiałem załatwić pewną sprawę.

Zwracając się ponownie do spedytora wyjaśnił, co zarządził z umywalnianymi
•i mi, dodając:

— Co.do mnie, koniec ze starym zwyczajem.

— Czy to książęcy rozkaz, panie? — spytał mężczyzna.

— Pozostawiam to waszemu własnemu...hm...sumieniu — odparł książę. Obej-się, zobaczył idącego w stronę towarzystwa Kynesa. Któraś z kobiet powiedziała:

— Moim zdaniem, to gest świadczący o hojności, rozdawanie wody tym...

Ktoś ją uciszył. Książę patrzył na Kynesa — zauważył, że planetolog założył staro-

ly, ciemnobrązowy mundur z epoletami imperialnego urzędnika państwowego

i z drobną łezką ze złota na kołnierzu, dystynkcją szarży. Spedytor wody zapytał ro-zeźlony:

— Czy książę posuwa się do krytyki naszych zwyczajów?

— Ten zwyczaj został zmieniony — powiedział Leto. Skinął głową Kynesowi,. dostrzegł chmur? na czole Jessiki i pomyślał: Nie pasuje do niej chmurna mina, ale podsyci plotki o nieporozumieniach między nami.

— Za pozwoleniem księcia — powiedział spedytor wody — chciałbym zasięgnąć dodatkowych informacji o zwyczajach.

Leto posłyszał z nagła przymilny ton w głosie mężczyzny, zauważył wyczekującą ciszę w towarzystwie, głowy, które zaczęły odwracać się w ich stronę. ,

—' Czy to już nie czas na obiad? — spytała Jessika.

— Lecz nasz gość ma jakieś pytania.— powiedział Leto. I utkwił wzrok w spedytorze wody przyglądając się okrągłemu obliczu mężczyzny, jego wielkim oczom i grubym wargom. Przypomniało mu się memorandum Hawata: „...i człowiekiem, na którego trzeba uważać, jest ten ich spedytor wody — Lingar Bewt, zapamiętaj to imię. Harkonnenowie wykorzystywali go, ale nigdy nie mieli nad nim całkowitej władzy".

— Wodne zwyczaje są tak interesujące... — powiedział Bewt i na jego ustach pojawił się uśmiech. — Mnie ciekawi, co zamierzacie zrobić z dobudowaną do tego pałacu oranżerią. Czy nadal będziecie kłuć nią ludzi w oczy, panie?

Leto wstrzymywał gniew wpatrując się w mężczyznę. Bił się z myślami. Rzucenie księciu rękawicy w jego własnej siedzibie wymagało odwagi, szczególnie teraz, gdy mieli podpis Bewta na wasalnej umowie. Wymagało również świadomości własnej siły. Woda była tu istotnie źródłem siły. Gdyby na przykład instalacje wodne były zaminowane, gotowe do wysadzenia na dany znak... Ten człowiek wydawał się zdolny do takiej rzeczy. Zniszczenie instalacji wodnych zniszczyłoby również Arrakis. To mógł. być ów miecz Damoklesa, który Bewt trzymał i nad głowami Harkonnenów.

— Pan mój, książę, i ja mamy inne zamierzenia co do tej oranżerii — powiedziała Jessika. Uśmiechnęła się do Leto. — Zamierzamy ją zachować, oczywiście, ale wyłącznie w powiernictwie i dla ludności Arrakis. Marzy nam się, że nadejdzie dzień, kiedy uda się zmienić na tyle tutejszy klimat, że takie rośliny będą rosły w gruncie w dowolnym miejscu.

Mojaś ty błogosławiona — pomyślał Leto. — Ciekawe, jak to strawi nasz spedytor wody.

— Twoje zainteresowanie wodą i nadzorem pogody jest zrozumiałe — powiedział książę. — Ale radziłbym ci zróżnicować posiadane akcje. Pewnego dnia woda przestanie być tak cennym towarem na Arrakis.

I pomyślał: Hawat musi zdwoić wysiłki, by przeniknąć do organizacji tego Bewta. l natychmiast trzeba się zająć awaryjnymi urządzeniami wodnymi. Żaden miecz Damoklesa nie będzie wisiał, nade mną.

Bewt kiwnął głową, nadal z uśmiechem na ustach.

— Chwalebne marzenie, mój panie.

Odstąpił na krok. Uwagę Leto przykuł wyraz twarzy Kynesa. Człowiek ten nie odrywał oczu od Jessiki. Wydawał się zauroczony —jak zakochany mężczyzna.'..albo człowiek pogrążony w religijnym transie. /

Rozum Kynesa ugiął się wreszcie pod-słowami przepowiedni: „I będą dzielić z wami najgorętsze wasze marzenie". Zwrócił się wprost do Jessiki:

— Czy przynosisz skrócenie drogi?

— Ach, doktor Kynes — powiedział spedytor wody. — Przerwał pan włóczęgę ze swymi bandami Fremenów. Jakże łaskawie z pańskiej strony. '
Kynes objął Bewta nieodgadnionym spojrzeniem, powiedział:

— Mawiają na pustyni, że posiadanie wielkiej ilości wody może porazić człowieka fatalną lekkomyślnością.

— Na pustyni mają wiele dziwacznych porzekadeł — stwierdził Bewt, ale jego głos zdradzał niepokój. Jessika podeszła do Leto, wsunęła mu rękę pod ramię, by zy-

skać na czasie i ochłonąć. Kynes powiedział: „...skrócenie drogi". W dawnej mowie wyrażenie tłumaczyło się na „Kwisatz Haderach". Dziwne pytanie planetologa przeszło jakby nie zauważone przez pozostałych i teraz Kynes nachylał się ku jednej z dam do towarzystwa, słuchając kokieteryjnego szeptania. Kwisatz Haderach — pomyślała Jessika. — Czyżby nasza Missionaria Protectiva zaszczepiła tutaj i tę legendę? Ta myśl podsyciła ukryte nadzieje, jakie wiązała z Paulem. On może być Kwisatz Haderach. On może być.

Przedstawicie] Banku Gildii wdał się w konwersację ze spedytorem wody i'głos Bewta wzniósł się ponad szmer podjętych na nowo rozmów:

— Wielu próbowało zmienić Arrakis.

Książę zobaczył, że słowa te jakby przeszyły Kynesa — wyprostowując go. gwałtownie i odrzucając od flirtującej kobiety. W niespodziewanej ciszy pałacowy gwardzista w liberii lokaja odchrząknął za plecami Leto i powiedział:

— Podano do stołu, mój panie.

Książę skierował pytające spojrzenie na Jessikę.

— Tutejszy zwyczaj nakazuje gospodarzowi i gospodyni podążać do stołu za gośćmi — powiedziała z uśmiechem. — Zmienimy również i ten zwyczaj, mój panie?

— To wygląda na przystojny obyczaj. Zachowamy go na razie — rzekł chłodno. Trzeba podtrzymywać złudzenie, że podejrzewam ją o zdradę — pomyślał. Zerknął na defilujących przed nim gości. Ciekawe, który z was wierzy w to kłamstwo?

Jessika wyczuwając jego rezerwę zastanowiła się nad nią jak już nieraz w minionym tygodniu. Zachowuje się jak człowiek, który walczy sam z sobą — myślała. Czy to dlatego, że postąpiłam pochopnie wydając przyjęcie? Ale przecież on wie, jak ważne jest. żebyśmy stworzyli wspólną płaszczyznę towarzyską dla naszych i miejscowych notabli i innych ludzi. Jesteśmy dla nich wszystkich namiastką ojca i matki. A nic nie umacnia tej świadomości silniej niż takiego rodzaju więź towarzyska.

Obserwując przechodzący dwuszereg gości Leto wspomniał, co Thufir Hawat powiedział na wiadomość o tej imprezie: „Sire! Zabraniam!". Ponury uśmiech przemknął przez usta księcia. Cóż to była za scena. I kiedy książę pozostał nieugiętyw sprawie swojego udziału w obiedzie, Hawat potrząsnął głową. „Mam co do tego złe przeczucia, mój panie" — powiedział. „Na Arrakis sprawy toczą się zbyt szybko. To niepodobne do Harkonnenów. Zupełnie do nich niepodobne".

Pauł minął ojca prowadząc wyższą od siebie o pół głowy pannę. Rzucił mu kwaśne spojrzenie, przytaknął kiwnięciem głowy czemuś, co powiedziała panna.

— Je\ ojciec wyrabia filtrfraki — odezwała się Jessika. — Mówią, że tylko dureń wybrałby się w głąb pustyni mając na grzbiecie któryś z wyrobów tego człowieka.

— Kim jest ten mężczyzna przed Paulem z blizną na twarzy? — spytał książę. — Nie przypominam go sobie.

— Najświeższy dodatek do listy — wyszeptała. — Gurney zorganizował zaproszenie. Przemytnik.

— Gurney zorganizował? f

— Na moje żądanie. Hawat zatwierdził, chociaż wydaje mi się, że patrzył na to nieco krzywym okiem. Przemytnik nazywa się Tuek, Esmar Tuek. To gruba ryba w tym fachu. Znają go tu wszyscy. Bywa na przyjęciach w wielu domach.

— Co on tu robi?

— Każdy z obecnych zada sobie to pytanie — powiedziała. — Tuek zasieje wątpliwości i podejrzenia samą swoją obecnością. Posłuży również za ostrzeżenie, że jesteś gotów w walce z korupcją oprzeć się nawet na przemytnikach. Ten argument trafił zdaje się do Hawata.

— Zdaje się, że nie trafia do mnie.

Skinął głową przechodzącej parze, zobaczył, że przed nimi zostało zaledwie kil-
. koro gości.

— Dlaczego nie zaprosiłaś jakichś Fiemenów?

— Jest Kynes — powiedziała.

— Tak, jest Kynes. Pr/ygotowałaś dla mnie jeszcze jakieś drobne niespodzianki?

Powiódł ją na koniec procesji gości.

. — Cała reszta to już nic nadzwyczajnego — powiedziała. Mój drogi — myślała — czyż me widzisz, że ten przemytnik ma pod sobą szybkie statki, że można go przekupić? Musimy mieć wyjście, drogę ucieczki z Arrakis, gdy wszystko inne nas tutaj zawiedzie. ' ' ,

Kiedy zjawili się w sali jadalnej, uwolniła rękę i pozwoliła Leto zaprowadzić się na miejsce. Książę poszedł w swój koniec stołu. Lokaj podsunął mu krzesło. Wszyscy pozasiadali wśród szelestu tkanin i szurania krzeseł, tylko książę pozostał na nogach. Dał znak ręką i pałacowi gwardziści w liberiach służby cofnąwszy się stanęli na baczność.'W sali zapadła niezręczna cisza. Jessika patrząc przez całą długość stołu spostrzegła lekkie drżenie kącików ust Leto i ciemny rumieniec gniewu na jego policzkach. Co go tak rozzłościło? — zadała sobie pytanie. — Przecież chyba nie zaproszenie przeze mnie tego przemytnika.

— Niektórzy kwestionują zmianę zwyczaju umywalnianych mis — powiedział Leto. — Chciałem w ten sposób pokazać, że wiele rzeczy się zmieni.

Przy stole zaległo kłopotliwe milczenie. Im się wydaje, że jest pijany — przemknęło Jessice przez myśl. Leto uniósł puchar wody, dźwignął go wysoko nad głowę, gdzie dryfowe lampy krzesały z niego refleksy światła.

— Jako Kawaler Imperium — powiedział — wznoszę zatem toast na waszą cześć.

Wszyscy złapali za swoje puchary, wszystkie oczy skupiły się na księciu. Wśród nagłego bezruchu zbłąkany powiew przywiał ze służbowego przejścia do kuchni lampę dryfową. Cienie zatańczyły na krogulczych rysach księcia.

— Jestem tu i tu zostanę! — rzucił krótko książę. Puchary zastygły w pół drogi <lo Ust, wstrzymane, jako ze książę nie opuścił ręki.

— Toast mój jest wyrazem jednej z owych jakże'bliskich naszym sercom maksym: „Pieniądz dźwigni;) postępu! Fortuna wszędzie się toczy!"

'Umoczył usta w wbdzie. Reszta poszła w jego siady. Wymieniano pytające spojrzenia.

— Gurney! — zawołał książę. 4>

Z alkowy w końcu sali za Leto dobiegł głos Hallecka:

— Jestem, mój panie.

—Zagraj akompaniament, Gurney.

Z alkowy poszybowały ku sali minorowe dźwięki balisety. Na przyzwalające skinienie księcia służba zaczęta stawiać na stole półmiski z potrawami: zającem pustynnym pieczonym w sosie cepeda. aplomage sirian, czukka w polewie, kawa z. melanżem (intensywna, cynamonowa woń przyprawy rozeszła się w powietrzu nad stołem), prawdziwe pot-a-oie do musującego wina z Kaladanu. Leto w dalszym ciągu nie siadał. Kiedy goście czekali z uwagą podzieloną między potrawy a stojącego księcia, Leto powiedział:

— W zamierzchłej epoce do obowiązków gospodarza należało zabawianie gości własnymi popisami.-— Knykcie mu zbielały, tak zapamiętale ściskał puchar z wodą. — Ja nie umiem śpiewać, za to, dedykuję wam słowa pieśni Gurneya. Potraktujcie to jako jeszcze jeden toast, toast za tych wszystkich, którzy swą śmiercią opłacili nasze przybycie na Arrakis.

Ze wszystkich stron stołu rozległy się odgłosy nerwowego poruszenia. Jessika spuściła wzrok, zerkając na najbliższych sąsiadów. Przy niej siedział krągłolicy spedytor wody ze swoją kobietą, blady i surowy przedstawiciel Banku Gildii (wyglądał jak strach na wróble ze wzrokiem wbitym w l.eto). Tuek o kanciastej, poznaczonej bliznami twarzy, ze spuszczonymi błękitnymi w błękicie oczami.

— „Stańmy, bracia, wśród poległej braci — zaintonował książę. — Jedno .życie i śmierć jedną mamy. Duchy zawsze pójdą razem z. nami. Stańmy, bracia, wśród poległej braci, czas obłudy odrzućmy za siebie.. Ich.nic straszą już pokusy losu. Stańmy, bracia, wśród poległej braci. A gdy c'z;is nasz się w śmiechu pogrzebie, nie wystraszą nas pokusy losu".

Głos księcia przebrzmiał z tą ostatnią linijką; Leto pociągnął głęboki łyk ze szklanicy i odstawił ją z trzaskiem na stół. Woda prysnęła przez krawędź na obrus, inni wypili w krępującej ciszy. Ponownie książę podniósł szklanicę, lecz tym razem opróżnił ją do reszty na podłogę, wiedząc, że pozostali muszą zrobić to samo. Pierwsza poszła w jego ślady Jessika. Na moment wszyscy skamienieli, nim zaczęto opróżniać puchary. Jessika zauważyła, że siedzący przy ojcu Pani obserwuje reakcje współbiesiadników. Ją samą również zafascynowało to, co ujawniły ich reakcje — szczególnie kobiet. Była to czysta, pitna woda. żadne pomyje z namoczonego ręcznika. Niechęć, by ją tak po prostu wylać, przejawiała się w drżeniu rąk, grze na zwlokę, nerwowych chichotach... także w gwałtownym spełnieniu powinności. Jakaś kobieta upuściła swój puchar i patrząc w drugą stronę czekała, iw go podniesie jej partner. •

Szczególną uwagę Jessiki zwrócił jednak Kynes. Planctolog zawahał się, a następ-' nie przelał wodę do pojemnika pod marynarką. Uśmiechnął się do Jessiki widząc, że go obserwuje, i wzniósł pusty puchar przepijając do niej w niemym toaście. Wydawał się zupełnie nie skrępowany tym, co zrobił. Muzyka Hallecka nadal szybowała przez salę, lecz zeszła z minorowej tonacji, rytmiczna teraz, i żywa, jakby grający starał się poprawić nastrój.

— Rozpocznijmy bankiet — powiedział książę i osunął się na swoje krzesło.
Jest rozdrażniony i bruk mu pewności — pomyślała Jessika. — Strata owego gąsicnikowego kombajnu zraniła go dotkliwiej, niż powinna. W tym musi być coś więcej niż ta strata. Zachowuje się jak desperat. Wzięła widelec licząc; że w tym ruchu rozładuje się jej własna gorycz. Czemuż by nie? Jest zdesperowany.

Na początku powoli, później ze wzrastającym ożywieniem, bankiet rozkręcał się.

Producent liltrfiuków pogratulował Jcssice kuchmistrza i wina.

— Jedno i drugie przywieźliśmy z Kaladanu — powiedziała.

— Wyborne! — powiedział kosztując czukki. — Po prostu wyborne. I zupełnie nie czuje się melanżu. Ta przyprawa we wszystkim staje już człowiekowi w gardle. Przedstawiciel Banku Gildii spojrzał przez stół na Kyncsa.

— Rozumiem, doktorze Kynes. że kolejny kombajn gąsienikowy padł łupem czerwia.

— Wieści rozchodzą się szybko — powiedział książę.

— A więc to prawda? — zapytał bankier przenosząc spojrzenie na Leto.

— Oczywiście, że prawda! — warknął książę. — Ta przeklęta zgarniarka gdzieś się zapodziała. Nic rozumiem, jak to możliwe, żeby zginęło coś tak wielkiego!

— Kiedy nadciągnął czerw, nie było czym sprzątnąć gąsienika — powiedział Kynes.

— Nie rozumiem, jak to możliwe! — powtórzył książę.
. —' Nikt nie zauważył odejścia zgarniarki? — spytał bankier. .

— Szperacze zwykle nie odrywają oczu od piasku — powiedział Kynes. — Interesują ich przede wszystkim znaki czerwia. Załoga zgarniarki liczy z reguły czterech ludzi — dwóch pilotów i dwóch odkomenderowanych czeladników. Jeśli jeden, a może i dwóch członków tej załogi zostało opłaconych przez wrogów księcia...

— Aaach, rozumiem — rzekł bankier. — A wy, jako Sędzia Zmiany,-ęzy wnosicie protest?

— Będę musiał starannie przemyśleć swoje stanowisko — odparł Kynes — alt na pewno nie będę omawiał tej sprawy przy stole.

I pomyślał: A to blady szkielet człowieczy! Wie, że zostałem poinstruowa.ny, by ignorować tego rodzaju pogwałcenie prawa. .

Bankier uśmiechnął się, powrócił do jedzenia. Jessika siedziała rozpamiętując jeden z wykładów ze swoich szkolnych dni w Bene Gesserit. Tematem był wywiad i kontrwywiad. Prowadziła wykład pulchna Matka Wielebna o figlarnej twarzy, jej wesolutki głos dziwnie kontrastował z. tematem, i

„Jedno warto pamiętać o każdej szkole wywiadu czy-też kontrwywiadu — że ist- , nicje podobny wzorzec podstawowych zachowań u wszystkich jej absolwentów. Każda zamknięta dyscyplina wyciska swoje piętno, swój model na studentach. Ten mo-

del poddaje się analizie i prognozowaniu. Tak więc schematy motywacyjne będą zbliżone u wszystkich agentów wywiadu. To znaczy: będą występowały pewne typy motywacji, które są podobne pomimo odmiennych szkół czy przeciwstawnych celów.

Na wstępie zapoznacie się z metodą wyodrębniania tego elementu do celów analizy — najpierw poprzez schematy indagacji, które zdradzają wewnętrzne nastawienie pytającego, następnie poprzez dokładną obserwację jego nastawienia myślowo-ję^ zykowego. Zobaczycie, jak proste okaże się dla was określenie korzeni językowych badanych osobników, oczywiście na podstawie zarówno modulacji głosu, jak i sposobu wysławiania się". . ,

Siedząc teraz przy stole ze swoim synem, księciem i z gośćmi i słuchając przedsta-

wiciela Banku Gildii, Jessika poczuła dreszcz zrozumienia: ten człowiek był szpiegiem Harkonnenów. Miał sposób wysławiania się zrodzony na Giedi Prime — chytrze maskowany, ale dla jej wyćwiczonej świadomości przejrzysty, jakby sam się ujawnił. Czy to znaczy, że nawet Gildia stoi po przeciwnej Atrydom stronie? — zastanawiała się. Ta myśl była szokująca, więc Jessika ukryła swoje uczucie polecając podać następną potrawę. Przez cały czas nasłuchiwała, czy ten człowiek nie zdradzi się ze swoim celem. Zmieni temat rozmowy na coś pozornie niewinnego, ale o złowieszczych podtekstach — pomyślała. — To jego schemat działania.

Bankier przełknął, pociągnął łyk wina, roześmiał się z czegoś, co powiedziała kobieta po jego prawej stronie. Wydawało się, że przez moment słucha mężczyzny po drugiej stronie stołu, który wyjaśniał księciu, iż rodzime rośliny Arrakis nie mają

kolców.

— LAibię oglądać ptaki w locie nad Arrakis — powiedział bankier kierując swoje słowa do Jessiki. — Wszystkie nasze ptaki są oczywiście padlinożerne, a wiele z nich zostawszy krwiopijcami egzystuje bez wody.

Córka producenta filtrfraków siedząca pomiędzy Paulem a swoim ojcem w drugim końcu stołu wykrzywiła swą ładniutką buzię w grymasie dezaprobaty. ,,

— Och, Suu-suu, mówisz o takich okropnych rzeczach...
Bankier uśmiechnął się. ,

— Nazywają mnie Suu-suu, ponieważ jestem doradcą finansowym Związku Kramarzy Wodnych. — A kiedy Jessika dalej wpatrywała się w niego bez komentarza, dodał: — Od zawołania sprzedawców wody: Suu-suu-suuk!

Naśladował okrzyk z taką wiernością, że spowodował wybuchy wesołości w wielu miejscach wokół stołu. Jessika pochwyciła chełpliwy ton w jego głosie, lecz przede wszystkim odnotowała, iż towarzysząca mu młoda kobieta na dany sygnał wypowiedziała ustaloną kwestię. Dostarczyła ona bankierowi pretekstu do wygłoszenia tego, co powiedział. Spojrzała na Lingara Bewta. Magnat wodny miał ponurą minę: skoncentrował się na jedzeniu. Jessika uświadomiła sobie sens słów bankiera: „Ja również mam w garści owo kluczowe źródło potęgi na Arrakis — wodę".

Pauł zauważył fałsz w głosie swego sąsiada, zobaczył, że matka siedzi rozmowę • z napięciem Bene Gesserit. Pod wpływem impulsu zdecydował się dolać oliwy do ognia, ożywić wymianę zdań. Sam zwrócił się do bankiera.

— Chcecie powiedzieć, sir, że te ptaki są kanibalami?

— Dziwne pytanie, młody paniczu — odparł bankier. — Ja powiedziałem jedynie, że one piją krew. To nie musi być krew ich własnego gatunku, nieprawdaż?

— Pytanie n i e było dziwne — rzekł Pauł i Jessika posłyszała w jego głosie wyraźną nutę zimnej riposty ze swoich nauk.

— Większość wykształconych ludzi wie, że największe zagrożenie bytu każdego młodego organizmu wychodzi od jego własnego gatunku.

Niespiesznie nadział na widelec kęs z talerza swego rozmówcy i włożył do ust.

— Jedzą z jednej miski. Mają te same podstawowe potrzeby.
Bankier zesztywniał, popatrzył spode łba na księcia.

— Nie daj się nabrać na dziecinny widok mojego syna — powiedział książę.
l uśmiechnął się. Jessika rozejrzała się po zebranych i stwierdziła, że Bewt rozpromienił się, że obaj, Kynes i przemytnik Tuek, szczerzą zęby.

— Jest to prawo ekologii — powiedział Kyne.s — które młody panicz wydaje się całkiem nieźle rozumieć. Walka pomiędzy żywymi organizmami toczy się'o wolną energię systemu. Krew jest wydajnym źródłem energii.

Bankier .odłożył widelec i powiedział wyraźnie zły: . '

— Podobno fremeńska hołota pije krew swoich umrzyków.
Kynes pokręcił głową odpowiadając tonem wykładowcy:

— Nie krew, sir. Ale cała woda w człowieku ostatecznTe należy do jego ludzi, do jego plemienia. To konieczne, kiedy się żyje na pograniczu Wielkiej Równi. Wszelka woda jest tam drogocenna, zaś ciało ludzkie składa się z wody w około siedemdziesięciu procentach swej wagi. Zmarły z całą pewnością już jej nie potrzebuje. »

Bankier położył obie ręce obok talerza na stole i Jessika odniosła wrażenie, że odepchnie się nimi .zaraz i podniesie z wściekłością. Kynes spojrzał na Jessikę.

— Wybacz, o pani, że roztrząsałem tak nieprzyjemny temat przy stole, ale powiedziano ci nieprawdę i wymagała ona sprostowania.

—— Przestajesz tak długo z Fremenami, że aż zatraciłeś wszelki takt — warknął bankier.

Kynes ze spokojem przypatrywał się pobladłej twarzy.

— Wyzywasz mnie, sir?

Bankier skamieniał. Przełknął ślinę i z wysiłkiem powiedział:

— Skądże znowu. Nie dopuściłbym się takiej obrazy naszego gospodarza i gospodyni. . .

Jessika pochwyciła strach w głosie mężczyzny, widziała strach na jego twarzy, w przyspieszonym oddechu, w pulsowaniu żyły na czole. Ten człowiek bał się panicznie Kynesa.

— Nasi gospodarze sami są w stanie zdecydować, kiedy zostali obrażeni, a kiedy nie. To dzielni ludzie, którzy rozumieją, co znaczy bronić honoru. My wszyscy możemy zaświadczyć o ich odwadze, choćby na podstawie faktu, że są tutaj...teraz...na Arrakis.

Jessika widziała, że Leto bawi się tym doskonale. Czego nie można było powiedzieć o większości biesiadników. Ludzie siedzieli gotowi zerwić się w każdej chwili od stołu, z rękami schowanymi pod obrusem. Dwa rzucające się w oczy wyjątki sta-

nowili Bewt, który otwarcie cieszył się zmieszaniem bankiera, oraz przemytnik Tuek, który jak gdyby wyczekiwał od Kynesa znaku. Jessika zobaczyła, że Paul spogląda na Kynesa z podziwem.

— No więc? — powiedział Kynes.

— Nie chciałem nikogo obrazić — wymamrotał bankier. — Jeśli obraziłem, proszę przyjąć moje przeprosiny. .

— Z ochotą złożone, z ochotą przyjmuję — powiedział Kynes. 'Uśmiechnął się do Jessiki i z powrotem zabrał się do jedzenia, jakby nic nie zaszło. Jessika zauważyła, że i przemytnik się odprężył. Odnotowała w pamięci: człowiek ten robił wrażenie gotowego pójść w sukurs Kynesowi. Istnieje jakieś porozumienie między Kynesem

a Tuekiem.

Leto bawiąc się widelcem patrzył z namysłem na Kynesa. Zachowanie ekologa dowodziło zmiany jego stosunku do rodu Atrydów. W trakcie ich wycieczki przez pustynię wydawał się oziębłejszy.

Jessika gestem zarządziła podanie następnych dań i napojów. Pokazali się lokaje z langues de lapins de garenne — z czerwonym winem i sosem grzybowo-drożdżowym. Rozmowy ożywały z wolna, lecz Jes.sika słyszała w nich niepokój i chłód; zobaczyła, że bankier je w posępnym milczeniu. Kynes zabiłby go bez mrugnięcia okiem — pomyślała. I zdała sobie sprawę, że postawa Kynesa wyrażała jego bezceremonialne podejście do zabijania. Był on urodzonym zabójcą i odgadywała, że to jest fremeńska

cecha.

'Jessika zwróciła się do producenta filtrfraków po swej lewej ręce.

— Nie mogę się nadziwić ważności wody na Arrakis.

— Jest bardzo ważna — zgodził się. — Co to za potrawa? Wyśmienita.

— Języki dzikich królików w specjalnym sosie — powiedziała. — Bardzo stary

przepis.

— Muszę mieć ten przepis — rzekł mężczyzna.
Skinęła głową.

— Dopilnuję, żebyście go dostali.
Kynes popatrzył na Jessikę.

— Przybywający na Arrakis często nie doceniają znaczenia, jakie ma tutaj woda —

powiedział. — Tu stykamy się z zasadą minimum.

Pochwyciwszy badawczą nutę w jego głosie, powiedziała:

— Wąskim gardłem wzrostu jest ten artykuł pierwszej potrzeby, który występuje w najmniejszej ilości. I, naturalnie, ów najmniej korzystny czynnik dyktuje tempo wzrostu.

— Nieczęsto widuje się członków wielkiego rodu świadomych zagadnień plane-

tologicznych — powiedział Kynes. — Czynnikiem najmniej sprzyjającym życiu na Arrakis jest woda. I proszę pamiętać, że sam „wzrost" jako taki może stanowić oko-
. liczność niesprzyjającą, jeśli nie jest traktowany z największą ostrożnością.

Jessika czuła, że słowa Kynesa mają ukryte znaczenie, ale. wiedziała, że ono się

jej wymyka.

— Wzrost — powtórzyła. — Chce pan powiedzieć, że Arrakis mogłaby mieć normalny obieg wody niezbędny ludziom do życia w korzystniejszych warunkach?

— Niemożliwe! — rzucił magnat wodny.
Jessika zwróciła się do Bewta"

— Niemożliwe?

— Na Arrakis niemożliwe — powtórzył. — Nie słuchajcie tego marzyciela. Vi "• •';,
stkie wyniki doświadczeń laboratoryjnych są przeciwko niemu. .

Kynes zmierzył Bewta spojrzeniem; Jessika zauważyła, że inne rozmowy wokół nich. urwały się, zaś ludzie skupili uwagę na tej nowej wymianie zdań.

— Wyniki doświadczeń laboratoryjnych przysłaniają nam bardzo prosty, fakt — powiedział Kynes.— A mianowicie, że mamy tutaj do czynienia ze zjawiskami zrodzonymi i istniejącymi pod gołym niebem, gdzie rośliny i zwierzęta wiodą normalną egzystencję.

— Normalną! — parsknął Bewt. — Na Arrakis nic nie jest normalne!

— Wręcz przeciwnie — powiedział Kynes. — Można by tu ożywić określone współzależności, a reszta to^już proces automatyczny. Trzeba jedynie rozumieć'ograniczenia planety i działające na nią siły. / .

— To się nigdy nie uda — rzekł Bewt.

Książę w nagłym olśnieniu ustalił moment, kiedy zmieniło się nastawienie Kynesa:

było to wtedy, gdy Jessika powiedziała o zachowaniu w depozycie dla Arrakis roślin z oranżerii.

— Czego potrzeba, aby uruchomić ten proces automatyczny, doktorze Kynes? — zapytał Leto. . .

— Jeśli doprowadzimy do tego, by trzy procent powierzchni Arrakis zajął żywioł roślin zielonych, wytwarzających związki węgla jako składniki pokarmowe, uruchomimy system obiegu — odparł Kynes. . ' •

— Woda to jedyny problem? — zapytał książę. Wyczuwał podniecenie Kynesa, sam był podekscytowany. . ;

— Woda przytłacza inne problemy — powiedział Kynes. — Ta planeta ma dużo tlenu bez elementów towarzyszących mu w naturze — rozległych połaci szaty roślin-. nej i obfitych źródeł nie związanego dwutlenku węgla, czyli takich na przykład zjawisk, jak wulkany. Tutaj nad rozległymi połaciami pustyni zachodzą nienaturalne reakcje chemiczne.

— Czy macie wstępny projekt?

— Mieliśmy dużo czasu na odtworzenie efektu Tansleya — doświadczenia w małych zespołach na skalę amatorską, z których moja nauka może teraz czerpać robocze dane — wyjaśnił Kynes. '

— Tu nie ma tyle wody —oświadczył Bewt. — Tu po prostu nie ma tyle wody.

— Mistrz Bewt jest ekspertem od wody — powiedział Kynes. Uśmiechnął się i powrócił do przerwanego obiadu. Książę walnął z zamachem prawą ręką w stół.

— Nie! Żądam odpowiedzi! CzyJest dosyć wody, doktorze Kynes?
Kynes wbił oczy w talerz. Jessika śledziła grę emocji na jego twarzy. Doskonale się maskuje — pomyślała, ale mając go już zarejestrowanego widziała, że Kynes żałuje swoich słów.

— Czy jest dosyć wody? — zapytał książę.

— Może...jest — odparł Kynes.

Udaje niepewność — pomyślała Jessika. Swym przenikliwym zmysłem prawdy

Pauł chwycił zasadniczy motyw i ledwo się opanował wezwawszy na pomoc całe swoje wyszkolenie. Wody jest dosyć! Tylko Kynes nie chce, by się o tym dowiedziano.

— Nasz planetolog ma wiele interesujących snów — powiedział Bewt. — Śni wraz z Fremenami o przepowiedniach i mesjaszach.

W paru miejscach za stołem rozległy się chichoty. Jessika zliczyła je: przemytnik, córka producenta filtrfraków, Duncan Idaho, tajemnicza dama do towarzystwa i mętnych interesów. Osobliwie tu się rozkłada napięcie dziś wieczorem — pomyślała. Za dużo dzieje się rzeczy, o których nie mam pojęcia. Będę musiała znaleźć sobie nowe źródła informacji.

Książę przesunął spojrzenie z Kynesa na Bewta, z niego zaś na Jessikę. Czuł się dziwnie zawiedziony, jakby go ominęło coś istotnego.

— Może jest — zamruczał.
Kynes powiedział szybko:

— Może powinniśmy omówić to kiedy indziej, mój panie. Jest tak wiele...
Planetolog umilkł, gdyż drzwiami służbowymi wpadł umundurowany żołnierz Atrydów i po przejściu straży pospieszył do księcia. Nachylił się szepcząc mu coś do ucha. Jessika rozpoznawszy na czapce insygnia korpusu Hawata skryła niepokój. Odwróciła się do towarzyszki producenta filtrtraków, drobnej, ciemnowłosej kobiety o lalkowatej buzi, z kurzymi łapkami w kącikach oczu.

— Prawie nie tknęłaś jedzenia, moja kochana — powiedziała. — Czy mogę coś dla ciebie zamówić? . '

— Nie bardzo, chce mi się jeść. — Kobieta zerknęła na producenta liltriraków, nim odpowiedziała. .

Książę podniósł się gwałtownie i stając obok swego żołnierza przemówił ostrym tonem komendy: " •

— Zostańcie na miejscach; wszyscy. Musicie mi wybaczyć, ale pewna sprawa wymaga mojej obecności. — Odstąpił na bok. — Pauł, bądź łaskaw i przejmij ode mnie obowiązki gospodarza.

Pauł wstał; pragnął zapytać ojca, dlaczego odchodzi, ale wiedział, że musi okazać wielkopańskie maniery. Obszedł stół aż do krzesła ojca i usiadł. Książę odwrócił się do alkowy, w której przebywał Halleck.

— Gurney, zajmij, proszę, miejsce Paula przy stole. Nie może być nieparzystej liczby gości. Po bankiecie może będę chciał, byś odprowadził Paula do' SD na lądowisku. Czekaj na moje wezwanie.

Halleck wychylił się z alkowy odziany w galowy mundur; ze swą niedźwiedziowatą brzydotą wydawał się nie na miejscu wśród błyszczących kobiecych strojów. Odstawił balisetę pod ścianę, powędrował do krzesła zajmowanego,dotąd przez Paula i zajął miejsce.

— Nie ma powodu do niepokoju — powiedział książę — ale zmuszony jestem prosić, aby nikt nie wychodził, zanim nasza straż nie uzna tego za bezpieczne. Włos wam nie spadnie .z głowy, dopóki tu jesteście, my zaś wyjaśnimy tę drobnostkę bardzo szybko. , , '

Pauł wyłowił w wypowiedzi ojca słowa kodu; „niepokój — straż — bezpieczne —

szybko". Problem dotyczył bezpieczeństwa, nie walki zbrojnej. Zauważył, że matka

odebrała tę samą informację. Oboje odetchnęli. Książę skłonił nieznacznie głową, zrobił w tył zwrot i wymaszerował przez służbowe drzwi, z depczącym mu po piętach żołinierzem. Pauł zabrał głos: . .

i — Proszę nie przerywać sobie obiadu. Wydaje mi się, że doktor Kynes mówił cos o wodzie.

—— Czy możemy pomówić o tym innym razem? — spytał Kynes. ";

— Ależ proszę bardzo — powiedział Pauł. ' ,i ' •
I Jessika z dumą zauważyła dostojeństwo swego syna, dojrzałe poczucie pewności siebie. Bankier wzniósł swój puchar wody i skinął nim w stronę Bewta.

— Nikt z nas, obecnych tutaj, nie dorówna mistrzowi Lingarowi Bewtowi w gładkich słowach. Ktoś mógłby uznać, że ma on aspiracje przynależenia do wielkiego rodu, No, mistrzu Bewt, wznieście toast. Pewnie macie w zanadrzu mnóstwo mądrości dla chłopca, którego należy traktować jak mężczyznę.

Jessika zwinęła pod stołem prawą dłoń w pięść. Dostrzegła sygnał migowy przechodzący od Hallecka do Idaho; zobaczyła, jak gwardziści zajmują najdogodniejsze dla ochrony pozycje. Bewt utkwił w bankierze jadowite spojrzenie. Pauł zerknął na Hallecka, objął wzrokiem swoje straże w gotowości obronnej, zatrzymał oczy na bankierze, aż ten opuścił puchar wody.

•> — Kiedyś na Kaladanie — powiedział —widziałem zwłoki utopionego rybaka. My... . . ; •

— Utopionego? — To był głos córki producenta filtrfraków. '
Pauł zawahał się. . • • '

— Tak. Zanurzonego w wodzie, aż umarł. Utopionego.

— Cóż za interesujący rodzaj śmierci — wyszeptała.

Uśmiech Panią zrobił się zimny. Ponownie zwrócił się do bankiera.

— Interesującą rzeczą w tym człowieku były rany na ramionach, spowodowane kolcami butów innego rybaka. Topielec był jednym z wielu na łodzi —statku do podróżowania po wodzie, który zatonął...zatopił się pod wodą. Jakiś rybak, który pomagał wyłowić ciało, powiedział, że wiele razy widywał ślady podobne do ran owego człowieka. Świadczyły one o tym, że jeden z tonących rybaków próbował stanąć na ramionach tego biedaka usiłując dosięgnąć powierzchni...dosięgnąć powietrza.

— Dlaczego to jest interesujące? — zapytał bankier.
, ,— Z powodu uwagi zrobionej wtedy przez mego ojca. Powiedział on, że można zrozumieć tonącego człowieka, który wdrapuje ci się na ramiona, by ratować własne życie...chyba że dzieje się to W salonie. , .1

Pauł zawiesił głos na tyle, by bankier dojrzał, co się święci.

— l chyba że. powinienem dodać, dzieje się to przy biesiadnym stole.
Nagła cisza zmroziła salę.

To było zbyt pochopne — pomyślała Jessika. Ten bankier może mieć Wystarcza-Ijącą pozycję, by wyzwać mego syna na pojedynek. Spostrzegła, że Idaho jest gotów |do natychmiastowego działania. Gwardia pałacowa czekała w pogotowiu. Gurney | Halleck nie spuszczał z oka mężczyzn po przeciwnej stronie stołu.
& — Ho-ho-ho-o-o-o!

To przemytnik Tuek. z odrzuconą do tylu głową, zanosił się śmiechem. Na twarzach biesiadników pojawiły się ukradkowe uśmieszki. Bcwt szczerzył zęby od ucha do ucha.

Bankier odepchnął się z krzesłem do tyłu wbijając w Paula wściekłe spojrzenie.

Kynes powiedział:

— Każdy kasa Atrydę na własny rachunek.

— Czy obrażanie gości jest zwyczajem Atrydów? — zapytał bankier.
Zanim Pauł zdążył odpowiedzieć, Jessika wychyliła się do przodu.

— Sir! ' . • •
Musimy przejrz.eć grę tej kreatury. Czy jest tutaj, by dopaść Paula? Czy ma wspólników? — myślała. . •'

— Mój syn paraduje w pospolitej szacie, a wy utrzymujecie, jakoby została skrojona na waszą miarę? — spytała. — Cóż za fascynująca rewelacja.

Zsunęła dłoń w dół po nodze, do krysnoża w przypiętej nad kostką pochwie. Bankier przeniósł na nią swoje wściekle spojrzenie. Oczy gości umknęły od Paula i Jessika zobaczyła, jak syn odsuwa się od stołu, by mieć swobodę ruchów. Skoncentrował się na słowic-kluczu „szata": przygotuj się do walki.

Kynes skierował abstrakcyjne spojrzenie na Jessikę. przesyłając Tuekowi dyskretny sygnał dłonią. Przemytnik dźwignął się na nogi. wzniósł^puchar.

— Ja wzniosę toast — powiedział. — Za młodego Paula Atrydę. z pozoru jeszcze chłopca, ale mężczyznę z czynów,

Po co się wtrącają? — zastanawiała się Jessika. Bankier wlepił teraz oczy w Kynesa i Jessika zobaczyła powracające na twarz agenta przerażenie. Jak stół długi ludzie zaczynali odpowiadać na toast. Gdzie Kynes wskaże, tam ludzie idą — pomyślała. — Powiedział nam, że jest po stronie Paula. Skąd bierze się jego władza? Niemożliwe, żeby z tego. iż jest Sędzią Zmiany. To jest przejściowe. I na pewno nic z tego, że jest urzędnikiem państwowym. Zdjęła dłoń z rękojeści krysnoża, podniosła swoją szklanicę do Kynesa. który odpowiedział tym samym gestem. Tylko Pauł i bankier — (Suu--siiu! Cóż za idiotyczny przydomek! — pomyślała) — pozostawali z pustymi rękoma. Bankier nie odrywał oczu od Kynesa. Pauł wpatrywał się we własny talerz. Załatwiłem to, jak należało — myślał. — Dlaczego oni się mieszają? Rzucił ukradkowe spojrzenie na głowy gości po drugiej stronie stołu.

— W naszych sferach ludzie nie powinni się tak łatwo obrażać. Często jest to równoznaczne z samobójstwem. — Spojrzał na swą sąsiadkę, córkę producenta filtrfraków. — Nie sądzi pani?

.— Och. tak. Tak. Oczywiście. Za dużo jest gwałtu. Niedobrze mi się od tego robi. l wiele razy nikt nikogo nie zamierza obrazić, a ludzie mimo wszystko umierają. To nie ma sensu. .

— Rzeczywiście nie ma — powiedział Halleck.

Ujrzawszy bliską perfekcji grę dziewczyny, Jessika uświadomiła sobie: Ta mała kobietka z kurzym móżdżkiem wcale nic jest małą kobietką z kurzym móżdżkiem. Dostrzegła linię ataku i zrozumiała, że Halleck również ją wykrył. Zamierzali złapać Paula na seks. Jessika odprężyła się. Prawdopodobnie jej syn pierwszy to zauważył — jego szkolenie nie pominęło tak oczywistego gambitu.

Kynes zwrócił się do bankiera:

— Czy nie kolej teraz na następne'przeprosiny?
Bankier przesłał mdły uśmiech Jessice.

— O pani, obawiam się, że nadużyłem waszych win. Serwujecie mocne trunki. do czego ja nie jestem przyzwyczajony.,

Jessika wyczuła jad w jego tonie i odpowiedziała słodko:

<— Spotkania obcych wymagają wielkiej tolerancji dla odmiennych obyczajów i wychowania.

— Dziękuję, ó pani.

Ciemnowłosa towarzyszka producenta filtrfraków nachyliła się ku Jtssicc. ^

— Książę mówił, że tutaj nam nic nie grozi. Spodziewam się, że nie wróży to dalszych walk.

Polecono jej skierować rozmowę na te tory — pomyślała Jessika.

— Pewnie okaże się, że to nic ważnego — powiedziała. — Ale tyle jest obecnie .drobiazgów wymagających obecności księcia. Dopóki Atrydzi i Harkonnenowie pozostają na stopie wojennej, ostrożności nigdy nie za wiele. Książę poprzysiągł kaniy. Nie pozostawi oczywiście przy życiu żadnego agenta Harkonnenów na Arrakis. — Spojrzała na agenta banku Gildii. — Naturalnie, ma za sobą Konwencję. — Przeniosła spojrzenie, na Kynesa. —Czyż tak nie,jest, doktorze Kynes?

— Naturalnie — powiedział Kynes.

Producent filtrfraków odciągnął swą partnerkę delikatnie do tyłu. Obejrzała się 'na niego.

— Chyba teraz coś zjem — powiedziała. — Mam ochotę na odrobinę tej potrawy z ptaka podanej poprzednio.

Jessika skinęła służącemu i zwróciła się do bankiera:

— A pan. sir. mówił poprzednio o ptakach i ich zwyczajach. Odkrywam tyle interesujących rzeczy związanych z Arrakis. Powiedzcie mi. gdzie znajduje się przyprawę? Czy poszukiwacze chodzą w głąb pustyni?

— Och. nie. moja pani. Niewiele wiemy o głębokiej pustyni. A prawie nic o regionach południowych.

— Powiadają, że ogromna żyła macierzysta przyprawy ma się znajdować w południowych regionach — rzekł Kynes — ale podejrzewam w tym wytwór fantazji istniejący wyłącznie w pieśni. Niektórzy śmiali poszukiwacze przyprawy rzeczywiście zapuszczają się od czasu do czasu na obrzeża pasa centralnego, ale to jest wyjątkowo niebezpieczne — niepewna nawigacja, częste samumy, straty w ludziach rosną zastraszająco im dalej od baz Muru Zaporowego prowadzi się operacje. Ustalono, że zapędzanie się zbyt daleko na południe nie jest opłacalne. Może gdybyśmy mieli satelitę meteorologicznego...

Bewt podniósł wzrok.

— Powiadają — odezwał się z ustami pełnymi jedzenia — że zapuszczają się tam Fremeni. że oni wędrują, gdzie chcą. i że wykryli wysięki i haust-studnie nawet na południowych szerokościach. .

— Wysięki i haust-studnie? — zapytała Jessika.

— Wyssane z palca plotki, moja pani — powiedział szybko Kynes. — Takie rze-

czy spotyka się na innych planetach, nie na Arrakis- Wysięk to miejsce, w którym woda przesącza się na powierzchnię albo wystarczająco blisko powierzchni, by można było do niej dotrzeć kopiąc według pewnych znaków. Haust-studnia jest formą wysięku, z którego ciągnie się wodę przez słomkę...tak powiadają.
Jest jakieś oszustwo w jego słowach — pomyślała Jessika.

Dlaczego kłamie? — zastanawiał się Paul. ,

— Jakież to interesujące — powiedziała Jessika. I pomyślała: Powiadają..'. Co za dziwna maniera językowa. Gdyby tylko wiedzieli, jak ona zdradza ich zależność od przesądów.

—*- Słyszałem o waszym powiedzeniu — zabrał glos Paul — że blichtr płynie z miast, mądrość z pustyni.

— Arrakis zna wiele powiedzeń — odparł Kynes.
Zanim Jessika zdążyła sformułować nowe pytanie, nachylił się nad nią służący z listem. Otworzyła go, zobaczyła charakter pisma i znaki szyfru księcia. Przebiegła po nich wzrokiem.

— Wszystkich was ucieszy wiadomość, że nasz książę śle słowa otuchy. Sprawa, która go wezwała, jest załatwiona. Znaleziono zaginioną zgarniarkę — powiedziała. — Wśród załogi był agent Harkonnenów, który sterroryzował pozostałych i odleciał maszyną do bazy przemytników z nadzieją, że ją tam sprzeda. Zarówno ten człowiek, jak i maszyna zostały przekazane naszym siłom.

Skłoniła głowę przed Tuekiem. Przemytnik odkłonił się. Jessika złożyła pismo, wsunęła je do rękawa.

— Cieszę się, że nie doszło do otwartej bitwy — powiedział bankier. — Ludzie mają tak wielką nadzieję, że Atrydzi przyniosą pokój i dobrobyt.

— Szczególnie to drugie — dorzucił Bewt.

— Czy zjemy już deser? — zapytała Jessika. — Poleciłam naszemu kuchmistrzowi przygotować kaladańską leguminę: ryż pen-czi w sosie dolsa.

— To brzmi wspaniale — powiedział producent filtrfraków'. -l- Czy mógłbym dostać przepis?

— Każdy, jaki tylko pan zechce — odparła Jessika, rejestrując sobie tego człowieka w pamięci, by później wspomnieć o nim Hawatowi. Producenta filtrfraków, bojaźliwego, małego karierowicza, można było łatwo kupić.

Wokół Jessiki podjęto rozmowy towarzyskie.

— Jaki śliczny materiał...

— Zamówił oprawę odpowiednią do kamienia...

— Moglibyśmy się pokusić o wzrost produkcji w następnym kwartale...
Jessika utkwiła spojrzenie w talerzu rozmyślając nad zakodowanym fragmentem listu: „Harkonnenowie próbowali przemycić transport rusznic laserowych. Przechwy-^ ciiiśmy je. Może to znaczyć, że powiodło im się z innymi transportami. Na pewno znaczy, że nie przywiązują większego znaczenia do tarcz. Podejmijcie odpowiednie środki ostrożności".

Rusznice laserowe zaprzątnęły myśli Jessiki. Rozpalone do białości wiązki promieni niszczycielskiego światła mogły przeciąć każdą ze znanych substancji pod warunkiem, że nie osłaniała jej tarcza. Tym, ze sprzężenie zwrotne z tarczą wysadziłoby

i rusznicę, i tarczę, Harkonnenowie nie przejmowali się. Dlaczego? Eksplozja tarczy z rusznicą laserową była zmienną niebezpieczną; mogła być potężniejsza od jądrowej lub mogła zabić wyłącznie strzelca i jego osłoniony cel. Niewiadome w tym wszystkim przepełniły ją niepokojem. Usłyszała Paula: . .

— Ani przez chwilę nie wątpiłem, że odnajdziemy zgarniarkę. Jak mój ojciec zabiera się już do czegoś, doprowadza rzecz do końca. Ta prawda zaczyna powoli docierać do Harkonnenów.

Przechwala się — pomyślała Jessika. A nie powinien. Nie ma prawa do przechwałek nikt, kto będzie spać tej nocy głęboko pod powierzchnią ziemi, z obawy przed rusznicami laserowymi.

Nie ma ucieczki — płacimy za gwałty naszych przodków. ' '

/ „Myśli /obranych Muad'Diba" w opracowaniu kMężniizki Irulan

Usłyszawszy krzyki w Wielkiej Sali, Jessika zapaliła nocną lampkę. Jej zegara nie przestawiono na czas miejscowy, więc musiała odjąć dwadzieścia jeden minut, by ustalić, że jest około drugiej w nocy. Krzyki były głośne i chaotyczne. Czyżby atak Harkonnenów? — zastanawiała się. Wyśliznąwszy się z łóżka sprawdziła na ekranach monitorów miejsca pobytu swej rodziny. Ekran ukazał pogrążonego we śnie Paula w głębokiej piwnicy pośpiesznie przerobionej'dla niego na sypialnię. Do jego kwatery z pewnością nie przenikał hałas. Sypialnia księcia była pusta, pościel nie tknięta. Czyżby przebywał ciągle na SD lądowiska? Jeszcze nie założono monitorów na front budynku. Jessika znieruchomiała pośrodku sypialni, nasłuchując. Jeden głos wydzierał się bez ładu i składu. Inny wołał doktora Yuego. Znalazła szlafrok, narzuciła go na ramiona, wsunęła stopy w pantofle, do łydki przypięła krysnóż. Znowu jakiś głos wzywał Yuego. Owiązała się paskiem i wyszła na korytarz. Nagle poraziła ją myśl:

A jeśli to Leto jest ranny...

Korytarz wydawał się ciągnąć bez końca pod jej biegnącymi stopami. Skręciwszy pod zamykającym go łukiem przefrunęła przez salę jadalną i kruchtę, wpadła do Wielkiej Sali, którą zastała zalaną światłem wszystkich lamp dryfbwych, rozjarzonych do maksimum.

Na prawo przy drzwiach frontowych ujrzała dwóch ludzi ze straży pałacowej trzymających między sobą Duncana Idaho. Głowa opadła mu na pierś, raptowna cisza zaległa nad tą sceną. Jeden ze strażników powiedział z wyrzutem do Idaho:

— Widzisz, co narobiłeś? Obudziłeś lady Jessikę.

Za plecami mężczyzn falowały ogromne kotary wskazując, że zostawili otwarte

drzwi. Stojąca z boku Mapes mierzyła Idaho zimnym spojrzeniem. Miała na sobie długą brązową szatę z wijącym się ornamentem na kraju. Jej stopy tkwiły w nie zasznurowanych butach pustynnych.

— No i obudziłem lady Jessikę — wymamrotał Idaho. Wzniósłszy oczy doSufitu, zaryczał: — ...pierwszy raz mój miecz się okrwawił na Grumman!

Wielka Macierzy! On jest pijany! — pomyślała Jessika. Ponury grymas wykrzywiał smagłą, okrągłą twarz Idaho. Ziemia przylgnęła mu do kędzierzawych jak futro

czarnego kozła włosów. Wydarta w bluzie dziura odsłaniała gors wieczorowej koszuli, którą wcześniej miał na bankiecie.

Jessika zbliżyła się do niego. Gwardzista skłonił się, nie wypuszczając Idaho z uchwytu.

— Nie wiedzieliśmy, co z nim począć, moja pani. Awanturował się pod bramą i nie chciał wejść do środka. Baliśmy się, że mogą nadejść tutejsi i go zobaczyć. To było•by niewskazane. Zepsułoby nam opinię.

— Gdzie on się podziewał? — spytała Jessika.
. — Odprowadzał do domu jakąś panienkę z przyjęcia, moja pani. Z rozkazu Hawata.

— Którą panienkę?

— Którąś z dziewczynek do towarzystwa. Wiesz, o co chodzi, moja pani? — Zerknął na Mapes i ściszył głos. — Do szczególnej inwigilacji dam zawsze bierze się Idaho.

Owszem, bierze się — pomyślała Jessika. — Ale dlaczego on jest pijany? Ze zmarszczonymi brwiami zwróciła się do Mapes: ,

— Mapes, przynieś coś, na pobudzenie. Najlepiej kofeinę. Może zostało trochę kawy z pr/yprawą?

Mapes wzruszyła ramionami i podążyła, do kuchni. J&j nie zasznurowane buty pustynne człapały — człap-człap — po kamiennej posadzce. Idaho odwrócił chwiejną głowę, by spojrzeć z ukosa na Jessikę.

— Zabiłem więsej nisz szysta luzi dla księcia — wybełkotał. — Ja chsę tylko wieźeś, diszcgo tu jes-stem. Nie mogę tu żyś pdtziemio. Nie mgę tu żyś natziemio. So to za miejsse, ee?

Uwagę Jessiki zwrócił dźwięk dochodzący z bocznego korytarza. Odwróciwszy się zobaczyła Yuego, szedł ku nim wymachując trzymaną w lewej ręce torbą lekarską. Był kompletnie ubrany, wydawał się bledszy i jakby przemęczony. Na jego czole ostro odcinał się romb tatuażu.

— Poszsiwy konował! — wrzasnął Idaho. — Chtoś t/, wale? Łubek i czopek? — Zwrócił się bełkotliwie do Jessiki: — Robię ssiebie uh cholerneho uh idiotę, uh?

Jessika spojrzała krzywo zastanawiając się w milczeniu: dlaczego Idaho miałby się upić? Dosypano mu czegoś?
" — Za dużo przyprawnego piwa — rzekł Idaho usiłując stanąć prosto.

Mapes wróciła z parującą filiżanką w dłoniach, przystanęła niezdecydowana za Yuem. Popatrzyła na Jessikę, która pokręciła głową. ,Yueh postawił torbę na podłodze, pochylił głowę w ukłonie przed Jessika.

—. Przyprawne piwo, co? ;— powiedział.

— Nalepsze darańswo, jakie piłem w żyśu — stwierdził Idaho. Spróbował stanąć na baczność.

— erfszy ras mój miesz się skrwawił na Grumman! Zabiłem Harkon.-.Harkon... zabiłem tlą mego księsia.

Yueh obejrzał się na filiżankę w dłoni Mapes.

— Co to jest?

— Kofeina — powiedziała Jessika.

Yueh wziął filiżankę, podsunął ją Idaho.

— Wypij to; chłopcze.

— Nie chse nis więsej pis.

— Wypij, mówię.

Idaho wyciągnął głowę-do Yuego i poleciał krok w przód pociągając za sobą strażników.

— Mam po ziurki w nosie podlizywania się Imperium Świata, doktorze. Jeden ras załatwimy rzesz po mojemu.

— Jak to wypijesz — powiedział Yueh. — To tylko kofeina.

— Rospieprzone jak wszystko tutaj! Cholerne słońse jessa jasne. Nis tu nie ma nolmarnego korolu. Nis tu nie gra albo...

— No cóż, mamy teraz noc — powiedział Yueh; próbował mu perswadować. — Wypij to jak grzeczny chłopak. Poczujesz się lepiej.

— Nie chse poszuś się lepiej!

— Nie możemy namawiać go przez całą noc — odezwała się Jessika. Tu trzeba kuracji wstrząsowej — przyszło jej na myśl.

— Nie ma potrzeby, żebyś tu czekała, moja pani — powiedział Yueh. — Dam sobie z tym radę.

Jessika pokręciła głową. Postąpiła o krok, wymierzyła Idaho siarczysty policzek. Zatoczył się w tył razem ze swoimi strażnikami, przeszywając ją nienawistnym spojrzeniem.

— Kto się zachowuje w ten sposób w domu swego księcia? —-powiedziała. Wyrwała Yuemu filiżankę z rąk rozlewając część jej zawartości i podetknęła ją Idaho. — Wypij natychmiast! To rozkaz!

Idaho wyprostował się raptownie, spojrzał na nią wilkiem. Powiedział powoli, ze staranną i wyraźną dykcją:

— Ja nie słucham rozkazów parszywego szpiega Harkonnenów.
Yueh odwrócił się do Jessiki jak uderzony. Pobladła na twarzy, ale kiwała ze zrozumieniem głową. Wszystko stało się jasne: oderwane strzępki znaczeń, jakie przez te parę minionych dni chwytała w słowach i zachowaniu ludzi wokół siebie, teraz dały

się złożyć w całość. Poczuła, jak rośnie w niej gniew, tak ogromny, że chyba od niego pęknie. Sięgnęła do najgłębszych zasobów swojego wyszkolenia Bene Gesserit, by uspokoić puls i wyrównać oddech. Nawet i wtedy wszędzie widziała strzelające płomienie. „Do inwigilacji dam zawsze bierze się Idaho!"
Przeszyła Yuego spojrzeniem.

— Wiedziałeś? — spytała.

— Ja...słyszałem pogłoski, moja pani. Ale nie chciałem przysparzać ci zmartwień.

— Hawat! — warknęła. — Dawać mi w tej chwili Thufira Hawata!

— Ale, moja pani...

— Natychmiast! ,
To musi być Hawat — myślała. — Takie podejrzenie nie mogło wyjść od nikogo innego, bo odrzucono by je w jednej chwili.
Idaho potrząsnął głową, wymamrotał: ..

— Wszystko, cholera, wyszczekałem.

Jessika spuściła wzrok nrf filiżankę w swej dłoni i nagle chlusnęła jej zawartość Idaho w twarz.

— Zamknijcie go w jakimś gościnnym pokoju we wschodnim skrzydle — poleciła. — Niech to odeśpi.

Dwaj strażnicy wpatrywali się w nią nieszczęśliwymi oczami. Jeden ż nich powiedział: /

— Może lepiej zabierzmy go gdzieś indziej, o pani,- Moglibyśmy...

— On musi być tutaj! — warknęła Jessika. — Musi tu pełnić służbę. — Głos jej wezbrał goryczą. — Jest taki dobry w pilnowaniu dam. .
Strażnik przełknął ślinę.

— Czy wiecie, gdzie jest książę? — zapytała.

— Jest na stanowisku dowodzenia, moja pani.

— Z Hawatem?

— Hawat jest w mieście, moja pani.

— Sprowadźcie mi matychmiast Hawata — poleciła Jessika. — Będę czekała na niego w salonie. • '

— Ale, moja pani...

— Jeśli zajdzie potrzeba, wezwę księcia — powiedziała. — Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne. Nie chciałabym go tym niepokoić.

— Tak jest, moja pani.

Jessika wcisnęła pustą filiżankę w dłonie Mapes, natykając się na pytające wejrzenie' błękitnych w błękicie oczu.

— Możesz wracać do łóżka, Mapes.

— Na pewno nie będę potrzebna?
Jessika uśmiechnęła się ponuro.

— Na pewno.

— Może by zaczekać z tym do jutra — odezwał się Yueh. — Dałbym ci środek nasenny i...

— Wracaj do siebie i daj mi załatwić to samej. — Poklepała go po ramieniu,, by złagodzić ostrość tonu. — To jedyny sposób.

Odwróciła się raptownie i z głową uniesioną wysoko oddaliła się dumnym krokiem w głąb pałacu do swoich pokojów. Zimne mury...korytarze...znajome drzwi... Otworzyła je szarpnięciem, wkroczyła do środka i trzasnęła za sobą drzwiami. Przystanęła wlepiając spojrzenie w pustkę tarci na oknach swego salonu. Hawat! Czyżby go Harkonnenowie kupili? Zobaczymy.

- Podeszła do głębokiego, staromodnego fotela obitego haftowaną skórą ze szlaga i przeciągnęła fotel na takie miejsce, by mieć drzwi na oku. Z nagłą siłą uświadomiła sobie obecność pochwy z krysnożem. Odpięła pochwę i z nogi przeniosła ją na przedramię; sprawdziła, jak. wysuwa się nóż. Raz jeszcze obrzuciła spojrzeniem pokój, na w-szelki wypadek utrwalając wszystko dokładnie w pamięci: szezlong blisko kąta, pod ścianą zwykłe krzesła, dwa niskie stoliki, cytra na stojaku pod drzwiami do sypialni. Lampy dryfowe płonęły bladoróżowym światłem. Przygasiła je, zasiadła

.134

w fotelu, pogładziła obicie ciesząc się, że na taką okazję ma krzesło o królewskiej dostojności.

Niechaj teraz wchodzi — pomyślała. — Co będzie, to będzie. I na sposób Bene Gesserit przygotowała się na oczekiwanie, mobilizując cierpliwość, oszczędzając siły. Szybciej, niż się spodziewała, zabrzmiało pukanie do drzwi i na wezwanie z jej strony wkroczył Hawat.

Nie wstając z fotela patrzyła na niego, widząc kruchość otoczki narkotycznego ożywienia w jego ruchach, a pod nią zmęczenie. Starcze załzawione oczy Hawata połyskiwały. Jego skóra jak rzemień wydawała się lekko żółtawa w tym oświetleniu, a na rękawie władającej nożem ręki widniała pokaźnych rozmiarów mokra plama. Jessikę doleciał zapach krwi. Wskazała dłonią jedno z krzeseł o prostych oparciach.

— Przynieś to krzesło i usiądź naprzeciw mnie.
Hawat ukłonił się i wykonał polecenie. Co za pijany dureń z tego Idaho! — pomyślał. Śledził bacznie twarz Jessiki zastanawiając się, jak tu wybrnąć z tej sytuacji.

— Dawno już należało oczyścić między nami atmosferę — powiedziała Jessika.

— Co trapi moją panią? — Usiadł i położył dłonie na kolanach.

— Nie udawaj niewiniątka! — rzuciła zimno. — Jeżeli Yueh ci nie powiedział, dlaczego cię wezwaliśmy, to zrobił to jeden z twoich szpiegów spośród mojej służby. Czy nie powinniśmy być szczerzy ze sobą przynajmniej na tyle?

— Jak sobie życzysz, moja pani.

— Najpierw odpowiedz mi na jedno pytanie. Czy teraz jesteś agentem Harkonnenów? /'

Hawat uniósł się do połowy z krzesła, twarz mu pociemniała z wściekłości.

— Ośmielasz się aż tak mnie obrażać?

— Siadaj — powiedziała. — Tyś mnie tak obraził. v

Hawat z wolna opadł na krzesło.

A Jessika, czytając w jego twarzy tak dobrze jej znane oznaki, pozwoliła sobie na głębokie westchnienie. To nie Hawat.

— Teraz wiem, że pozostałeś wierny memu księciu — powiedziała. — Jestem przeto gotowa wybaczyć ci twój afront wobec mojej osoby.

— Czy coś tu jest do wybaczania?

Jessika zmarszczyła brwi.

Czy mam wyciągnąć swój atut? — zastanawiała się. — Czy mam mu powiedzieć o córce księcia, którą w sobie noszę od kilku tygodni? Nie..,. Sam Leto o tym nie wie. To by mu jedynie skomplikowało życie, odwróciło jego uwagę w chwili, kiedy musi się skoncentrować na naszym przetrwaniu. Jeszcze czas na wykorzystanie tego atutu.

— Prawdomówczyni by rozwiązała ten problem ,— rzekła — ale nie mamy prawdomówczyni z dyplomem Wysokiej Rady.

— No właśnie. Nie mamy prawdomówczyni.

— Czy jest wśród nas zdrajca? — zapytała. — Analizowałam naszych ludzi z wielką uwagą. Kto może być zdrajcą? Nie Gurney. Na pewno nie Duncan. Ich adiutanci nie zajmują odpowiednich pozycji strategicznych, by brać ich pod uwagę. I nie ty, Thu-

l"ir. Nic może to być P;iul. Ja w i e m . że to nie ja. A zatem doktor Yueh? Czy mamy go wezwać i poddać próbie?

— Wiesz, że to czc/y gest — powiedział Hawat. — On jest uwarunkowany, przez Akademię. To z kolei ja wiem na pewno.

— Nie mówiąc o tym. ze jego żoną była Bene Gesserit, zamordowana przez Harkannenów—powiedziała Jessika.

— Więc to tak z nią było...

— Nie słyszałeś nienawiści w jego głosie, gdy wymawia imię Harkonnenów? — spytała Jcssika.

— Wieś/, że nie mam ucha.

— Co ściągnęło na mnie to,podłe podejrzenie? — spytała.

— Stawias/ pani swego sługę w sytuacji bez wyjścia. Jestem lojalny przede wszystkim wobec księcia.

— Gotowa jestem wiele wybaczyć z powodu tej lojalności — rzekła.

— I znowu muszę zapytać: czy jest coś dp wybaczania?

— Pat? — zapytała.
Wyruszył ramionami.

— Pomówmy więc przez chwilę o czym innym — powiedziała. — Duncan Idaho. wspaniały wojownik, którego talenty do ochrony i inwigilacji są w takiej cenie. Dziś w nocy pr/eholował / c/ymś. co nazywają piwem pr/yprawnym. Otrzymuję raporty. że inni nasi lud/ie również doprawiają się tą miksturą. Czy to prawda?

— Masz swoje raporty, moja pani.

— Ano mam. Czy nie uważasz tego picia za symptomatyczne, Thufir?

— Moja pani mówi zagadkami.

— To wykorzystaj swoje zdolności mentackie — rzuciła sucho. — Co jest z. Duncanem i resztą? Mogę c[powiedzieć w czterech słowach: oni nie mają domu.
Wycelował palec w podłogę.

— Arrakis, oto ich dom.

— Arrakis to niewiadoma! Ich domem był Kaladan, aleśmy ich wyrwali z korzeniami. Oni nie mają domu. l boją się, że książę ich zawodzi.
Zesztywniał.

— Takie słowa w ustach któregoś z moich ludzi stanowiłyby wystarczający powód do...

— Och, przestań. Thufir. Czy to defetyzm albo zdrada ze strony lekarza, jeśli stawia właściwą diagnozę? Moją jedyną intencją jest wyleczenie choroby.

— Mnie książę poruczył takie sprawy.

— Ale rozumiesz, chyba, że i ja żywię pewne dość oczywiste zainteresowanie postępami tej choroby — powiedziała. — A może nawet przyznasz mi pewi^c zdolności w tej materii.

C/y będę zmuszona wstrząsnąć nim ostro? — zastanawiała się. —-Potrzebny mu solidny wstrząs, coś, co go wysadzi z siodła.

— Różnie można sobie tłumaczyć powody twugo zainteresowania — Hawat wzruszył ramionami.

— Więc już mnie skazałeś?

— Skądże znowu, moja pani. Ale nie mogę sobie pozwolić na żadne ryzyko w naszej obecnej sytuacji.

— Wrogowie mego syna przeniknęli pod twoim nosem do samego domu — powiedziała. — Kto wtedy ryzykował?
Krew napłynęła mu do twarzy.

— Złożyłem księciu rezygnację.

— A mnie czy złożyłeś rezygnację... albo Paulowi?
Teraz był otwarcie rozdrażniony, co zdradzał przyspieszony oddech, rozdęte nozdrza, nieustępliwe spojrzenie. Widziała.,bicie pulsu na jego skroni.

— Jestem człowiekiem księcia — wycedził.

1— Nie ma zdrajcy — powiedziała. — Grozi nam coś innego. Może ma to jakiś związek z rusznicami laserowymi. Może oni zaryzykują i parę rusznic z. mechanizmami zegarowymi wymierzą z ukrycia w tarcze pałacowe. Może.^.

— A kto by po odpaleniu odróżnił, czy nie była to eksplozja jądrowa? — zapytał. — Nie. moja pani. Oni nie zaryzykują nic aż tak nielegalnego. Promieniowanie zostaje. Trudno zatrzeć ślady. Nie. Oni nie naruszą podstawowych konwencji. To

musi być zdrajca."

— Jesteś człowiekiem księcia — powiedziała, z szyderczym uśmiechem. — Chciałbyś go zniszczyć próbując go ocalić?

Odetchnął głęboko i dopiero potem odpowiedział:

— Jeśli jesteś niewinna, przyjmij moje najpokorniejsze przeprosiny.

— Spojrzyjmy teraz na ciebie, Thufir — powiedziała. — Człowiek cieszy się życiem, kiedy ma swoje miejsce, kiedy wie, gdzie jest jego miejsce w porządku wszechrzeczy. Zniszczyć miejsce, to zniszczyć człowieka. Spośród wszystkich tych. co kochają księcia. Thufir, nam dwojgu najłatwiej jest zniszczyć sobie to miejsce nawzajem. Czyż nie mogłabym podejrzeń pod twoim adresem wyszeptać księciu w nocy do ucha? W chwili, kiedy byłby najpodatniejszy na takie szepty, Thulir? Czy muszę ci to jaśniej zobrazować?

— Grozisz mi?— warknął.

— — Skądże znowu. Ja po prostu zwracam twoją uwagę, że ktoś atakuje porządek naszego życia. Sprytnie i diabolicznie. Proponuję odeprzeć ten atak wprowadzając taki ład do naszego życia, by tego rodzaju ciernie nic znalazły w nim najmniejszej szczeliny. \ - ,

— Oskarżasz mnie o rozsiewanie szeptem bezpodstawnych podejrzeń?

— Bezpodstawnych, tak.

— I odpowiesz kontrszeptami?

— To twoje życie składa się z szeptów, nie moje, Thufir.

— Więc podajesz w wątpliwość moje kwalifikacje?
Westchnęła.

— Thufir, chcę. abyś przeanalizował swoje emocjonalne zaangażowanie w (ę sprawę. Człowiek jest z natury zwierzęciem bez logiki. Twoja projekcja logiki na wszystkie sprawy jest nienaturalna, ale niestety nieodzowna z racji swej użyteczności. Jesteś ucieleśnieniem logiki, mentatem. Jednakże twoje rozwiązania problemów to kon-

cepcje w bardzo dosłownym sensie wyrzucane przez ciebie na zewnątrz, gdzie trzeba je gruntownie badać, roztrząsać i prześwietlać ze wszystkich stron.

— Chcesz mnie teraz uczyć mego fachu? — spytał nawet nie starając się ukryć lekceważenia w głosie.

— Cokolwiek jest poza tobą, możesz to zobaczyć i zastosować do tego swoją logikę — powiedziała. — Lecz taki już mamy charakter, że przy zetknięciu z problemami osobistymi okazuje się, iż te najintymniejsze sprawy jest nam najtrudniej wydobyć na światło naszej logiki. Zaczynamy się plątać i winimy wszystko prócz rzeczywistego mola, który tkwi gdzieś głęboko i nas gryzie.

— Usiłujesz z premedytacją podkopać we mnie wiarę w moje możliwości mentata — wychrypiał. — Gdybym przekonał się, że któryś z naszych ludzi próbuje tą metodą sabotować obojętne jaką broń z naszego arsenału, zdemaskowałbym go i zabił bez wahania.

— Najlepsi mentaci przejawiają zdrowy respekt dla współczynnika błędu w swych obliczeniach — rzekła.

— Nigdy nie twierdziłem inaczej!

— Więc nie lekceważ symptomów, jakie oboje widzimy: pijaństwo wśród ludzi, kłótnie — plotkują i rozsiewają niesamowite pogłoski o Arrakis; ignorują najprostsze...

— Bezczynność, nic więcej — rzekł Hawat. — Nie staraj się odwrócić mojej uwagi próbując z prostej rzeczy robić tajemnicę.

Przyglądała mu się myśląc o żołnierzach księcia w koszarach, o ludzkich niedolach ocierających się o siebie, tak że powstawało niemal wyczuwalne napięcie i zapach jak z przepalonej izolacji. Upodabniają się do żołnierzy z przedgildyjskiej legendy — myślała. — Jak żołnierze zagubionego łowcy gwiazd Ampolirosa, przykuci do swych dział, wiecznie w pościgu, wiecznie w pogotowiu i wiecznie nie przygotowani.

— Dlaczego nigdy nie wykorzystałeś w pełni moich umiejętności w swej służbie dla księcia? — zapytała. — Obawiasz się rywala?

Wlepił w nią rozpalone spojrzenie starczych oczu. - •

— Wiem co nieco o szkoleniu, jakie przechodzicie wy, Bene Gesserit...
Urwał nachmurzony.

— Śmiało, dokończ — powiedziała — wiedźmy Bene Gesserit.

— Wiem co nieco o prawdziwym szkoleniu, jakie przechodzicie — podjął. — Widzę, jak to wyłazi z Paula. Nie dam .się nabrać na to, co wasze szkoły głoszą publicznie: że istniejecie, by tylko służyć.

Wstrząs musi być gwałtowny i on już prawie do tego dojrzał — pomyślała.

— Słuchasz mnie uważnie w Radzie — powiedziała — a jednak rzadko liczysz się z moimi opiniami. Dlaczego?

— Nie ufam motywom waszej Bene Gesserit..Możesz sobie myśleć, że potrafisz przejrzeć człowieka na wylot, możesz sobie myśleć, że potrafisz zmusić człowieka, by zrobił dokładnie to, czego ty...

— Jesteś nieszczęsnym głupcem, Thufir! — wybuchnęła. — Prawda .dalece przekracza wszelkie pogłoski o naszych szkołach, jakie dotarły do twych uszu. Jeśli zechcę

zniszczyć księcia... lub ciebie, lub inną dowolną osobę w zasięgu mej ręki, nie powstrzymasz mnie przedtym. » '

Dlaczego pozwalam, by pycha dyktowała mi takie słowa? — pomyślała. — Nie tak mnie szkolono. Nie tak miałam nim wstrząsnąć.

Hawat wsunął dłoń pod bluzę i dotknął miniaturowego wyrzutnika zatrutych bolców. Nie nosi tarczy — pomyślał. — Czy to brawura z jej strony? Mógłbym ją teraz zabić...ale, aaach, jakież konsekwencje, gdybym się mylił.

Jessika widziała ruch jego ręki w stronę kieszeni. Powiedziała:

— Módlmy się, by nigdy nie było między nami gwałtu.
, — Słuszna modlitwa — zgodził się.

— Tymczasem szerzy się wśród nas choroba — rzekła. — Muszę zapytać cię ponownie: czy nie sensowniej posądzać Harkonnenów, że to oni zasiali owo podejrze-

nie, by nas skłócić?

— Wygląda na to, że znów wróciliśmy do pata — odparł Hawat.
Westchnąwszy pomyślała: prawie do tego dojrzał.

— Książę i ja jesteśmy namiastką ojca i matki dla naszych ludzi — powiedziała. — Taka pozycja... ,

— Nie poślubił cię — rzekł Hawat. ' ^- .

Zmusiła się do zachowania spokoju, przyznając w duchu: dobra riposta.

— Alę nie poślubi żadnej innej — odparła. — Tak długo, dopóki ja żyję. I jesteśmy tą namiastką, jak powiedziałam. By zburzyć ów naturalny porządek naszego życia, by go zakłócić, zniszczyć nas i ogłupić — kto stanowi najponętniejszy cel dla Harkonnenów?

Wyczuł, do czego zmierza, ściągnął brwi w ponurym grymasie."

— Książę?— zapytała. — Atrakcyjny cel, owszem, ale nikt, z wyjątkiem być może Paula, nie jest lepiej strzeżony. Ja? Kuszę ich niewątpliwie, ale muszą wiedzieć, że Bene Gesserit są trudnymi celami. I że jest cel lepszy, ktoś, czyje obowiązki, siłą rzeczy tworzą monstrualną, ślepą plamkę. Ktoś, dla kogo podejrzliwość jest czymś rów-. nie naturalnym jak oddychanie. Ktoś, kto całe swoje życie opiera na insynuacji i tajemnicy. — Wystrzeliła ku niemu prawą dłoń. — Ty!

Hawat poderwał się z krzesła.

— Nie odprawiłam cię, Thufir! — wybuchnęła.
Stary mentat niemalże zwalił się z powrotem na krzesło, tak raptownie mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa.
Uśmiechnęła się niewesoło.

— Teraz wiesz co nieco o prawdziwym szkoleniu, jakie przechodzimy — powiedziała.

Hawat starał się przełknąć ślinę, której nie miał w gardle. Jej rozkaz był królewski, nieodwołalny; nadała mu ton i modulację, której absolutnie nie sposób się było oprzeć. Usłuchał, zanim reakcja ciała doszła do jego mózgu. Nic nie mogło powstrzymać tej reakcji — ani logika, ani ogień gniewu... nic. To, co ona zrobiła, świadczyło o zmysłowej, intymnej znajomości osoby, do której skierowano rozkaz, o dominacji tak głębokiej, jakiej istnienie wydawało mu się niemożliwe.

— Powiedziałam ci uprzednio, że powinniśmy zrozumieć się nawzajem — rzekła. — Miałam na myśli, że to ty winieneś zrozumieć mnie. Ja ciebie już rozumiem. I powiem ci teraz, że twoja lojalność wobec księcia to jedyne, co zapewnia ci bezpieczeństwo z mojej strony.

Zwilżył językiem wargi nie spuszczając z niej oczu.

'— Gdybym chciała mieć marionetkę, książę by mnie poślubił — powiedziała. — Nawet mogłob}, mu się wydawać, że zrobił to z własnej nieprzymuszonej woli.

Hawat spuścił głowę; patrzył ku górze przez rzadkie rzęsy. Jedynie żelazna siła woli powstrzymywała go od wezwania straży. Żelazna siła woli... i teraz już podejrzenie, że ta kobieta może do tego nie dopuścić. Skóra mu cierpła, gdy wspominał, jak ona nim zawładnęła. W chwili takiego wahania mogła dobyć broni i zabić! Czy każdy człowiek ma taką ślepą plamkę? — zastanawiał się. — Czy każdego z nas można zmusić do działania, zanim potrafimy stawić opór? Ta myśl przyprawiła go o zawrót gło-

wy. Kto powstrzymałby osobę obdarzoną taką siłą?

— Mignęła ci pięść w rękawiczce Bene Gesserit — powiedziała. — Niewielu z tych, co ją widzieli, żyje. A to, co zrobiłam, jest dla nas rzeczą dość trywialną. Nie znasz całego mojego arsenału. Zastanów się nad tym.

— Dlaczego więc nie pójdziesz zniszczyć wrogów księcia? — zapytał. -

— Co chcesz, żebym zniszczyła? Chciałbyś, żebym zrobiła z naszego księcia kalekę, żeby wiecznie opierał się na mnie, jak na kuli? .

— Ale z taką władzą...

— Władza to obosieczny miecz, Thufir — powiedziała. — Myślisz: jakże jej łatwo posłużyć się człowiekiem jako narzędziem do zadania ciosu w samo serce wroga. Tak,' Thufir, nawet w twoje serce. Cóż bym jednak osiągnęła? Gdyby Bene Gesserit tego nadużywały, czyż wszystkie nie były by-podejrzane? Nie chcemy tego. Thufir. Nie chcemy same się zgubić. — Pokiwała głową. — My naprawdę istniejemy tylko po to, by .służyć.

—.Nie potrafię ci odpowiedzieć — rzekł. — Wiesz, że nie potrafię.

— Nic powiesz nikomu ani słowa o tym. co tu zaszło. To wiem, Thufir.

— Moja pani... — Stary człowiek enowu próbował przełknąć ślinę. Pomyślał:

Ma ogromne moce, zgoda. Ale czy te moce nie zrobiłyby z niej jeszcze groźniejszego narzędzia Markonnenów?

, — Przyjaciele mogą zniszczyć księcia równie szybko, jak jego wrogowie — powiedziała. — Ufam, że teraz dotrzesz do sedna tego podejrzenia i usuniesz je.

— Jeśli okaże się bezpodstawne.

— Jeśli — zadrwiła.

— Jeśli — powtórzył.

— Jesteś uparty.

— Ostrożny — powiedział — i świadom współczynnika błędu.

— Więc zadam ci nową zagadkę. Co oznacza według ciebie, że stoisz przed drugim człowiekiem, związany i bezbronny, i ten drugi człowiek trzyma nóż na twoim gardle — a jednak wstrzymuje się od zabicia ciebie, uwalnia cię z więzów i daje ci nóż, byś go użył wedle własnego życzenia? — Podniosła się z fotela i odwróciła do niego plecami. — Możesz już odejść, Thufir.

T

Stary mentat wstał, niepewnie przesuwając dłoń ku śmiercionośnej broni pod bluzą. Przypomniała mu się arena i ojciec księcia (który był odważny, cokolwiek by o nim powiedzieć), i pewna korrida dawno temu: dzika, czarna bestia z pochyloną głową, nieruchoma i ogłupiała. Stary Książę odwrócił się plecami do rogów, z muletą elegancko przerzuconą przez ramię, podczas gdy z lóż sypyły się owacje. Byk to ja, a ona jest matadorem — pomyślał Hawat. Cofnął rękę. spojrzał na lśniącą od potu pustą dłoń. I wiedział, że bez względu na ostateczną wymowę faktów nigdy nie zapomni tej chwili ani nie straci uczucia najwyższego podziwu dla lady Jessiki. Odwrócił się i bezszelestnie opuścił pokój.

Jessika przesunęła wzrok z odbicia w szybie okna, odwróciła się i wpatrzyła w zamknięte drzwi.

— Teraz się zacznie — wyszeptała. '

Czy walczysz z marami?
Czy wojujesz z cieniami?
Czy poruszasz się jak we śnie?
Czas się oddalił.
Życie ci skradli.
Wszystkoś zmarnotrawił.
Twój obłęd cię zabił.

Ltimem / popi/ebu Dramis.i na Równinie Żałobnej wnilug .Pieini Mudd'Dib,i' /chr.myi.h pi/LY lsiężmc7kę Iruldn

Leto przystanął w foyer swego dworu studiując bilecik w świetle osamotnionej lampy dryfowej. Do świtu brakowało jeszcze paru godzin, a, zmęczenie dawało o sobie znać. Fremeń&ki goniec dostarczył bilecik na odwach właśnie w chwili, kiedy książę przzvbvl ze stanowiska dowodzenia. Bilecik mówił:

' „Słup dymu dniem, kolumna ognia nocą".-Podpisu nie było. Co to znaczy? — zastanawiał się. Goniec zniknął nie czekając na odpowiedz, /anim można go było wypytać. Wsiąkł w noc niby czarny dym. Leto wepchnął kaitkę do kieszeni bluzy zamierzając pokazać ją później Hawatowi. Odgarnął kosmyk włosów z czoła, z westchnieniem wciągnął powietrze. Pigułki przeciw zmęczeniu przestawały działać. Od bankietu minęły dwa długie dni;- a jeszcze więcci od ostatniego snu. Do wszystkich kłopotów wojskowych doszła niepokojąca ses|a z Hawatem. jego sprawozdanie ze spotkania z Jcssiką.

Mam obudzić Jessikę? — bił się z myślami. — Nic ma sensu bawić się z nią dalej' w ciuciubabkę. A może jednak? Niech go diabli, lego cholerę Duncana Idaho! Pokręcił głową. Nie. nic Duncana. Zrobiłem głupstwo nie zwierzając się od razu Jcssice z tajemnicy. Muszę to zrobić teraz, zanim stanic się coś gorszego. Decyzja poprawiła mu samopoczucie i z foyer pośpieszył przez Wielką Salę i koniarze do skrzydła mieszkalnego rodziny. Zatrzymał się na zakręcie, tam gdzie korytarz rozwidlał się ku pomieszczeniom służby. Gdzieś z korytarza służbowego doleciało osobliwe kwilenie. Leto położył lewą dłoń na wyłączniku tarczy w pasie, wsunął chandzar do prawe). Nóż przywrócił mu poczucie pewności siebie. Niesamowity dźwięk przeszywał dreszczem.

Klnąc niedostateczne oświetlenie książę po cichu zagłębiał się w służbowy korytarz. Co jakieś osiem metrów wisiały w nim najmniejsze z dryfówek przygaszone do minimum. Ciemne kamienie murów pochłaniały światło. '

Z mroku przed nim wyłonił się niewyraźny, rozmazany po podłodze kleks. Leto przystanął, o mało nie włączając tarczy, powstrzymał się jednak, by nie krępować sobie ruchów i nie przytępiać słuchu... a poza tym przechwycenie transportu rusznic laserowych napełniło go nie rozwianymi ciągle wątpliwościami. ' •

'Bezgłośnie zbliżył się do szarego kleksa, zobaczył, że to ludzka postać, mężczyzna, obrócony twarzą do posadzki. Leto odwrócił go stopą, z nożem w pogotowiu, i nachylił się blisko, by dojrzeć rysy w nikłym świetle. To był ten przemytnik. Tuek, z wilgotną plamą na piersi. Z martwych źrenic wyzierała ciemna pustka. Leto dotknął plamy — była ciepła. Jak mógł tutaj zginąć ten człowiek? — zadawał sobie pytanie. Kto go zabił?

Kwilący dźwięk rozlegał się tu głośniej. Dochodził z przodu, z głębi odgałęzienia korytarza prowadzącego do siłowni, gdzie mieścił się generator głównej tarczy

pałacu. Z dłoriią na wyłączniku w pasie, z wysuniętym chand^.arem, książę wyminął
ciało, zapuścił się w korytarz i zza rogu wyjrzał w stronę siłowni generatora tarczy.

Parę kroków od niego widniał rozlany na podłodze drugi kleks. Książę od razu
zorientował się, że ma przed sobą źródło hałasu. Kształt pełznął ku niemu z bolesnym
mozołem, dysząc ciężko i coś mamrocząc. Leto stłumił nagły skurcz strachu, prze-
mknął do' bocznego korytarza i kucnął przy czołgającej się postaci. Była to Mapes,
fremeńska ochmistrzyni, z ubraniem w nieładzie, z włosami rozsypanymi po twarzy.
Zmatowiały połysk ciemnej plamy rozszerzał się z pleców na bok. Książę dotknął jej
ramienia i Mapes uniosła się na łokciach, z odchyloną głową przyglądając mu się ocie- "
nionymi czernią źrenicami bez wyrazu.

— To ty... — wydyszała. — Zabił...strażnika...posłano... wezwać.,.Tueka...ucie-
kaj...moja pani...ty...ty...tutaj...nie...

Zwaliła się na twarz, aż jej głowa" zadudniła o kamienie. Leto poszukał palcami
pulsu na skroni. Nie znalazł. Spojrzał na plamę: Mapes dźgnięto w plecy. Kto? Przeży-
wał gonitwę myśli. Czy chciała mu powiedzieć, że ktoś zabił strażnika? A Tuek...czy
Jessika posłała po Tueka? Po co?

Zaczął się podnosić. Ostrzegł go szósty zmysł. Śmignął ręką do wyłącznika tar-
czy — za późno. Paraliżujący wstrząs odrzucił mu rękę na bok. Poczuł w niej ból, zo-
baczył sterczący z rękawa bolec, wyczuwał porażenie rozchodzące się stamtąd w górę
ramienia. Z bolesnym wysiłkiem uniósł głowę spoglądając w głąb korytarza. W otwar-
tych drzwiach siłowni stał Yueh. Twarz świeciła mu żółtym odblaskiem pojedynczej,
jaśniejszej dryfówki nad drzwiami. Cicho było w pokoju za jego plecami — żadnego
szmeru generatorów.

Yueh! — pomyślał Leto. — Dokonał sabotażu pałacowych generatorów! Jesteś-
my bezbronni. Yueh począł się zbliżać do niego wsuwając do kieszeni bolcówkę. Leto
stwierdził, że może jeszcze mówić, wydyszał:

— Yueh! Jakim cudem? ,

Po czym paraliż dosięgnął jego nóg i Leto osunął się na podłogę, podpierając ple-
cami kamienną ścianę. Twarz Yuego nosiła wyraz smutku, kiedy pochylał się i doty-

kał czoła Leto. Książę zorientował się, że odczuwa dotknięcie, ale jakże dalekie...przy-
tępione.

— Narkotyk w bolcu działa selektywnie — powiedział Yueh. — Możesz mówić
jakkolwiek ci to odradzam.

Zajrzał w głąb korytarza i znowu nachylił się nad Leto, wyciągnął bolec, odrzu-
cił go na bok. Brzęk bolca na kamieniach był nikły i odległy dla uszu księcia. To nie
może być Yueh — pomyślał książę. — On jest uwarunkowany.

— Jak? — szepnął Leto. , •

— Przykro mi, mój drogi książę, ale istnieją sytuacje, których nakazy są silniejsze
od tego. — Dotknął wytatuowanego rombu na czole. — Mnie samego zadziwia to
przełamanie mojej piroświadomości, lecz pragnę zabić człowieka. Tak, rzeczywiście
. tego pragnę. Nie cofnę się przed niczym, aby dopiąć swego. — Spojrzał z góry na księ-
cia. — Och, nie ciebie, mój drogi książę. Barona Harkonnena. Ja pragnę zabić barona.

— Bar...ona Har...

— Cicho bądź, proszę, mój biedny książę. Nie mam wiele czasu. Tamten kieł,
który wstawiłem ci po upadku w Narcel — otóż ten kieł musimy wymienić. Za chwi-

lę uśpię cię i wymienię ten ząb. — Otworzył dłoń i wpatrzył się w coś leżącego na niej. — To idealny duplikat; nader kunsztownie nadano jego rdzeniowi kształt nerwu. Ujdzie zwykłym wykrywaczom, a nawet powierzchownemu badaniu. Lecz jeśli go mocno przygryźć, trzaśnie korona. Potem wystarczy silnie dmuchnąć i powietrze wokół nas wypełnia się trującym gazem, śmiertelnie trującym.

Spoglądając w górę na Yuego widział Leto szaleństwo w oczach mężczyzny, krople potu na jego czole i brodzie.

— I tak śmierć ci pisana, mój biedny książę — mówił Yueh. — Ale zanim umrzesz, zbliżysz się do barona. On będzie myślał, że jesteś oszołomiony narkotykami, i wykluczy ostatnią próbę ataku z twojej strony. I będziesz oszołomiony —i związany. Ale atak może przybierać przedziwne formy. A ty będziesz pamiętał o tym zębie. O zębie, książę Leto Atrydo. Będziesz pamiętał o zębie.

Stary doktor pochylał się coraz niżej i niżej, aż wreszcie jego twarz i obwisłe wąsy przesłoniły wąskie pole widzenia Leto.

— Ząb — szepnął Yueh.

— Dlaczego? — wyszeptał Leto.
Yueh opadł przy księciu na kolano.

— Dobiłem szejtańskiego targu z baronem. I muszę mieć pewność, że on dotrzymał swojej części umowy. Kiedy się z nim zobaczę, będę wiedział. Kiedy spojrzę na barona, będę wiedział. Ale ja nigdy nie stanę przed jego obliczem bez okupu. Ty jesteś tym okupem, mój biedny książę. I będę wiedział, kiedy go zobaczę. Mój.. biedna Wanna nauczyła mnie wielu rzeczy, a jedną z nich jest dostrzeganie nagiej prawdy w chwilach wielkiego napięcia. Nie umiem tego robić za każdym razem, lecz gdy zobaczę barona — będęwiedział.

Leto starał się spojrzeć w dół na ząb w dł(f>ni Yuego. Miał wrażenie, że to się dzieje w koszmarze sennym — to nie mogła być jawa. Purpurowe wargi Yuego wykrzywiły się ku górze.

— Ja się nie znajdę dostatecznie blisko barona, inaczej sam bym to zrobił. O, nie.

Zatrzymają mnie w bezpiecznej odległości. Lecz ty...ach, otóż to! Ty, moja cudowna broń! Będ/ie chciał mieć cię blisko, potriumfować nad tobą, popysznić się nieco.

Leto czuł się niemal zahipnotyzowany widokiem mięśnia z lewej strony szczęki Yuego. Mięsień skręcał się przy każdym słowie mężczyzny. Yueh nachylił się niżej.

— A ty, mój poczciwy książę, mój drogocenny książę, ty musisz pamiętać o tym zębie. — Pokazał go trzymając między kciukiem a palcem wskazującym. — On jest wszystkim, co ci pozostało.

Usta Lcto poruszyły sr(bezgłośnie, znowu spróbowały:

— Odmawiam.

— Aach, nic! Nie możesz odmówić! Ponieważ w rewanżu za tę drobną przysługę ja zrobię coś dla ciebie. Ocalę twojego synu i twoją kobietę. Nikt inny tego nie dokona. Można ich wysłać w takie miejsce, gdzie żaden Harkonnen ich nie dosięgnie.

— Jak...ich...ocalić? — wyszemrał Leto.

— Zrobić tak, by wydawało się, że nie żyją, ukryć ich wśród ludzi, którzy dobywają noża na dźwięk imienia Harkonnen. którzy nienawidzą Harkonncnów tak bar-

dzo, że spalą krzesło, na którym siedział Harkonnen, zasolą ziemię, po której Harkonnen przeszedł. — Dotknął szczęki Leto. — Czujesz tam cokolwiek?

Książę stwierdził, że nie może odpowiedzieć. Odczuł dalekie szarpnięcie, zobaczył dłoń Yuego unoszącą do góry książęcy sygnet.

— To dla Paula — powiedział Yueh. — Niebawem stracisz przytomność. Żegnaj, mój biedny książę. Kiedy się spotkamy następnym razem, nie będziemy mieli czasu na rozmowę.

Chłodna drętwota rozeszła się od szczęki po policzkach Leto. Mroczny korytarz skurczył się do rozmiarów czubka szpilki z ześrodkowaną w nim purpurą warg Yuego.

— Pamiętaj o zębie! — syknął Yueh. — Ząb!

Powinna istnieć szkolą goryczy. Ludziom potr/cba cii;żkit'i;o życia i ucisku, zęby nabrali

tężyzny psvchic7.ncj. . ... • , . . ,,,
• ' - - • y „Myśli rchr.inych Mii.nl Ilihii" w (ipr.n.'i»>,]niii kMi;/nic/ki Iniliin

Jessika przebudziła się pośród ciemności, wyczuwając ostrzeżenie w otaczającej ją martwocie. Nic mogła zrozumieć, dlaczego jej duch i ciało są takie niemrawe. Ciarki strachu przebiegały jej po nerwach. Chciała usiąść i zapalić światło, ale coś jakby odwlekało decyzję. Własne usta wydawały się jej...obce.

Lup-łup-łup-łup! — Stłumiony dźwięk bez kierunku w tej ciemności. Nie wiadomo gdzie. Moment wyczekiwania był nabrzmiały czasem, szelestem drgnień kąśliwych jak igły. Zaczęła odczuwać swoje ciało, zdała sobie sprawę z więzów na kostkach i nadgarstkach, z knebla w ustach. Leżała na boku, z rękami związanymi na plecach. Zbadała więzy, zrozumiała, że to włókno krimskellowe. że tylko zakleszczą się mocniej od jej szarpania. I wreszcie przypomniała sobie. Coś się poruszyło w ciemności jej sypialni, coś mokrego i gryzącego chlusnęło jej w twarz, wypełniło usta; pochwyciły ją jakieś ręce. Nabierając tchu — jeden wdech — wyczuła w wilgoci narkotyk. Świadomość uchodziła, pogrążając ją w czarnym pudle przerażenia.

Stało się — pomyślała. — Jakże łatwo było pokonać Bene Gesserit. Wystarczy-

ta tylko zdrada. Hawat miał rację. Pilnowała się, by nie naprężać więzów. — To nic jest moja sypialnia — myślała. Przenieśli mnie gdzieś indziej. — Z wolna wzięła się w garść. Dotarł do niej zapach jej własnego kwaśnego potu. z chemiczną-przymieszką trwogi. .

Gdzie jest Pauł? —zapytała samą siebie. — Mój syn — co-z nim zrobili?

Spokój.

Narzuciła go sobie za pomocą starożytnych praktyk. Lecz przerażenie pozostało, jakże blisko. Leto? Gdzie jesteś, Leto?

Wyczuła ubywanie ciemności. Rozpoczęło się od cieni. Wymiary rozdzieliły się. zamieniając w nowe ciernie świadomości. Biel. Szpara pod drzwiami.

Leżę na podłodze. Ktoś chodzi. Wyczuła to przez podłogę. Jessika zdusiła w sobie wspomnienie strachu. — Muszę zachować spokój, czujność, gotowość. Być może będę miała tylko jedną szansę. — Znów narzuciła sobie wewnętrzny spokój. Bezładne bicie serca wyrównało się. kształtując czas. Odliczyła w tył. Byłam nieprzytomna z godzinę. Zamknęła oczy skupiając uwagę na zbliżających się krokach. Czterech ludzi. Odmierzała różnice w ich krokach. Muszę udawać, że nadal jestem nieprzytomna. Rozluźniła się na zimnej podłodze badając gotowość swego ciała; usłyszała otwiera- "

nie drzwi i przez powieki wyczuła dopływ światła. Kroki przybliżyły się: ktoś nad nią stał.

— Obudziłaś się — zahuczał basowy głos. — Nie udawaj.

Otworzyła oczy. Stał nad nią baron Vladimir Harkonnen. Rozpoznała piwniczne pomieszczenie, w którym sypiał Paul. pod ścianą zobaczyła jego łóżko — puste. Strażnicy wnieśli lampy drytbwe, rozmieścili je w .pobliżu otwartych drzwi. Za nimi jarzyło się światło'w korylarzu kłując ją w oczy. Podniosła spojrzenie na barona. Miał na sobie żółtą pelerynkę wzdymającą się na przenośnych dryfkach. Tłuste policzki cherubina wydymały się jak dwa jabłka pod czarnymi oczami pająka. "

— Czas działania narkotyku był wyliczony — zadudnił. — Wiedzieliśmy, kiedy zaczniesz z tego wychodzić, co do minuty.

Jak to możliwe? — zdziwiła się. — Musieliby znać dokładnie moją wagę, mój metabolizm. moje...Yueh! .

— Jaka szkoda, że musisz pozostać zakneblowana — powiedział baron. — Moglibyśmy odbyć jakże interesującą rozmowę. \
To mógł być tylko Yueh — pomyślała. — Jakim cudem?
Baron zerknął przez ramię na drzwi.

— Wejdź, Piter.

Nigdy przedtem nie spotkała mężczyzny.'który stanął przy baronie, ale twarz była jej znajoma — i człowiek też: Piter de Vries, mentat — assassin. Przyglądała mu się uważnie — jastrzębie rysy, atramentowobłękitne oczy, wskazujące na pochodzenie z Arrakis. czemu przeczyły jednak subtelności w sposobie poruszania się i postawie. I ciało zbytnio nasycone wodą. Był wysoki, lecz szczupły, a coś nieuchwytnego w nim nasuwało myśl o zniewieściałości.

— Jaka szkoda, że nie możemy odbyć rozmowy, mojfa droga lady Jessiko — powiedział baron. — Jednakże jestem świadom twoich talentów. — Spojrzał na mentata. — Nieprawdaż, Piter?

— Jako rzeczesz, baronie — odparł mężczyzna
Głos był tenorowy. Poraził jej stos pacierzowy falą zimna. Nigdy nie słyszała tak zimnego głosu. Do każdej Bene Gesserit głos ten wołał: „morderca!"

— Przygotowałem dla Pitera niespodziankę — rzekł baron. — On myśli, że przyszedł tu po odbiór swojej nagrody — ciebie, lady Jessiko. Aleja pragnę coś zademonstrować: że tak naprawdę to on ciebie nie chce.

— Igrasz ze mną, baronie? — spytał Piter i uśmiechnął się.

Na widok tego uśmiechu Jessikę zdumiało, że baron nie wyciąga noża w obronie przed owym Filerem. Po chwili poprawiła się. Baron nie mógł odczytać tego. uśmiechu. Nie miał za sobą szkolenia.

— Pod wieloma względami Piter jest naiwny jak dziecko — powiedział baron. — Nie przyjmie do wiadomości, co z ciebie za śmiertelnie niebezpieczne stworzenie, lady Jessiko. Pokazałbym mu, ale byłaby to lekkomyślność — baron uśmiechnął się do Pitera, którego twarz przybrała wyczekującą maskę. — Ja wiem, czego Piter chce naprawdę. Piter chce władzy.
n — Obiecałeś, że mogę sobie wziąć tę kobietę — powiedział Piter.

Tenorowy głos stracił nieco ze swej chłodnej rezerwy. Jessika uchwyciwszy tonację głosu mężczyzny poddała się wewnętrznemu drżeniu. Jak baron mógł zrobić

takie zwierzę ze swego mentata? .

— Daję ci wybór, Piter — rzekł baron. , •

— Jaki wybór?

Baron pstryknął tłustymi paluchami.

— Ta kobieta i wygnanie poza Imperium albo władasz w moim imieniu Ątrydzkim Księstwem Arrakis według swych upodobań.

Jessika obserwowała pajęcze oczy barona świdrujące Pitera.

— Mógłbyś zostać tu księciem we wszystkim, prócz tytułu — powiedział baron.
Czy zatem mój Leto nie żyje? — pomyślała Jessika. Czuła, jak bezgłośny lament wzbiera gdzieś w jej mózgu. Baron nie spuszczał oczu z mentata.

— Zrozum siebie, Piter. Chcesz jej, ponieważ była kobietą księcia, symbolem jego władzy: piękna, użyteczna, wysoce wyszkolona do swej roli. Ale całe księstwo, Piter! To więcej niż symbol, to rzeczywistość. Mając księstwo możesz mieć wiele kobiet... i coś więcej. „

—' Nie dworujesz sobie z Pitera?

Baron odwrócił się do niego z baletową gracją, jaką dawały mu dryfy.

— Dworuję? Ja? Pamiętaj: ja rezygnuję z chłopca. Słyszałeś, co zdrajca powiedział o jego edukacji. Oni są tacy sami — i matka, i syn — śmiertelnie niebezpieczni. — Baron uśmiechnął się. — Muszę już iść. Przyślę strażnika, którego zatrzymałem na tę chwilę. Jest głuchy jak pień. Będzie miał rozkaz konwojowania was przez pierwszy etap podróży na wygnanie. Zrobi porządek z tą kobietą, gdy zobaczy, że jej ulegasz. Nie pozwoli ci wyjąć jej knebla, dopóki nie opuścicie Arrakis. Jeżeli zdecydujesz się na pozostanie, ma inne rozkazy.

— Nie musisz odchodzić — powiedział Piter. — Ja już wybrałem.

— Cha! Cha! Cha! — zarechotał baron. — Tak prędka decyzja może oznaczać tylko jedno.

—; Wezmę księstwo — powiedział Piler.

Czy Piter nie wie, że baron go okłamuje? — myślała Jessika. — No tak, ale skąd może wiedzieć? Jest zdegenerowanym mentatem.
Baron spuścił wzrok na Jessikę.

— Czyż to nie cudowne, że znam tak dobrze^ Pitera? Założyłem się z moim zbrojmistrzem, że Piter wybierze księstwo. Ha! No, idę już. Tak jest lepiej. Ba, znacznie lepiej. Ty to rozumiesz, lady Jessiko? Nie żywię do ciebie urazy. To konieczność. Znacznie lepiej, że tak się stało. Tak. W gruncie rzeczy nie kazałem cię zlikwidować. Kiedy mnie zapytają, co się z tobą stało, wybrnę z tego za pomocą prawdy.

— Więc mnie to zostawiasz? —- spytał Piter.

— Strażnik, którego ci przysyłam, jest na twoje rozkazy — rzekł baron. Cokolwiek ma się stać, pozostawiam to tobie. — Utkwił wzrok w Piterze.' — Tak. Ja o niczym nie wiem. Zaczekasz, aż odejdę, zanim zrobisz to, co musisz zrobić. Tak. Cóż... ach, tak. Tak. Dobrze. . .

Boi się przesłuchania przez prawdomówczynię — pomyślała Jessika. — Którą?

Aaach, Matkę Wielebną Gaius Helen, rzecz jasna! Skoro wie, że musi stawić czoło jej pytaniom, to jak nic Imperator macza w tym palce. Aaach, mój nieszczęsny Leto! • . ,

Po raz ostatni baron rzucił okiem na Jessikę, 'odwrócił się i wymaszerował z piwnicy. Odprowadzając go wzrokiem pomyślała: Jest tak, jak przestrzegała Matka Wielebna — zbyt potężny przeciwnik.

Weszli dwaj harkonneńscy żołnierze. Za nimi trzeci z twarzą jak jedna wielka szrama. Zatrzymał się w drzwiach z laserową rusznicą w dłoni. To ten głuchy — pomyślała Jessika studiując pokrytą szramami twarz. — Baron wie, że mogłabym użyć Głosu na każdego innego człowieka. Szrama spojrzał na,Pitera.

— Na noszach przed drzwiami'mamy chłopaka. Co z nim zrobić?

Piter odezwał się do Jessiki: ,

— Zamierzałem trzymać cię w szachu tym, że mamy w rękach syna, ale zaczynam widzieć, że nic by z tego nie wyszło. Pozwoliłem, by emocje wzięły górę nad rozumem. Zła to polityka jak na mentata.

Spojrzał na dwóch pierwszych żołnierzy obracając się tak, by głuchy mógł Czytać z jego warg. ,

— Zabierzcie ich na pustynię, jak zdrajca radził zrobić z chłopcem. Jego pomysł jest dobry. Czerwie zniszczą wszelkie ślady. Ich ciała muszą zniknąć na zawsze.

— Nie chcesz ich sam załatwić? — zapytał Szrama.

Czyta z warg — pomyślała Jessika. /

— Biorę przykład z mojego barona — rzekł Piter. — Zabierzcie ich tam, gdzie mówił zdrajca. , ' - l .

Jessika złowiła chrapliwą, mentacką modulację w głosie Pitera. On też się boi prawdomówczyni — pomyślała. Piter wzruszył ramionami, odwrócił się i poszedł do wyjścia. Tam przystanął niezdecydowanie i Jessika sądziła, że zawróci, by spojrzeć na nią po raz ostatni, lecz on wyszedł nie obejrzawszy się za siebie.

— Co do mnie, to nie podoba mi się perspektywa spotkania z ową-prawdomówczynią po robocie tej nocy—powiedział Szrama.

i

— Masz słabe szansę nadziać się kiedykolwiek na tę starą jędzę — odparł jeden z dwójki żołnierzy.

Zaszedł Jessikę od głowy, pochylił się nad nią.

— Nie odwalimy roboty stojąc tutaj i trzaskając dziobami. Łap ją za nogi i...

— Czemu by nie zarżnąć ich tutaj? — zapytał Szrama.

— Za dużo babrania się. Chyba, że chcesz ich udusić. Ja to lubię czystą, prostą robotę. Wyrzucić ich na pustyni, jak mówił zdrajca, tu i ówdzie skaleczyć, zostawić dowody czerwiom. Żadnego potem sprzątania.

— Taak...dobra, chyba masz rację — stwierdził Szrama.

Jessika przysłuchiwała się im, patrząc, rejestrując. Lecz knebel blokował jej Głos i na dodatek trzeba było uwzględnić jednego głuchego. Szrama wsunął rusznicę do olstra, wziął Jessikę za nogi. Podnieśli ją jak worek mąki, przemanewrowali przez drzwi i cisnęli na podtrzymywane dryfową boją nosze z drugą spętaną postacią. Kiedy ją przekręcili układając na noszach, zobaczyła twarz swego towarzysza: Pauł! Był związany, ale bez knebla. Twarz jego znajdowała się nie dale] niż dziesięć centymetrów od jej twarzy, oczy miał zamknięte, oddech równy. Jest pod działaniem narkotyku — pomyślała. Żołnierze chwycili nosze i powieki Paula uniosły się na moment — ciemne szczeliny popatrzyły na nią. Oby tylko nie próbował Głosu! — modliła się. — Głuchy strażnik! Pauł zamknął oczy. Ćwicząc świadome oddychanie uspokajał swój umysł, słuchał zwycięzców. Ten głuchy stanowił problem, ale Pauł panował nad swoją rozpaczą. Uspokajający myśli rytuał Benc Ge.sserit wpojony mu przez matkę przywrócił równowagę i gotowość wykorzystania najmniejszej okazji. Szparkami oczu Pauł po raz drugi badał twarz matki. Wyglądało na to, że jest bez obrażeń, aczkolwiek zakneblowana. Zastanawiał się, kto mógł ją pojmać. Jego własne dostanie się do niewoli było całkiem proste — zasnął w łóżku z przepisaną przez Yuego tabletką, a obudził się przywiązany do tych noszy. Możliwe, że coś podobnego spotkało i ją. Logika wskazywała, że zdrajcą jest Yueh, ale wstrzymywał się z ostateczną decyzją. Trudno to było zrozumieć — doktor Akademii Suk zdrajcą.

Nosze przechyliły się z lekka, gdy żołnierze Harkonnenów lawirowali nimi w drzwiach wychodząc w rozgwieżdżoną noc. Dryfową boja zachrobotała o podjazd, po czym znaleźli się na piasku, który chrzęścił pod stopami. W górze zamajaczyło skrzydło ornitoptera przysłaniając gwiazdy. Nosze osiadły na ziemi. Źrenice Paula dostosowały się do nikłego światła. W człowieku, który otworzył drzwi ornitoptera i zaglądał do środka w zielony od iluminowanej tablicy przyrządów mrok, rozpoznał głuchego wojaka, i \

— To dla nas ten ornitopter? — spytał i odwrócił się, by zobaczyć wargi swego towarzysza. <

— To ten, co zdrajca powiedział, że jest przystosowany do łatania w pustyni — odpowiedział żołnierz.

Szrama pokiwał głową.

— Ale to jeden z tych łącznikowych liliputów. Nie więcej w nim miejsca"niż d)a nich i dwóch z nas.

— Dwóch wystarczy — powiedział noszowy podchodząc blisko i ukazując wyraźnie wargi. — Dalej już damy sobie radę, Kinel.

— Baron kazał mi się upewnić co do losu tych dwojga.

— O co was boli głowa? — odezwał się drugi żołnierz zza noszowego.

— To czarownica Bene Gessęrit — powiedział głuchy. — One posiadają wielkie moce. ^

— Aaach... — Noszowy zrobił znak pięści przy uchu. — To ona taka, hę? Wiem o co ci biega.

Żołnierz za jego plecami odchrząknął.

— Niezadługo będzie strawą czerwia. Myślę, że nawet czarownicy Bene Gessęrit zabraknie mocy na takiego dużego robala. Co, Czigo? — Szturchnął noszowego.

— Ano — przytaknął noszowy. Zawrócił do noszy, chwycił Jessikę za ramię.

— Chodź, Kinet. Możesz się zabrać, skoro chcesz się przekonać, jak to będzie.

— Miło, żeś mnie zaprosił, Czigo — powiedział Szrama.

Jessika poczuła, jak ją podnoszą, zawirował cień skrzydła, wyszły gwiazdy. Wepchnięto ją na tył ornitoptera, sprawdzono pęta z włókna krimskellowego i przymocowano pasami. Obok niej wciśnięto Paula, przywiązując go dokładniej: zauważyła, że jego więzy są ze zwyczajnego sznura. Szrama, ów głuchy, zwany Kinetem, zajął miejsce z przodu. Noszowy, ten którego wołali Czigo. przeszedł dokoła i zajął drugie przednie siedzenie. Kinet zamknął drzwi po swojej stronie i nachylił się ku przyrządom. Ornitopter wystartował z szarpnięciem składanych skrzydeł, kierując srę na południe poza Mur Zaporowy. Czigo klepnął swego kompana po ramieniu.

— Może obróć się i miej tych dwoje na oku?

— Na pewno wiesz, dokąd lecieć? — Kinet śledził wargi Czigo.

— Słyszałem, co mówił zdrajca, tak jak i ty.

Kinet odkręcił się z fotelem. Jessika dostrzegła migotliwy odblask gwiazd na rusznicy laserowej w jego dłoni. Świetlistość ścian wnętrza ornitoptera w miarę akomodacji jej oczu jakby zyskiwała na iluminacji, lecz szramy na twarzy'strażnika pozostały zamazane. Jessika sprawdziła pas. swojego fotela odkrywając, że jest obluzowany. Lewą ręką wymacała chropowatość na pasie, zrozumiała, że został on prawie przecięty, że trzaśnie przy nagłym szarpnięciu. Czyżby ktoś był w tym ornitopterze i przygotował go dla nas? — zdziwiła się. — Kto? Powoli wyplątała, swoje spętane stopy spod nóg Paula.

— Aż wstyd zmarnować taką ładną kobitę — odezwał się Szrama. — Miałeś już jakieś szlachetnie urodzone?

Odwrócił się. by widzieć pilota, v

— Nie wszystkie Bene Gessęrit są szlachetnie urodzone.— powiedział pilot.

— Ale wszystkie wyglądają jak damy.

Widzi mnie dosyć wyraźnie — pomyślała Jessika. Podciągnęła związane nogi na fotel i zwinęła się w kuszący kłębek nie spuszczając Szramy z oka.

— Ta tutaj jest naprawdę ładna — powiedział Kinet. — Oblizał wargi. — Jasne, że to wstyd. — Spojrzał na Czigo.

— Czy-ty myślisz o tym, co ja myślę, że ty myślisz? — zapytał pilot.

— Kto się dowie?. — rzekł strażnik. — Potem... — Wzruszył ramionami. — Ja po prostu nie podłapałem nigdy jaśnie pani. Może nie będę już miał drugiej takiej okazji.

— Spróbuj tylko tknąć moją matkę... — zazgrzytał zębami Pauł i utkwił w Szramie nienawistne spojrzenie.

— Hej! —pilot roześmiał się. — Szczenię dało głos. Ale jeszcze nie ma kłów. Jessika zaś pomyślała: Pauł przesadza z wysokością głosu. Ale może się uda. — Lecieli dalej w milczeniu. Nieszczęśni durnie — myślała przypatrując się swym strażnikom i wspominając słowa barona. Zostaną wymordowani, jak tylko zameldują. o wykonaniu swego zadania. Baron nie życzy sobie żadnych świadków.

Ornitoptcr przechylił się w wirażu nad południową krawędzią Muru Zaporowego i Jessika ujrzała pod nimi przestrzeń piasku i księżycowych cieni.

— Starczy tego latania — powiedział pilot. — Zdrajca mówił, by wyrzucić ich na piasek byle gdzie pod Murem Zaporowym..,

Zniżył statek ku wydmom w długim, stromym nurkowaniu, wyrównał ciężko nad powierzchnią pustyni. Jessika zauważyła, że Pauł rozpoczyna rytmiczne oddychanie — ćwiczenie uspokajające. Zamknął oczy, następnie otworzył. Jessika wpatryi wała się weń nie mogąc przyjść mu z pomocą. Jeszcze nie posiadł Głosu — myślała. — Jeżeli zawiedzie...

Ornitopter dotknął piasku w lekkim przechyle i Jessika, spoglądając za siebie na północ ponad Mur Zaporowy, dostrzegła tam wysoko cień skrzydeł trzymających się poza zasięgiem wzroku. Ktoś leci za nami —pomyślała. —• Kto? I zaraz przyszło jej do głowy: Ci, którym.baron kazał obserwować tych dwóch. A obserwatorzy też

będą mieli obserwatorów.

Czigo wyłączył rotory skrzydeł. Opadła ich cisza. Jessika odwróciła głowę. Przez okno za Szramą widziała mglistą poświatę wschodzącego księżyca i wyłaniający się z pustyni oszroniony wieniec skał. Wyostrzone piaskiem granie rysowały jego ściany. Pauł odchrząknął.

— No jak, Kinet? — powiedział pilot.

— Bo ja wiem, Czigo.
Czigo odwrócił się.

— Aaach, popatrz. — Sięgnął ręką do spódnicy Jessiki.

— Usuń jej knebel — zakomenderował Pauł.

Jessika czuła, jak te słowa toczą się w powietrzu. Barwa i ton bez zarzutu — rozkazujący, twardy. Głos mógłby być nieco niższy, ale i tak mieścił się w spektrum tego człowieka. Czigo sięgnął do taśmy na ustach Jessiki i rozsupłał węzeł knebla.

— Przestań! — rozkazał Kinet.

— Och, zamknij dziób — powiedział Czigo. — Ręce ma związane. Rozplatał węzeł i taśma odpadła. Oczy mu się zaświeciły, kiedy wlepił je w Jessikę. Kinet położył dłoń na ramieniu pilota.

— Słuchaj no, Czigo, nie ma potrzeby...

Jessika wykręciła szyję, wypluła knebel. Nastroiła głos na niskie, intymne tony.

— Panowie! Nie ma potrzeby bić się o mnie.

Jednocześnie poruszyła swoimi krągłościami na użytek Kineta. Widząc, jak obaj sztywnieją, poznała, że w tym momencie już są przekonani o konieczności walki. To wystarczyło, by ich skłócić. W myślach już się o nią bili. Twarz trzymała wysoko, w łunie od instrumentów dla pewności, że Kinet odczyta z jej warg to, co mówi.

— Nie kłóćcie się.

Odsunęli się jeden od drugiego, popatrując po sobie ukradkiem.

— Czy w ogóle warto walczyć o kobietę? — spytała.

Przez wypowiedzenie tych słów, przez samą swoją obecność zrobiła się po stokroć warta ich walki. Pauł zacisnął usta zrrTuszając się do zachowania milczenia. Wykorzystał swoją jedyną szansę skutecznego użycia Głosu. Teraz wszystko zależało od jego matki, której doświadczenie dalece przerastało jego własne.

— Taak — rzekł Szrama. —.Nie ma potrzeby walczyć o...

Dłoń jego śmignęła do szyi pilota. Napotkała odprysk metalu, który uderzył go w ramię i przedłużając swoją drogę trzasnął Kineta w pierś. Szrama jęknął, osunął się plecami na drzwi. ^

— Myślał, że trafił na jakiegoś frajera, który nie zna tej sztuczki — powiedział Czigo. Cofnął rękę ujawniając nóż. Ostrze połyskiwało w odblasku księżyca.

— Teraz co do szczeniaka. — powiedział i nachylił się do Paula.

— Nie ma potrzeby — wyszeptała Jessika.
Czigo znieruchomiał, niezdecydowany.

— Nie zależy ci na mojej współpracy? — zapytała Jessika. — Daj chłopcu szansę.
Jej wargi wywinęły się w szyderczym uśmiechu.

— Będzie miał mizerną szansę tam w tym piachu. Daj mu ją, a... —Uśmiechnęła się.— Przekonasz się, że cię dobrze wynagrodzę.

Czigo rozejrzał się na boki, ponownie zatrzymał spojrzenie na Jessice.

— Słyszałem, co może spotkać faceta w tej pustyni — powiedział. — Nóż to może łaska dla chłopca, i

— Czy rzeczywiście proszę o tak wiele? — upierała się Jessika.

— Próbujesz mnie wykiwać — wymamrotał Czigo.

— Nie chcę patrzeć na śmierć swego syna — powiedziała Jessika. — Czy to nazywasz kiwaniem?

Czigo cofnął się, łokciem zwolnił zatrzask drzwi. Pochwycił Paula, przeciągnął go przez fotel i do połowy wywiesił za drzwi, trzymając nóż w pogotowiu.

— Co zrobisz, jak ci przetnę sznurki, szczeniaku? /

— Odejdzie stąd natychmiast w stronę tamtych skał — rzekła Jessika.

— Tak będzie, co, szczeniaku? — spytał Czigo.
Głos Paula był odpowiednio burkliwy.

— Tak.

Nóż opadł, przecinając mu więzy na nogach. Pauł wyczuł na plecach rękę, która miała go zepchnąć w dół na piasek, udał, że zatoczył się na futrynę drzwi, szukając oparcia obrócił się, jakby łapał równowagę, i wziął zamach prawą nogą. Duży palec stopy został wymierzony z precyzją przysparzającą chluby wieloletniemu szkoleniu Paula, jak gdyby cały efekt tego szkolenia przypadł na ten moment. Jakby wszystkie mięśnie ciała brały udział w tym wysiłku. Palec uderzył w miękką część brzucha Czigo, tuż pod mostkiem, z przeraźliwą siłą przebił się ku górze ponad wątrobą i przez przeponę, miażdżąc prawą komorę serca mężczyzny. Strażnik wrzasnął bulgotliwie i zwalił się plecami na fotele. Nie mogąc użyć rąk Pauł nie powstrzymał swego upadku na piasek — wylądował przewrotką, która zamortyzowała siłę uderzenia i postawiła go

na nogi. Zanurkował z powrotem .do kabiny, odnalazł nóż i przytrzymał go w zębach. dopóki matka nie przepiłowała^ swoich więzów. Wtedy wzięła od niego ostrze i uwolniła mu ręce.

— Ja bym go załatwiła — powiedziała. — Musiałby przeciąć moje pęta. To było

lekkomyślne ryzyko.

— Dostrzegłem sposobność i skorzystałem z niej — rzekł.
Posłys/ała twardy 'on w jego opanowanym głosie.

— Na suficie kabiny nagryzmolony jest znak rodu Yuego — powiedziała.
Spojrzał w górę i przyjrzał się zawijasom.

— Wysiądźmy i zbadajmy ten statek — powiedziała. — Pod siedzeniem pilota jest jakiś tobół. Wyczułam go, jak wsiadaliśmy.

— Bomba?

— Wątpię. Tutaj jest coś dziwnego.

Pauł zeskoczył na piasek, Jessika za nim. Kiedy się odwróciła i sięgnęła pod fotel po tajemniczy pakunek, widziała stopy Czigo przy swojej twarzy; poczuła wilgoć na tobołku i zrozumiała, że to krew pilota. Co za marnotrawstwo — pomyślała i uświadomiła sobie, że to arrakański sposób myślenia.

Pauł rozejrzał się wokoło, dostrzegł skalną skarpę, która wyrastała z pustyni, jak wyrasta plaża z morza, a ponad nią powyrzynane wiatrem palisady. Odwrócił się, gdy-matka dźwignęła pakunek z ornitoptera. i ujrzał, że spogląda ponad wydmami w st-ronę Muru Zaporowego. Kierując tam wzrok, by zobaczyć, co przyciągnęło jej uwagę, spostrzegł pikujący na nich inny ornitopter i zdał sobie sprawę, że nic będą mieli czasu na uprzątnięcie zwłok i ucieczkę.

—'Uciekaj, Pauł! — krzyknęła Jessika. — Harkonnenowie!

Arrakis naucza filozofii noża — odrąbujemy to, co niekompletne i mówimy: „Teraz jest kompletne, ponieważ tutaj się kończy". , ,

/ . Myśli /chiilnyui Musicl iłihii w opntcow.inui ksi^'/nn./ki liuliin

Mężczyzna w harkonneńskim mundurze zatrzymał się raptownie u wylotu korytarza, /mierzył spojrzeniem Yuego. obejmując tym samym rzutem oka ciało Mapes, rozciągniętą postać księcia i stojącego nad nimi doktora. Mężczyzna trzymał rusznicę laserową w prawej dłoni. Biło od tego człowieka pierwotne okrucieństwo, brutalność i drapieżność, które przejmowały Yuego dreszczem. Sardaukar — pomyślał. — Baszar, sądząc po wyglądzie. Pewnie jeden z imperatorskich wysłanników, przybyły, żeby mieć na oku na bieg wypadków. Żaden mundur ich nie ukryje.

— Jesteś Yueh — powiedział mężczyzna.

Popatrzył z namysłem na obręcz Akademii Suk we włosach doktora, potem na romb tatuażu, wreszcie spojrzał mu prosto w oczy.

— Jestem Yueh — powiedział doktor.

— Możesz się odprężyć, Yueh — rzekł mężczyzna. — Przybyliśmy, jak tylko spuściłeś osłony domu. Panujemy nad sytuacją. Czy to jest książę?

— To jest książę.

— Martwy?

— Tylko nieprzytomny. Radzę ci go związać.

— Ty załatwiłeś tych pozostałych? — Obejrzał się w głąb korytarza, gdzie leżało

ciało Mapes. v ,

— Tym większa szkoda — zamruczał Yueh.

— Szkoda! — powiedział drwiąco sardaukar. Zbliżył się i spojrzał z góry na Leto.

— Więc to jest ów wielki Czerwony Książę.

Gdybym przedtem miał wątpliwości, kim jest ten człowiek, już bym ich nie miał — pomyślał Yueh. — Tylko Imperator nazywa Atrydów czerwonymi książętami.

Sardaukar sięgnąrw dół, odciął godło czerwonego jastrzębia od munduru Leto.

— Mała pamiątka — powiedział. — Gdzie jest książęcy sygnet?

— Nie ma go na palcu — odparł Yueh.

— To widzę! — warknął sardaukar.

Yueh zdrętwiał, przełknął- ślinę. Jeżeli mnie przyduszą. jeżeli ściągną prawdomówczynię. to dowiedzą się o pierścieniu i o przygotowanym ornitoplerze i wszystko przepadnie.

— Czasami książę wysyłał gońca z pierścieniem na znak, że rozkaz pochodzi bezpośrednio od niego — powiedział Yueh.

— Diablo zaufani musieli być ci gońcy — mruknął sardaukar.

— Nie zwiążesz go? — odważył się zapytać Yueh.

— Jak długo będzie nieprzytomny?

— Ze dwie godziny. Nie odmierzyłem tak dokładnie jego dawki, jak dla kobiety i chłopca. • • .

Sardaukar trącił księcia końcem stopy. --

— Czego tu się bać, nawet gdyby toto było przytomne. Kiedy obudzą się. kobieta i chłopiec?

— Za jakieś dziesięć minut.

— Tak 57ybko?

— Powiedziano mi. że zaraz przybędzie baron ze swoimi ludźmi.

— I przybędzie. Czekaj na zewnątrz, Yueh. — Rzucił mu twarde spojrzenie.

— Już!

Yueh zerknął na Leto.

— Co z...

— Zostanie dostarczony baronowi w całości i spętany jak jagnię na rożnie. Ponownie sardaukar popatrzył na romb wytatuowany na czole Yuego.

— Wiedzą o tobie: nic ci się nie powinno stać w korytarzach. Nie mamy więcej czasu na pogaduszki. zdrajco. Słyszę, że pozostali nadchodzą.

Zdra|co — pomyślał Yueh. Spuścił oczy i przecisnął się obok sardaukara, mając przedsmak tego, jak zapamięta go historia: „Yueh zdrajca".

W drodze do głównego wyjścia mijał coraz więcej ciał i zerkał na nie z przerażeniem. że któreś z nich okaże się Paulem lub Jessika. Wszyscy byli z gwardii pałacowej lub nosili mundury Harkonncnów. Nadbiegły zaalarmowaJle straże Harkonnenów. kiedy z frontowych drzwi wyszedł w rozjaśnioną płomieniami noc. Aby oświetlić bu-

153

dynek, podpalono przydrożne palmy Czarny dym z użytych do podpałki materiałów zapalnych bił do góry przez pomarańczowe lęzyki ognia.

— To zdrajca — powiedział ktoś

— Baron będzie chciał cię niebawem widzieć — powiedział inny.
Muszę dostać się do ornitoptera — myślał Yueh — Muszę włożyć książęcy sygnet tam, gdzie Pauł go odnajdzie — I przeszył go strach — Jeśli Idaho mnie podejrzewa albo straci cierpliwość — o ile nie czeka i nie uda się dokładnie tam, gdzie mu Jcazałem — Jessika i Pauł nie uratują się z pogromu Zostanę pozbawiony najmniejszego choćby pocieszenia za SWÓJ czyn.

Harkonneński wartownik puścił jego ramię.

— Zaczekaj tam na uboczu — powiedział

Nagle Yueh zobaczył, ze go odtrącono w tym miejscu zniszczenia, ze mu niczego nie oszczędzono, me okazano odrobiny litości Idaho nie może zawieść'

— Hej, ty, nie plącz się pod nogami' — wpadając na niego warknął inny strażnik.
Wykorzystać to mnie umieli, a nie umieją się zdobyć na to, żeby mnie ścierpieć —

pomyślał Yueh Wyprostował się, gdy odepchnięto go na bok, odzyskał nieco swej

godności

— Czekaj na barona' — warknął oficer gwardii

Yueh kiwnął głową, przeszedł ze świadomą nonszalancją wzdłuż frontu budynku, skręcił za róg w cień, z dala od widoku płonących palm Szybko, każdym krokiem zdradzając podniecenie, dotarł na tylny dziedziniec pod oranżerię, gdzie czekał ornitopter podstawiony, by zabrać Paula i jego matkę Wartownik stał w otwartych drzwiach z tyłu domu, patrząc na oświetlony hali i tłoczących się tam ludzi, którzy przeszukiwali pokój za pokojem

Jakże byli pewni siebie' Trzymając się cienia Yueh obszedł dokoła ornitopter i uchylił drzwi w zasłoniętej przed wartownikiem burcie Pod przednim siedzeniem wymacał ukryty tam przez siebie fremsak, podniósł klapę i wsunął do środka dłoń z książęcym sygnetem Natknął się na szeleszczący papier przyprawowy swojego listu, wcisnął pierścień w kartkę Wyjął rękę l zapiął fremsak Zamknął delikatnie drzwi ornitoptera, tą samą drogą przedostał się do narożnika pałacu i skręcił za róg pod płonące drzewa Po raz drugi wyłonił się w świetle buchających płomieniami palm. Otulił się płaszczem, zatopił spojrzenie w płomieniach Niebawem będę wiedział Niebawem stanę przed baronem i będę wiedział. A baron...baron napotka niewielki ząb.

Legenda głosi, ze kiedy książę Leto Atryda umierał, meteor przeciął nieboskłon ponad jego

rodowym pałacem na Kaladanie „ , , , „, , „ . „ ,1 r> i. -
- r Księżniczka Irulan Wsti,p do historii dzieciństwa Miicid Dibd

Baron Vladimir Harkonnen stał przed bulajem zacumowanej lichtugi, w której

założył stanowisko dowodzenia Przez bulaj widział rozświetloną płomieniami noc nad Arrakin Uwagę skupił na odległym Murze Zaporowym, gdzie jego tajna broń dokonywała swego dzieła Artyleria lufowa Armaty nadgryzały groty, do których wycofali się wojownicy księcia, by w nich bronić się do ostatka Powolny rytm ukąszeń

pomarańczowej łuny, kaskady kamienia i pyłu w krótkich iluminacjach grzebały ludzi księcia osaczonych jak zwierzęta w norach, skazując ich na śmierć głodową

Baron wyczuwał odległe tąpnięcia — dudnienie dochodzące don za pośrednictwem metalu statku łup łup I znów łłup łłup' Komu przyszłoby do głowy wskrzeszać artylerię w epoce tarcz7 Ta mysi bvła chichotem |ego dus/y — Można było przewidzieć, ze lud/ie księcia zwieją do tych grot Zaś Imperator doceni spryt, z jakim ocaliłem przed stratami naszą wspólną armię

Poprawił jeden z maleńkich dryfow chroniących jego otyłe ciało przed wpływem siły ciążenia Uśmiech zmarszczył mu usta, napiął fałdy podbródka — Żal marnować takich wojowników jak żołnierze księcia — pomyślał Uśmiechnął się szerzej pod swoim adresem — Żal powinien bvc okrutny' — Pokiwał głową Niepowodzenie jest kosztowne z definicji Przed człowiekiem który potiah podejmować właściwe decyZ)e, cały wszechświat stoi otworem Niepewne króliki należało wykurzyć do nor, zmusić do ucieczki Jakże by inaczej nimi r/ądzic i je hodować7 Wyobraził sobie swoich żołnierzy jako pszczoły zaganiające króliki I pomyślał Dzień słodko nuci, kiedy masz dość pszczół, które na ciebie pracują

Za jego plecami otworzyły się drzwi Baron pizyjrzał się bacznie odbiciu w czarnym od nocy bulaju, nie odwracając głowy Do pokoju wśliznął się Piter de Vnes, któremu po piętach deptał Umman Kudu, kapitan straży przybocznej barona Tuz za drzwiami zrobił się ruch — tępawe oblicza członków jego gwardii wyrażały przezorną bojazn w obecności barona

Baron odwrócił się Piter przyłożył palec do pukla włosów w żartobliwym salucie

— Dobre wieści, mój panie Sardaukarzy dostarczyli księcia

— To oczywiste, ze dostarczyli — zahuczał baron

Przyjrzał się mrocznej masce nikczemnosci na zmewieściałej twarzy Pitera I jego oczom tym cienistym szparkom najblękitniejszego błękitu w błękicie Muszę się go wkrótce pozbyć — pomyślał baron Osiągnął JUŻ niemal punkt krytyczny swego życia właściwie przestał być użyteczny, a stał się groźny dla moje) osoby Najpierw musi jednakże zasłużyć sobie na nienawiść ludności Arrakłs Wtedy powitają tu mego kochanego Feyda-Rauthę Jak zbawiciela

Baron przeniósł spojrzenie na kapitana straży, Ummana Kudu — na żuchwy jak imadło i podbródek Jak szpic buta — kapitanowi można było ufać, ponieważ znane były jego nałogi

— Najpierw gdzie jest zdrajca, który wydał mi księcia'7 — zapytał baron — Muszę dać zdrajcy nagrodę

Piter okręcił się jak baletnica, skinął komuś za drzwiami Mignęło tam przez moment coś czarnego i wkroczył Yueh Zbliżał się sztywno, jak marionetka Wąsy mu obwisły po obu stronach rubinowych warg Jedynie postarzałe oczy wydawały się żywe

Zrobiwszy trzy kroki Yueh zatrzymał się posłusznie na skinienie Pitera i nie ruszając się z miejsca spoglądał przez pustą przestrzeń na barona

— Aaach, doktor Yueh

— MÓJ pan Harkonnen

— Słyszę, ze wydałeś nam księcia

— Moja część umowy, mój panie.

Baron popatrzył na Pitera., Piter kiwnął głow^. Baron z powrotem zwrócił oczy

na Yuego.

— Litera umowy, co? A ja... — Wypluł z ?łebie słowa: — ...Co ja miałem zrobić w zamian?

— Pamiętacie bardzo dobrze, mój panie Harkonnen.

I Yueh znalazł czas do namysłu, słysząc już ogłuszającą ciszę zatrzymanych w swoim umyśle zegarów. Dostrzegał ledwo uchwytne znaki w zachowaniu barona. Wanna w rzeczywistości nie żyła — odeszła tam, gdzie jej nie dosięgną. Inaczej bowiem nadal trzymaliby w garści słabego doktora. Zachowanie barona zdradzało, że tak nie jest, że to się skończyło.

— Pamiętam? — zapytał baron.

— Obiecałeś wybawić moją Wannę od katuszy.
Baron pokiwał głową, i

— Ach, tak. Teraz sobie przypominam. Obiecałem" Taka była moja obietnica. W ten sposób przełamaliśmy warunkowanie imperialne. Nie mogłeś znieść widoku swojej czarownicy Bene Gesserit wijącej się we wzmacniaczach bólu Pitera. Cóż, baron Vladimir Harkonnen zawsze dotrzymuje obietnic. Powiedziałem ci, że uwolnię ją od męczarni i pozwolę ci do niej iść. Więc niech tak się stanie.

Ręką skinął Piterowi.

Błękitne oczy Pitera przybrały szklisty wyraz. Jego błyskawiczny ruch miał w sobie kocią płynność. Nóż łysnął w dłoni niczym pazur, zatapiając się w plecach Yuego. Stary człowiek zesztywniał, ani przez moment nie spuszczając wzroku z barona.

— Więc idź do niej! — wypluł z siebie baron.
Yueh stał słaniając się na nogach. Jego wargi poruszały się ze staranną precyzją, a głos rozbrzmiewał w osobliwie odmierzanej kadencji.

— Myślisz... że... mnie... znL.szczyłeś. Myślisz... że ... nie...wie...działem...co... kupiłem...za... moją... Wannę.

Upadł. Nie zgiął się, ani nie zwiotczał. Jakby runęło drzewo.

— Więc idź do niej — powtórzył baron. Lecz jego słowa sprawiały wrażenie słabego echa.

Yueh napełnił go złym przeczuciem. Podniósł wzrok na Pitera, przyglądając się, jak wyciera ostrze w kawałek szmaty, obserwując wyraz rozmarzenia i satysfakcji w błękitnych oczach.

— A więc to tak on zabija własnymi rękami — pomyślał baron. — Warto wiedzieć.

— Wydał nam księcia? — zapytał.

— Ależ oczywiście, mój panie — powiedział Piter.

— Więc dawajcie go tutaj!

Piter spojrzał na kapitana straży, który posłusznie obrócił się na pięcie. Baron popatrzył z góry na Yuego. Ze sposobu, w jaki ten człowiek padł, można by podejrzewać, że miał twarde drzewo dębowe zamiast kości.

— Nigdy nie potrafiłem przełamać się i zaufać zdrajcy — rzekł baron. — Nawet zdrajcy, którego sam stworzyłem.

Rzucił okiem na przesłonięty całunem nocy bulaj. Wiedział już, że ta cała czarna cisza na zewnątrz należy do niego. Ustał ostrzał artyleryjski grot Muru Zaporowego, podziemne pułapki były odcięte. Zupełnie niespodziewanie baron nie mógł sobie wyobrazić nic piękniejszego od owej całkowitej pustki czerni. Chyba że byłaby to biel na czerni. Biel srebra na czerni. Biel porcelany. Ale uczucie niepewności nadal go nie opuszczało. Co miał na myśli ten stary dureń doktor? Oczywiście wiedział zapewne, co go w końcu czeka. Ale to jego gadanie o tym rzekomym zniszczeniu: „Myślisz, że mnie zniszczyłeś". O co mu chodziło?

Książę Leto Atryda przestąpił próg pokoju. Ręce miał spętane kajdanami, orlą twarz pobrudzoną ziemią. Jego mundur był rozdarty w miejscu, skąd ktoś oderwał insygnia. W talii wisiały strzępy wiązań pasa tarczy, który usunięto bez odpinania go od munduru. Oczy księcia miały szklisty, obłąkany wyraz.

— No, no, no — powiedział baron.

Zawahał się biorąc głęboki oddech. Wiedział, że przemówił zbyt głośno. Ten moment, z dawna wymarzony, stracił nieco ze swego smaczku.

Niech piekło pochłonie przeklętego doktora na całą wieczność!

— Przypuszczam, że poczciwego księcia uraczono narkotykiem — powiedział Piter. — W ten sposób Yueh go dla nas złapał. — Piter zwrócił się do księcia. — Czyż nie jesteś uraczony narkotykiem, mój drogi książę?

Głos dochodził z wielkiej dali. Leto czuł łańcuchy, ból mięśni, spękane wargi, piekące policzki, suchy posmak pragnienia jak szelest piasku w ustach. Ale dźwięki były stłumione otulającą je watą. A przez tę watę widział jedynie mgliste zarysy.

— Co z kobietą i chłopcem. Piter? — spytał baron. — Jeszcze nie ma wiadomości?

Piter przesunął językiem po wargach.

— Ty coś wiesz? — burknął baron. — Co?

Piter obejrzał się na kapitana straży i znów spojrzał na barona.

— Ludzi wysłanych do wykonania tej roboty, mój panie...hm...ich...hm...odnaleziono.

— No więc, meldują, że wszystko w.porządku?

— Są martwi, mój panie.

— Oczywiście, że są! Ja chcę tylko wiedzieć, co...

— Byli martwi, kiedy ich znaleziono, mój panie.

Twarz barona posiniała.

— A kobieta i chłopiec?

— Ani śladu, mój panie, ale był tam czerw. Zjawił się w trakcie badania tego miejsca. Być może jest tak, jak sobie życzyliśmy...wypadek. Możliwe, że...

— Nas nie interesują możliwości, Piter. Co z tym brakującym ornitopterem? Mówi to coś mojemu mentatowi?

— Któryś z ludzi księcia bez wątpienia nim uciekł, mój panie, zabił naszego pilota i uciekł.

— Który z ludzi księcia?

— To była czysta, cicha robota, mój panie. Być może Hawat albo ten typ Halleck. A może Idaho. Lub którykolwiek z najwyższych adiutantów.

— Same możliwości... — mruknął baron.

Spojrzał na słaniającą się, zamroczoną postać księcia.

157

— Panujemy nad sytuacją, mój panie.

— Nie, nie panujemy! Gdzie jest ten kretyn planetolog? Gdzie jest ten typ Kynes?

— Mamy wiadomości, gdzie go znaleźć; posłano po niego, mój panie.

— Nie podoba mi się sposób, w jaki pomaga nam sługa Imperatora'— burknął baron.

Kokon waty oddzielał słowa, lecz niektóre z nich zapłonęły w umyśle Leto. Kobieta i chłopiec — ani śladu. Pauł z Jesstką uciekli. I nie znane były ciągle losy Hawata, Hallecka i Idaho. Jeszcze była nadzieja.

— Gdzie jest książęcy sygnet? — spytał baron. — Nie ma go na palcu.

— Sardaukarzy mówią, że go nie miał przy sobie w chwili pojmania — powiedział kapitan straży.

— Za wcześnie zabiłeś doktora — rzeki baron. — To był błąd. Powinieneś mnie ostrzec, Piter. Postąpiłeś zbyt pochopnie z punktu widzenia dobra naszego przedsięwzięcia. — Nachmurzył się. — Możliwości!

W umyśle Leto plątała się sinusoidalną falą jedna myśl: Pauł i Jessika uciekli! S
I coś tam jeszcze było w jego pamięci: Umowa! Prawie ją sobie przypominał. Ząb! Pamięta) teraz jej część: kapsułka z gazem trującym w formie sztucznego zęba. Ząb' ma w ustach. Wystarczy tylko przygryźć go mocno. Jeszcze nie! Ten ktoś polecił mu zaczekać, aż znajdzie się blisko barona. Kto mu polecił? Nie mógł sobie przypomnieć.

— Jak długo on będzie w takim stanie? — zapytał baron.

— Może jeszcze godzinę, mój panie.

— Może... — mruknął baron.
Ponownie odwrócił się do czarnego okna.

— Jestem głodny.

To jest baron, tamten rozmazany, szary kształt — pomyślał Leto. Kształt tańczył na wszystkie strony, chwiejąc się w takt kołysania pokoju. A pokój rozszerzał się i kurczył. Rozjaśniał się i ciemniał. Otulał to czernią, to bielą. Czas stał się dla księcia sekwencją warstw, przez które wypływał na powierzchnię. Muszę czekać.

Tam jest stół. Leto widział stół całkiem wyraźnie. I opasłego, tłustego człowieka po drugiej stronie stołu; przed nim resztki posiłku. Leto poczuł, że siedzi na krześle naprzeciwko tłustego człowieka, czul łańcuchy, pasy, które utrzymywały jego mrowiące ciało na krześle. Był świadom upływu tzasu, ale jego wymiar mu umknął. ,

— Przypuszczam, że on dochodzi do siebie, baronie.
• Jedwabisty ten głos. To był Piter.

— Widzę to, Piter. r— Dudniący bas: baron.

Zmysły Leto odbierały otoczenie z'coraz większą ostrożnością. Krzesło pod nim. zrobiło się twarde, więzy mocnie) wrzynały się w ciało. I widział JUŻ wyraźnie barona. Śledził wędrówkę dłoni tego człowieka, ich wymuszone ruchy: dotknięcie brzegu talerza, łyżki, wodzenie palcem po fałdzie brody. Leto obserwował poruszającą się dłoń zafascynowany.

— Słyszysz mnie, książę Leto? — rzekł baron. — Wiem, że mnie słyszysz. Chcemy się od ciebie dowiedzieć, gdzie znaleźć twoją konkubinę i dziecko, które z nią spłodziłeś.

Uwagi Leto 'nie umknął żaden znak, zaś słowa napełniły go spokojem. Więc to prawda: nie mają Paula i Jessiki. '

— -To nie dziecinna zabawa — mruknął baron. — Musisz o tym wiedzieć.

Pochylił się ku Leto, zaglądając mu badawczo w twarz. Bolało barona, że nie może tego załatwić prywatnie, tylko między nimi dwoma. Dopuszczenie innych do oglądania członka rodziny królewskiej w takich opałach ustanawiało niekorzystny precedens.

Leto czuł, że wracają mu siły. I pamięć o sztucznym zębie sterczała teraz w jego umyśle jak strzelista wieża w płaskim pejzażu. Kapsuła w kształcie nerwu wewnątrz owego zęba — gaz trujący — pamiętał, kto włożył śmiercionośną broń w jego usta. Yueh.

Zamglone narkotykiem wspomnienie bezwładnego ciała, wleczonego przy^ nim w tym pomieszczeniu unosiło się jak opary w pamięci Leto. Wiedział, że to był Yueh.

— Czy słyszysz ten hałas, książę Leto? — zapytał baron.

Do Leto dotarł skrzekliwy dźwięk, gardłowe kwilenie czyjejś męki.

— Złapaliśmy jednego z twoich ludzi przebranego za Fremena — powiedział baron. — Przejrzeliśmy tę maskaradę z dziecinną łatwością: oczy, jak wiesz. On się upiera, że został wysłany między Fremenów na przeszpiegi. Mieszkałem jakiś czas na lej planecie, cher cousin. Nie szpieguje się tej łachmamarskiej, pustynnej hałastry. Powiedz mi, czy kupiłeś ich pomoc? Czy wysłałeś do nich swoją kobietę i syna?

l eto poczuł ucisk strachu na piersi. Jeśli Yueh wysłał ich do pustynnego ludu... to nie zaprzestaną ich tropić, aż znajdą.

— No, dalej — powiedział baron. — Nie mamy wiele czasu, a ból jest prędki. Proszę, nie doprowadzaj do tego, mój drogi książę.

Baron podniósł oczy na Pitera stojącego przy ramieniu Leto.

— Piter nie ma tutaj swoich wszystkich narzędzi, ale nie wątpię, że stać go na improwizację.

— Czasami improwizacja jest najlepsza, baronie.

Jaki jedwabisty, ujmujący głos! — Leto słyszał go przy samym uchu.

— Miałeś plan na wypadek zagrożenia — rzekł baron. — Dokąd została wysłana twoja kobieta i chłopiec? — Spojrzał na dłoń Leto. — Zginął twój pierścień. Czy ma go chłopiec? — Baron podniósł wzrok spoglądając Leto w oczy. — Nie odpowiadasz — powiedział. — Czy chcesz mnie zmusić do zrobienia rzeczy, której nie chcę zrobić? Piter zastosuje proste, bezpośrednie metody. Zgadzam się, że one są czasami najlepsze, ale nie jest to najlepsze, żebyś ty został im poddany.

— Może gorący łój na grzbiet albo na powieki — powiedział Piter. — Może na inne części ciała. Jest to szczególnie skuteczne, kiedy osobnik nie wie, gdzie łój kapnie następnym razem. To dobry sposób i jest coś pięknego w deseniu ropno-białych pęcherzy na gołej skórze, co, baronie?

— Wyśmienite — powiedział baron, a jego głos zabrzmiał szorstko.
Jakie wrażliwe palce! — Leto śledził tłuste ręce, klejnoty połyskujące na niemowlęce pulchnych dłoniach — ich nieustanną wędrówkę. Odgłosy męczarni dochodzące przez drzwi za jego plecami szarpały nerwy księcia. Kogo oni złapali? — zastanawiał się. — Miałżeby to być Idaho?

— Wierz mi, cher cousin — rzekł baron. — Nie chcę, aby do tego doszło.

— Pomyśl o nerwokunerach śpieszących po pomoc, która nie może nadejść — powiedział Piter. — W tym jest coś ze sztuki, pojmujesz.

— Jesteś nadzwyczajnym artystą — warknął baron. — A teraz miej trochę przyzwoitości i zamknij się.

Leto nagle przypomniał sobie coś, co Gurney Halleck powiedział kiedyś na widok fotografii barona: „I stanąwszy na piasku plaży ujrzałem z morza powstającą bestię...a na jej łbach wypisane bluźnierstwo".

— Tracimy czas, baronię — powiedział Piter.'

— Być może.

Baron pokiwał głową.

— Wiesz, mój drogi' Leto, że w końcu nam powiesz, gdzie oni są. Istnieje poziom bólu, który jest twoją ceną.

On ma najprawdopodobniej rację — myślał Leto. — Gdyby nie ząb...i fakt, że ja naprawdę nie wiem, gdzie oni są... \

Baron wziął plaster mięsa, wcisnął kąsek do ust. pogryzł powoli i przełknął. Musimy spróbować z innej beczki — pomyślał.

— Przyjrzyj się tej bezcennej osobie, która zaprzecza, że można ją kupić — powiedział. — Przyjrzyj mu się, Piter.

I baron zamyślił się: Tak! Obejrzyj go sobie, tego mężczyznę, który wierzy, że nie

jest na sprzedaż. Zobacz go. tego więźnia milionów cząstek własnego jestestwa, sprzedawanych po trochu z każdą sekundą jego życia! Postaw go na nogi i potrząśnij, a w środku zagrzechocze. Bo jest pusty! Wyprzedamy! Co za różnica, jak on umrze?

Chrapliwe krzyki w dalszym planie ustały. Baron zobaczył, jak limman Kudu. kapitan straży, pojawia się w drzwiach po drugiei stronie pokoju i kręci głową. Jeniec nie udzielił żądanej informacji. Kolejne niepowodzenie. Czas skończyć zabawę z tym durnym księciem, z tym głupim, miękkim idiotą, nie zdającym sobie sprawy, jakie . piekło goreje tuż przy nim — zaledwie na grubość nerwu od niego. Myśl ta uspokoiła barona, przełamując jego opory przed wydaniem osoby królewskiego rodu na tortury. Zobaczył nagle siebie w roli chirurga dokonującego za pomocą noż\czck nieprzeliczonych wiwisekcji — odkrawania głupcom masek, by wyjrzało spod nich piekło. Króliki, wszyscy to króliki. A jak truchleją ze strachu na widok drapieżcy!

Leto spoglądał przez, stół dziwiąc się. dlaczego zwleka. Ząb szybko położyłby kres temu wszystkiemu. Dobre jednak było to jego życie, ogólnie wziąwszy. Zorientował się. że wspomina latawiec antenowy, szybujący na sznurku wysoko w perłowo-błękitnych niebiosach Kaladanu. i Paula śmiejącego się radośnie na ten widok. I przypomniał sobie zachód słońca tutaj na Arrakis — pokolorowane'warstwy Muru Zaporowego, zaksamitniałe w pylistym omgleniu.

— Wielka szkoda — zamruczał baron.

Odsunął się od stołu, uniósł z lekka w swych drylach i znieruchomiał niezdecydowany. widząc zmianę w księciu. Zobaczył, że wciąga on głęboko powietrze; zarys jego szczęk twardnieje i marszczą się mięśnic» gdy książę zaciska zęby jak imadło. Ale się mnie boi! — pomyślał.

Porażony strachem, że baron może mu umknąć, Leto zgryzł raptownie kapsułkę

zęba; poczuł, jak ją kruszy. Otworzył usta. wydmuchnął gryzący opar, którego powstawanie czuł na języku. Baron zmalał mu. widział jego postać jakby w oddalającym się wylocie tunelu. Usłyszał sapnięcie przy swoim uchu — tego o jedwabistym głosie:

Pitera.

Jemu też się dostało!

— Piter! Co jest?

Dudniący głos huczał hen w oddali. Leto poczuł, jak wspomnienia przetaczają się przez jego pamięć starczym mamrotaniem bezzębnych wiedźm. Pokój, stół, baron. pai a przerażonych oczu — błękit w błękicie — wszystko zacieśniło się wokół niego w zrujnowane) symetrii.

Był jakiś człowiek z brodą jak szpic buta, padający człowiek-zabawka. Człowiek-z.abawka miał złamany nos. przekrzywiony w lewo: zepsuty metronom na' zawsze zastygły na starcie. Leto usłyszał odgłos tłuczonej porcelany — jakże daleki — niby grzmot. Jego świadomość była jak wiadro, w kłóic wpadło wszystko: każdy krzyk. każdy szept, każda...cisza.

Pozostała mu jedna myśl. Widział ją w bezkształtnym świetle na promieniach czerni: Dzień, który kształtuje ciało, ciało, które kształtuje dzień. Myśl poraziła go swą pełnią, której jak wiedział, nigdy już nie zrozumie.

Cisza. ,

Baron opierał się plecami o swoje sekretne drzwi, o swoją mysią dziurę za stołem. Zatrzasnął je. by się oddzielić od pokoju pełnego trupów. Jego zmysły odbierały

kręcące się dokoła straże. Czy ja to wciągnąłem do płuc? — zadawał sobie pytanie. — Obojętne, co to było — czy i mnie się dostało? Powracał mu słuch... i zdolność rozumowania. Słyszał wykrzykiwane przez kogoś rozkazy: maski gazowe...nie otwierać drzwi...włączyć dmuchawy.

Inni padli szybko — pomyślał. — Ja nadal stoję. Nadal oddycham. Co za piekło! Niewiele brakowało! Mógł już teraz analizować sytuację. Jego tarcza była włączona. na niską aktywność, lecz mimo to wystarczającą, by zwolnić wymianę cząsteczek przez osłonę, l odsuwał się od stołu...to. oraz sapnięcie porażonego Pitera. które sprawiło, że kapitan straży rzucił się ku niemu na własną zgubę. Przypadek i ostrzeżenie w postaci westchnienia umierającego człowieka — oto co go ocaliło. Baron me c/lit żadnej wdzięczności dla Pilera. Dureń sam się dał zabić, l len idiota kapitan straży! Powiedział, że prześwietlił każdego przed doprowadzeniem do barona! Jak to możliwe. żeby książę...? Bez żadnego ostrzeżenia. Nawet wykrywacz trucizny nad stołem... a potem było już za późno. Jak to się stało? Cóż. teraz to już bez znaczenia — pomyślał baron, coraz pewniejszy siebie. — Następny kapitan straży zacznie od znalezienia odpowiedzi na te pytania. Zdał sobie sprawę z zamieszania w końcu korytafza — za zakrętem, pod drugimi drzwiami do owej celi śmierci. Odepchnął się od swoich prywatnych drzwi, popatrzył po sługusach wokół siebie. Stali gapiąc się w przestrzeń przed siebie, w milczeniu, w oczekiwaniu na reakcję barona. C/y baron będzie się gniewał? Uświadomił sobie, że od jego ucieczki z tego strasznego poko|u upłynęło zaledwie paię sekund. Niektórzy strażnicy trzymali broń wycelowaną w drzwi. tnni kierowali swoią wrogość w stronę pustego korytarza prowadzącego d(ji hałasów za zakrętem w prawo. Zza rogu wyszedł mężczyzna z maską gazową, dyndającą mu

u szyi na paskach, z oczami bacznie wpatrzonymi w wykrywacze trucizny rozstawione rzędem w korytarzu. Miał żółte włosy, twarz płaską, oczy zielone. Wokół jego ust o grubych wargach rozchodziły się promieniście głębokie zmarszczki. Wyglądał jak stworzenie wodne, zupełnie nie na miejscu wśród tych, co chodzą po ziemi. Baron wpatrywał się w nadchodzącego mężczyznę, przypominając sobie jego imię: Nefud. lakin Nefud. Kapral straży. Nefud miał nałogową słabość do semuty, kombinacji narkotyczno-muzycznej działającej na najgłębszą podświadomość. Była to pożyteczna informacja.

Mężczyzna stanął przed baronem, zasalutował.

— Korytarz czysty, mój panie. Obserwowałem sytuację z zewnątrz i zorientowałem się, że to musi być gaz trujący. Wentylatory twego pokoju ciągną powietrze z tych korytarzy.

Zerknął do góry na wykrywacz nad głową barona.

— Ani odrobina tego paskudztwa się nie wymknęła. Oczyściliśmy już pokój. Czekam na rozkazy.

Baron rozpoznał głos mężczyzny — to on wykrzykiwał polecenia.
Sprawny jest ten kapral — pomyślał.

— Tamci wszyscy są martwi? — zapytał.

— Tak, mój panie.

Cóż, musimy dokonać poprawek — pomyślał baron.

— Najpierw — powiedział — pozwól, że ci pogratuluję, Nefud. Jesteś nowym kapitanem mojej straży. I mam nadzieję, że weźmiesz sobie do serca lekcję, jaką stanowi los twojego poprzednika.

Baron przyglądał się, jak jego słowa zapadają w świadomości świeżo promowa-

nego gwardzisty. Nefud wiedział, że już nigdy nie zabraknie mu semuty. Skłonił głowę.

— Pan mój wie, że całkowicie poświęcę się sprawie jego bezpieczeństwa.

— Tak. Ale do rzeczy. Podejrzewam, że książę miał coś w ustach. Znajdziesz to, sprawdzisz, jak zostało użyte, kto mu to pomógł tam włożyć. Podejmiesz wszelkie środki...

Urwał — a tok jego myśli poszedł w rozsypkę z powodu awantury, jaka wybuchła w korytarzu za jego plecami: strażnicy przy drzwiach windy z niższych pokładów fregaty próbowali nie przepuścić wysokiego pułkownika baszara, który przed chwilą się z niej wyłonił. Baron nie wiedział, skąd zna twarz pułkownika baszara: wąską, z ustami jak przecięcie w skórze, z bliźniaczymi atramentowymi plamkami w miejscu oczu.

— Łapy przy sobie, bando ścierwojadów! — ryknął mężczyzna odrzucając od siebie strażników na boki.

Aaach, jakiś sardaukar — pomyślał baron. Pułkownik baszar podążał wielkimi krokami w stronę barona, którego ocz^ zwęziły się pod wpływem złego przeczucia. Oficerowie sardaukarów napawali go niepokojem. Wszyscy oni z wyglądu sprawiali wrażenie krewnych księcia...świętej pamięci księcia. A ich maniery wobec barona!

Pułkownik baszar zatrzymał się pół kroku przed baronem, z rękami na biodrach. Za nim w nerwowej niepewności czaili się strażnicy. Uwagi barona nie uszedł fakt, że sardaukar nie oddał mu honorów i że zachowywał się lekceważąco, i jego niepokój

wzrósł. Na miejscu był zaledwie jeden legion sardaukarów — czyli dziesięć brygad — jako wsparcie dla harkonneńskich legionów, ale baron nie żywił złudzeń. Ów legion mógł z powodzeniem napaść i pobić Harkonnenów.

— Powiedz swoim ludziom, że mają mi nie przeszkadzać w spotkaniu z tobą — warknął sardaukar. — Moi ludzie dostarczyli ci księcia, nim zdążyłem omówić z tobą jego los. Zrobimy to teraz.

— A więc? — Było to ozięble wyważone słowo i baron poczuł się z niego dumny.

— Mój Imperator polecił mi upewnić się, że jego królewski krewniak umrze przyzwoicie, bez męczarni — rzekł pułkownik baszar.

— Takie właśnie otrzymałem rozkazy od władz imperialnych — skłamał baron. — Sądzisz, że bym się do nich nie zastosował?

— Mam zameldować mojemu Imperatorowi, co widziały moje oczy — rzekł sardaukar.

— Książę już nie żyje — uciął baron i odprawił natręta gestem.
Ale pułkownik baszar nadal tkwił przed baronem. Najmniejszym drgnieniem powieki czy mięśnia nie potwierdził, że przyjął odprawę do wiadomości.

— Jak? — warknął.

Doprawdy — pomyślał baron — tego już za wiele.

— Z własnej ręki, jeśli już musisz wiedzieć — odparł. — Zażył truciznę.

— Obejrzę ciało — rzekł pułkownik baszar.

Baron wzniósł oczy do sufitu z udaną irytacją; miał gonitwę myśli. Przekleństwo!

Ten sokolooki sardaukar zobaczy pomieszczenie, zanim cokolwiek zmienimy!

— Teraz — warknął sardaukar. — Muszę to wszystko zobaczyć na własne oczy.
Nie da się temu zapobiec — zdał sobie sprawę baron. Sardaukar zobaczy wszystko. Będzie wiedział, że książę zabił Harkonneriowi ludzi...że sam baron najprawdopodobniej o włos uniknął śmierci. Świadczyły o tym resztki obiadu na stole i trup księcia naprzeciwko, wśród otaczających go śladów zniszczenia. To nieuniknione, nie da się temu zapobiec.

— Nie dam się zbyć — burknął pułkownik baszar.

— Nikt cię nie próbuje zbyć — powiedział baron i spojrzał w obsydianowe oczy sardaukara. — Nie mam nic do ukrycia przed swym Imperatorem. — Skinął głową Nefudowi.

— Proszę natychmiast pokazać wszystko pułkownikowi baszarowi. Wprowadź go przez drzwi, za którymi stałeś, Nefud.

— Proszę tędy, sir — powiedział Nefud.

Niespiesznie, wyniośle, sardaukar obszedł barona, przepchnął się przez straże.
To jest nie do zniesienia — pomyślał baron. — Teraz Imperator dowie się, jaką strzeliłem gafę. Poczyta to za oznakę słabości. Dręcząca była świadomość, że Imperator i jego sardaukar mają podobną pogardę dla słabości. Baron zagryzał dolną wargę pocieszając się, że Imperator nie dowiedział się przynajmniej o atrydzkim rajdzie na Giedi Prime i zniszczeniu harkonneńskich zasobów przyprawy. Do cholery z tym szczwanym księciem! Baron śledził oddalające się plecy aroganckiego sardaukara i krępego, kompetentnego Nefuda. — Musimy dokonać poprawek — myślał. Trzeba raz jeszcze ustanowić Rabbana nad tą przeklętą planetą. Bez żadnych hamulców.

Muszę przelać swoją własną hurkonncńską krew. by przygotować Arrakis nu odpowiednie przyjęcie Feyda-Rauthy. Pr/cklęty Pitcr! Zachciała mu się ginąć, zanim z nim skończyłem — baron westchnął. — I muszę zaraz posłać na T]eielcx po nowego mentata. Niewątpliwie mają już dl;i mnie gotowego.

Jakiś gwardzista zakasłał w pobliżu. Baron zwrócił się do tego człowieka.

— Jestem głodny.

— Tak jest. mój panie.

— I pragnę się ro/erwać, zanim posprzątacie ten pokój i przygotujecie dla mnie wyjaśnienie jego sekretów — zagrzmiał.
Gwardzista spuścił oczy.

— Jakiej rozrywki mój pan sobie życzy?

— Będę w swoich sypialniach — powiedział baron. — Przyprowadźcie mi owego młodzieńca, kupionego na Gamont. tego z. pięknymi oczami. Nie żałujcie mu narkotyku. Nie mam ochoty się z nim szarpać.

— Tak jest, mój panie.

Baron odszedł do swoich komnat tanecznym krokiem niesiony dryfami. Tak — pomyślał. — Tego z pięknymi oczami, tego. który tak bardzo przypomina młodego Paula Atrydę.

O mor/;i K;ilii<.l;inii.
O lud/ic księciu Lcto —

Wie/a I.cto upildhi.
Leglu n;i wieki...

/ ..Pieśni o Mii;iil'l>ihiL'" /chr;invi:li pr/c/ ksil./nic/ki; Imlim

Pani miał wrażenie, że cała jego przeszłość, każde przeżycie sprzed tej nocy jest osypującym się w klepsydrze piaskiem. Objąwszy kolana siedział przy matce w małej budce z tkaniny i plastiku — filtrnamiocie, pochodzącym, podobnie jak i ubiory. które mieli na sobie, 7 pozostawionej w ornitopterze sakwy.

Pani nie miał wątpliwości, kto ją lam podłożył, kto wyznaczy) kurs ornitoptera wiozącego ich w charakterze jeńców: Yueh. Zdrajca doktor wysłał ich prosto w ramiona Duncana Idaho. Pani wyglądał przez przezroczystą część 1'iltrnamiotu na księżycowe zjawy skał urozmaicające miejsce, w którym ukrył ich Idaho. Żeby chować się jak dziecko teraz, kiedy jestem księciem — pomyślał. Odczuwał gorycz tej myśli, lecz nie mógł odmówić słuszności temu. co zrobili.

Tej nocy coś się stało z jego świadomością — wszelkie wydarzenia i zjawiska wokół siebie widział ze szczególną ostrością. Czuł. że nie jest w stanie powstrzymać napływu danych ani chłodnej precyzji, z jaką każda nowa pozycja wzbogacała jego wiedzę. podczas gdy świadomość stawała się ośrodkiem kalkulacji. Do możliwości mentata doszło coś jeszcze.

Pauł cofnął się myślą do momentu bezsilnej wściekłości, gdy z. głębi nocy spadł na nich obcy ornitopter pikując nad pustynią wśród wycia wiatru w skrzydłach jak gigantyczny jastrząb. Wtedy to w świadomości Paula zaszło owo coś. Ślizgając się po

piaskowej redlinie ornitopter kierował się na uciekające postacie — matki i jego. Pamiętał woń spalonej siarki od tarcia płóz. ornitoptera o piasek. Matka odwróciła się w oczekiwaniu na — wiedział to dobrze — wymierzoną w nich lufę rusznicy laserowej w rękach harkonncńskich żołdaków i rozpoznała Duncana Idaho wychylonego z otwartych drzwi ornitoptera.

— Szybko! Znak czerwia z południa! — wołał.

Ale Pauł odwróciwszy się wied/iał od razu, kto pilotuje ornitopter. Nagromadzenie drobnych szczegółów w sposobie pilotażu i zetknięcia z ziemią — poszlak tak drobnych, że nawet jego matka ich nie wykryła — powiedziało Paulowi dokładnie,

kto siedzi za sterami.

W drugim kącie liltt-namiotu poruszyła się Jessika.

— Może być tylko jedno wytłumaczenie — powiedziała, — Harkonnenowic więzili żonę Yuego. On nienawidził Harkonnenów! Co do tego nie mogę się mylić. Czytałeś jego list. Ale dlaczego ocalił nas z pogromu?

Dopiero teraz widzi te rzeczy, i to kiepsko — pomyślał Pauł. Wstrząsnęło nim to odkrycie. Sam przyjął ten fakt mimochodem, kiedy czytał list dołączony do książęcego sygnetu w sakwie.

„Nic próbujcie mi wybaczać" — pisał Yueh. — „Nie chce waszego przebaczenia. Moje brzemię jest już dostatecznie ciężkie. To, co uczyniłem, uczyniłem hę: złej woli ani nadziei na zrozumienie u innych. To jest mój własny lahuddi al-huhran, moja ostateczna próba. Daje wam książęcy sygnet Atryilów na znak. ze piszę prawcie. Kiedy będziecie to czytali, książę Lelo już nie będzie żyt. Znajdźcie pociechę w mym zapewnieniu, że ten. którego nienawidzimy nade wszystko, umarł wraz z nim".

Brakowało adresu i podpisu, ale nie można się było pomylić co do tego, czyje są

te znajome gryzmoły. Przypominając sobie list. Pauł przeżył raz jeszcze rozpacz tamtej chwili — uczucie ostre i bolesne, którego doznawał jak gdyby poza swoją nową wyostrzoną świadomością. Przeczytał, że jego ojciec nie żyje, wiedział, że te słowa mó-
' wią prawdę, lecz odczuwał je jedynie jako kolejną informację, którą należało wprowadzić do swej pamięci i w odpowiednim momencie wykorzystać.

Kochałem ojca — myślał Pauł i wiedział, że tak było naprawdę. — Powinienem go opłakiwać. Powinienem coś czuć. — Ale czuł tylko jedno: oto ważny fakt. Podobny do wszystkich innych faktów. Przez cały czas jego umysł gromadził wrażenia zmysłowe. ekstrapolując. kalkulując. Wróciły do Paula słowa Hallecka: „Nastrój to coś potrzebnego do przejażdżki na koniu'albo do amorów. Walczysz, kiedy zachodzi konieczność. bez względu na nastrój".

Może o to chodzi — pomyślał. — Opłaczę ojca później...kiedy przyjdzie pora. Jednak chłodna precyzja go nie opuszczała. Domyślał się. że ta nowa świadomość to dopiero początek, że ona wzrasta. Wypełniło go przeczucie strasznego przeznaczenia. którego doznał po raz pierwszy podczas próby z Matką Wielebną Gaius Helen Mohiam. Jego prawa dłoń — dłoń. zapamiętanego bólu —'mrowiła i pulsowała. Czy n.i tym właśnie polega bycie Kwisatz Haderach? — zachodził w głowę Pauł.

165

— Przez chwilę myślałam, że Hawat znowu nas zawiódł — powiedziała Jessika. — Myślałam, że może Yueh nie był doktorem Suk.

— Był wszystkim, czym myśleliśmy, że jest... i czymś więcej — rzekł Paul. I pomyślał: Dlaczego tak opornie docierają do niej te sprawy. — Jeśli Idaho nie dotrze do Kynesa, będziemy...

— On nie jest naszą ostatnią nadzieją — powiedziała.

— Nic takiego nie sugerowałem — odparł.

Usłyszała twardość stali w jego głosie, władczy ton i spojrzała nań przez szarą ciemność filtrnamiotu. Sylwetka Paula rysowała się na tle posrebrzonych księżycem skał widocznych za przezroczystą ścianą filtrnamiotu.

— Inni ludzie twego ojca już pouciekali — powiedziała. — Musimy ich pozbierać, odszukać...

— Będziemy polegać na sobie — rzekł. — Najpilniejszą dla nas sprawą jest broń jądrowa naszego rodu. Musimy ją zabrać, nim zostanie znaleziona przez Harkonnenów.

— Nie wydaje mi się, by ją odnaleźli w takim ukryciu.

— Nie wolno tego zdać na przypadek.

Szantaż za pomocą broni jądrowej rodu, zagrożenie planecie i jej przyprawie, oto co mu chodzi po głowie — pomyślała. — Ale jedyne, na co może potem liczyć, to ucieczka w anonimowość banicji.

Słowa matki wywołały u Paula drugi ciąg myśli — troskę księcia o tych wszystkich ludzi, których utracili tej nocy. Ludzie to faktyczna siła wielkiego rodu — pomyślał Paul. I wspomniał słowa Hawata: „Smutne jest rozstanie z'ludźmi; miejsce to tylko miejsce".

— Używają sardaukarów — powiedziała Jessika. — Musimy zaczekać, aż sardaukarzy zostaną wycofani.

— Chcą nas uwięzić między pustynią a sardaukarami — powiedział Paul. —

Zamierzają nie pozostawić żadnych atrydzkich niedobitków: totalna eksterminacja. Nie licz na to, że ktokolwiek z naszych ludzi zdoła uciec.

— Nie mogą ciągnąć tego bez końca ryzykując wyjście na jaw udziału Imperatora.

— Nie mogą?

— Jacyś nasi ludzie muszą uciec.

— Muszą?

Jessika odwróciła głowę, przerażona siłą zawziętości w głosie swego syna, kiedy mówił precyzyjnie ważąc szansę. Wyczuwała, że Paul umysłowo wysforował się przed nią, że widzi teraz więcej pod niektórymi względami od niej. Sama pomogła szkolić inteligencję, która tego dokonała, a teraz poczuła strach przed nią. Podążyła myślą ^ku utraconemu azylowi u boku księcia i łzy zapiekły ją w oczach. Tak to już musi być, Leto — pomyślała. — Czas miłości,i czas łez. — Wsparła dłoń na brzuchu skupiając całą świadomość na płodzie, który nosiła. — Mam atrydzką córkę, którą przykazano mi zrodzić, ale Matka Wielebna nie miała racji: córka nie ocaliłaby mojego Leto. To dziecko to jedynie pomost życia przerzucony ze środka śmierci w przyszłość. Poczęłam z instynktu, a nie z posłuszeństwa.

— Spróbuj jeszcze raz nastawić odbiornik ogólnej emisji — powiedział Paul.

Umysł pracuje dalej nie zważając na to, że próbujemy go powstrzymać — pomyślała Jessika. Znalazła maleńki odbiornik zostawiony im przez Idaho, pstryknęła wyłącznikiem. Na skali aparatu rozjarzyło się zielone światełko. Z głośnika dobiegało blaszane skrzeczenie. Ściszyła, przeleciała przez pasma. Do namiotu wdarł się głos mówiący w języku bojowym Atrydów:

— ...do tyłu i przegrupować się na grani. Fedor melduje, że w Karthago nikt nie ocalał, a Bank Gildii złupiono. '

Karthago — pomyślała Jessika. — To było gniazdo Harkonnenów.

— To są sardaukarzy — powiedział głos. — Uwaga na sardaukarów w mundurach Atrydów. Oni są...

Głośnik wypełniły wrzaski, po nich zaległa cisza.

— Spróbuj innego pasma — powiedział Paul.

— Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? — spytała Jessika.

— Spodziewałem się tego. Chcą, by Gildia winiła nas za zniszczenie jej banku. Mając Gildię przeciwko sobie jesteśmy na Arrakis w potrzasku. Daj inne pasmo.

Zważyła jego słowa: „Spodziewałem się tego". Co się z nim stało? Jessika z wolna wróciła do aparatu. W miarę jak przesuwała selektor pasm, łapali odgłosy walki, które rozpoznawała w zawołaniach w bojowym języku Atrydów: „...wycofać się... spróbujcie się przegrupować w...odcięci w grocie przy..." Nie można się byłp pomylić co do zwycięskiego upojenia pobrzmiewającego w harkonneńskim szwargocie wylewającym się z pozostałych pasm. Ostre komendy, meldunki z walk. Za mało było tego Jessice, by mogła zarejestrować i zrozumieć ten język, ale ton był oczywisty. Zwycięstwo Harkonnenów.

Paul potrząsnął sakwą u swego boku; usłyszał bulgot dwóch literjonów wody. Wziął głęboki wdech, podniósł oczy na skalne bastiony zarysowane za przezroczystą ścianą namiotu na tle gwiazd. Lewą dłonią namacał zwieracz plomby wejściowej namiotu.

— Wkrótce będzie świtać — powiedział. — Możemy czekać na Idaho przez cały dzień, ale już nie przez następną noc. W pustyni trzeba podróżować nocą i odpoczywać w cieniu za dnia.

Zapamiętana nauka sama znalazła drogę do świadomości Jessiki: „Człowiek przebywający w cieniu na pustyni bez filtrfraka potrzebuje pięć litrów wody dziennie do zachowania wagi ciała". Odczuwając miękką gładź filtrfraka na ciele myślała, jak dalece od tych ubiorów zależy ich życie.

— Jeżeli stąd odejdziemy, Idaho nas nie znajdzie — powiedziała.

— Są sposoby na zmuszenie każdego człowieka do mówienia — rzekł Paul. — Jeżeli Idaho nie powróci do świtu, musimy liczyć się z tym, że go schwytano. Jak długo, myślisz, mógłby wytrzymać?

Pytanie nie wymagało odpowiedzi, więc siedziała w milczeniu. Paul rozpiął sakwę, wyciągnął filigranowy mikroleksykon z fiszką jarzeniową i szkłem powiększającym. Na stronicach leksykonu rozjarzyły się zielono-pomarańczowe słowa: „literjony, filtrnamiot, kapsułki energetyczne, odłówki, piachochrapy, lorneta, repsak do filtrfraka, barwolwer, nieckograf, filtrwtyki, parakompas, haki stworzyciela, dudniki, fremsak, kolumna ognia..."

167.

Ileż ich trzeba, tych przedmiotów, żeby przeżyć w pustyni. Po chwili odłożył leksykon n;i podłogi;.

— Dokąd tu pójść, u licha? — zapytała Jcssika.

— Ojciec mówił o potędze pustyni — powiedział Puul. — Harkonnenowie nie mogą bez niej władać ta planeta. Ale oni tą planetą nigdy nic władali i władać nie będą. Nawet /. dziesięcioma tysiącami legionów sardaukarów.

— P;iul, chyba nic mas/ na myśli...

— Mamy w ręku ws/ystkic dowody — powiedział. — Właśnie tu w tym namiocie: sam namiot, ta sakwa i jej zawartość, 1'iltrtraki. Wiemy, że Gildia żąda prohibicyjnej ceny za satelity meteorologiczne. Wiemy, że...

— Co mają do tego satelity meteorologiczne? — spytała. — Przecież one nie mogą... — Urwała. .

Pauł wyczuwał nadgorliwość swego umysłu, kiedy rejestrował jej reakcje obserwując najdrobniejsze szczegóły.

— Właśnie to widzisz — powiedział. — Satelity obserwują teren pod sobą. W głębokiej pustyni są rzec/.y. które nie zniosą częstych oględzin.

— Chcesz powiedzieć, że włada tą planetą sama Gildia?
Jakże była mało bystra.

— Nie! — powiedział. — Fremcni! Oni płacą Gildii za ukrycie przed światem.
w walucie dostępnej bez ograniczenia dla każdego, kto włada potęgą pustyni — w przyprawie. To już nawet nie jest kolejne przybliżenie rozwiązania. To zwykła arytmetyka. Możesz mi wierzyć.

— Pani — powiedziała Jessika — jeszcze nic jesteś mentatcm, nie możesz wiedzieć na pewno...

— Nigdy nie będę mentatem — odparł. — Jestem czymś innym... wynaturzeniem.

— Pani! Jak możesz wygadywać takie...

— Daj mi spokój!

Odwrócił się od niej, zatapiając spojrzenie w nocy. Dlaczego nie mogę płakać? — myślał. — Czuł, że każdą cząsteczką swej istoty łaknie tej ulgi, która miała mu być odmówiona na zawsze. Jessika nigdy nie słyszała takiej rozpaczy w głosie syna. Pragnęła wyciągnąć do niego ramiona, objąć go, ukoić, pomóc mu — ale czuła, że nic nie może zrobić. Sam musiał rozwiązać swój problem. Wpadła jej w oko leżąca między nimi na podłodze namiotu liszka jarzeniowa leksykonu z fremsaka. Podniósłszy ją zerknęła na wklejkę i przeczytała: „Przewodnik po przyjaznej pustyni, miejscu życiem kipiącym. Tu-są ajat i burhan życia. Miej wiarę, a al-l.at nigdy cię nic spali".

To brzmi jak Księga Azharu — pomyślała, przypominając sobie swoje studia nad Wielkimi Tajemnicami. — Czyżby na Arrakis bawił Manipulator Religii?

Payl wyjął z sakwy parakompas, po czym odłożył go z powrotem.

— Zastanów się nad tymi wszystkimi Iremeńskimi instrumentami o specjalnym przeznaczeniu — powiedział. — Są niedościgłe w swej mądrości. Przyznaj to. Kultura, która stworzyła te przedmioty, zdradza głębie, jakich nikt nie podejrzewał.

Ociągając się. nadal zaniepokojona szorstkością jego głosu. Jessika powróciła do książki, studiując ilustrację gwiazdozbioru z arrakańskiego nieba: „Muad'Dib:

mysz". I zwróciła uwagę, że ogon tej myszy wskazuje na północ. Pauł wpatrywał się

168

w mrok namiotu na majaczące niewyraźnie poruszenia matki, które zdradzała jarzeniowa liszka leksykonu. Teraz jest pora. by spełnić życzenie ojca — pomyślał. — Muszę przekazać jej tę wiadomość teraz, kiedy ma czas na łzy. Później łzy będą nam przeszkadzać. — Precyzja tej logiki wstrząsnęła nim samym..

— Matko — powiedział.

— Tak?

Usłyszała zmianę w jego głosie, poczuła chłód wewnętrzny od samego tonu. Nigdy nie spotkała się z tak zimnym opanowaniem.

— Mój ojciec nie żyje.

Odszukała w sobie i skojarzyła takt z taktem i z jeszcze jednym taktem — metoda Bene Gesserit szacowania danych — i wtedy do niej dotarło: uczucie potwornej straty. Kiwnęła głową, niezdolna odezwać się.

— Mój ojciec kiedyś mi polecił — powiedział Pauł — przekazać ci wiadomość na wypadek, gdyby mu się coś stało. Obawiał się, że mogłaś uwierzyć, że ci nic ufał. Tamto bezsensowne podejrzenie — pomyślała.

— Chciał, byś wiedziała, że nigdy cię nie podejrzewał — rzekł Pauł i wyjaśnił tamtą grę. dodając: — Chciał, byś wiedziała, że zawsze ufał ci bezgranicznie, że zawsze kochał cię i miłował. Powiedział, że prędzej by zwątpił w siebie samego, i żałował tylko jednej rzeczy — że nigdy nie uczynił cię swoją księżną.

Otarta łzy spływające jej po policzkach i pomyślała: Cóż za idiotyczne marnotrawstwo wody! Ale odgadła, czym jest la myśl: próbą ucieczki od rozpaczy w gniew. — Leto, mój Leto — myślała. — Cóż za straszne krzywdy wyrządzamy tym, których kochamy! Gwałtownym ruchem zgasiła fiszkę jarzeniową maleńkiego leksykonu. Wstrzą-

snął nią szloch.

Pauł wsłuchiwał się w rozpacz matki i czuł w sobie pustkę. Nie ma we mnie róż- „
paczy — pomyślał. — Dlaczego? Dlaczego? Odczuwał niemożność oddania się roz-
paczy jako straszną ułomność.

„Czas brania i czas tracenia" — powtarzała sobie w duchu Jessika cytując za Bib-
lią P. K. „Czas posiadania i czas odrzucania; czas na miłość ,i czas na nienawiść; czas

wojny i czas pokoju".

Myśl Paula poszybowała naprzód ze swą lodowatą precyzją. Pauł dojrzał przed
nimi aleje wiodące przez tę wrogą planetę. Nawet bez zaworu bezpieczeństwa w for-
mie snu zogniskował swoją proroczą świadomość, traktując to jako rachunek naj-
prawdopodobnicjszych wariantów przyszłości, ale z dodatkową otoczką tajemnicy —
jakby zanurzał się myślą w jakąś bezczasową strefę i doświadczał prądów przy-
szłości.

Znienacka, jakby znajdując niezbędny klucz, jego umysł zdobył następną prze-
łęcz w świadomości. Poczuł, jak chwyta się z całych sił tego nowego poziomu, jak cze-
pia się kurczowo ryzykownego oparcia i rozgląda dokoła. Znalazł się jakby we wnę-
trzu kuli. z której środka promieniście rozchodziły się drogi... jednakże ten obraz tyl-
ko w przybliżeniu oddawał owo doznanie. Przypomniał sobie chustę z gazy. którą
porwał kiedyś wiatr, i teraz odczuwał przyszłość jako coś wijącego się po powierzchni
równie falującej i niestałej jak niesiona wiatrem chusta.

Zobaczył ludzi.

Czuł żar i chłód nieprzebranych możliwości. Poznał imiona i miejsca, przeżywał
niezliczone emocje, przepatrywał dna niezliczonych, niezbadanych przepaści. Miał
czas, by sondować i badać, i smakować, "ale nie miał czasu, by kształtować. Całe to
coś było widmem szans od najodleglejszej przeszłości po najodleglejszą przyszłość,
od najmniej prawdopodobnego po najprawdopodobniejsze. Ujrzał swą własną śmierć
w nieprzeliczonych postaciach. Ujrzał nowe planety, nowe cywilizacje.

Ludzi. Ludzi.

Zobaczył ich w takich rojowiskach, że nie mieścili się w żadnym spisie, a jednak
jego umysł ich skatalogował. I nawet Gildian. I pomyślał:'Gildia — tam znalazłoby
się dla nas miejsce, moją odmienność przyjęto by jako rzecz swojską i cenną, zawsze
znalazłaby się dla nas niezbędna już teraz przyprawa. Lecz odrzucała go perspektywa
spędzenia życia na błądzeniu—myślą—po—omacku—wśród—możliwych—przyszło-
ści, w charakterze latarni dla przemierzających kosmos statków. Jednakże była to
jakaś droga. I po spotkaniu Gildian w prawdopodobnej przyszłości rozpoznał swoją
własną odmienność.

Mam inny rodzaj widzenia. Widzę innego rodzaju terytorium: dostępne ścieżki.
Zrozumienie przyniosło spokój, ale i obawę zarazem — tak wiele miejsc w owym inne-
go rodzaju terytorium osuwało się lub wychodziło z jego pola widzenia.

Doznanie to opuściło go równie szybko, jak nadeszło, i Pauł zdał sobie sprawę,
że całe przeżycie zmieściło się w odstępie uderzeń serca. Lecz jego własna świado-
mość została wywrócona do góry nogami, rozjaśniła się w straszliwy sposób.

Rozejrzał się wokoło. Noc nadal okrywała filtrnamiot schowany w skalnej kry-
jówce. Nadal słychać było szloch matki. Nadal odczuwał brak w sobie rozpaczy...to
puste miejsce odgrodzone gdzieś od jego umysłu, który pracował bez przerwy rów-
nym rytmem — przetwarzając dane, licząc, dostarczając odpowiedzi na sposób po-
dobny do działania mentata. Pauł zorientował się, że posiada teraz bogactwo danych,

jakie niewiele podobnych mu umysłów kiedykolwiek ogarnęło.

Jednak nie uczyniło to owego pustego miejsca lżejszym do zniesienia. Czuł, że coś musi się rozpaść. Jakby uruchomiono w jego wnętrzu tykający mechanizm bomby zegarowej. Tykanie nie ustawało podążając ku własnemu przeznaczeniu, niezależnie od jego woli. Odmierzało najmniejsze nawet zmiany wokół niego — ułamkowy spadek temperatury, lekką zmianę wilgotności, drogę owada łażącego po dachu ich filtrnamiotu, uroczyste nadciąganie świtu na rozgwieżdżonym skrawku nieba, widocznym za przezroczystą ścianą namiotu.

Pustka była nie do wytrzymania. To, że wiedział, jak został wprawiony w ruch mechanizm zegarowy, nie miało żadnego znaczenia. Potrafił zajrzeć we własną przeszłość i zobaczyć sam początek: szkolenie, wyostrzenie zdolności, subtelna presja wyrafinowanych dyscyplin, nawet otarcie się o Biblię P. K. w krytycznym momencie... i, na samym końcu, obfity zastrzyk przyprawy. Potrafił też spojrzeć w przód — w najstraszliwszy kierunek — i ujrzeć, dokąd to wszystko wiedzie.

Jestem potworem! — pomyślał. — Wyrodkiem!

— Nie — powiedział. I głośniej: — Nie. Nie! N i e!

Spostrzegł, że wali pięściami w podłogę namiotu. (Obojętna część jaźni Paula

odnotowała to jako interesujący emocjonalny element danych i wprowadziła do obliczeń).

— Paul!

Była przy nim matka, ujmowała go za ręce; szara plama jej twarzy wychylała się

ku niemu. -/

— Paul, co ci jest?

— Ty!

— Jestem przy tobie — powiedziała. — Wszystko będzie dobrze.

— Coś ty mi zrobiła?

Z nagłą jasnością umysłu wyczuła niektóre podteksty jego pytania.

— Wydałam cię na świat — rzekła.

• Tyleż instynktownie, co na podstawie subtelnej wiedzy odpowiedziała dokładnie tak, jak należało, by go uspokoić.

Poczuł objęcia jej ramion, skupił się na mglistym zarysie jej twarzy. (Jego rozpędzony umysł dostrzegł w nowym świetle pewne genetyczne cechy w strukturze tej twarzy — poszlaki zostały dodane do reszty informacji i wyskoczył wynik końcowego

sumowania).

— puść mnie — powiedział.

Słysząc stalowy ton w jego głosie usłuchała.

— Zechcesz powiedzieć mi, co ci jest, Paul?

— Czy wiedziałaś, co robisz, kiedy mnie szkoliłaś? — zapytał.
Nie ma już śladu po dzieciństwie w tym głosie — pomyślała.

— Przyświecała mi nadzieja wszystkich rodziców: że będziesz...lepszy, inny.

— Inny?

Uderzyła ją gorycz, z jaką to powiedział.

— Pauł, ja... — zaczęła. •

— Ty nie chciałaś syna! — powiedział. — Ty chciałaś Kwisatz Haderach! Chciałaś męskiej Bene Gesserit!

Wzdrygnęła się od nagromadzonej w nim. żółci.

— Ależ, Pauł...

— Czy kiedykolwiek Uzgadniałaś to z moim ojcem?
Mówiła łagodnie pod wpływem nie wygasłej rozpaczy:

— Czymkolwiek jesteś, Pauł, to jest to tak samo dziedzictwo twego ojca, jak

i moje. ^

— Ale nie szkolenie — powiedział. — Nie rzeczy, które...rozbudziły...licho.

— Licho?

— Jest tutaj..— Położył dłoń na głowie, a następnie na piersi. — We mnie. Gna

coraz dalej i dalej, i dalej, i...

— Pauł!

Słyszała wzbierającą w jego głosie histerię.

— Wysłuchaj mnie — powiedział. — Chciałaś, by Matka Wielebna dowiedziała się o moich snach? Posłuchaj teraz zamiast niej. Śniłem właśnie na jawie. Wiesz dlaczego?

— Musisz się uspokoić — powiedziała. — Jeśli coś...

— Przyprawa — rzekł. — Jest tutaj we wszystkim, w powietrzu, w glebie, w pożywieniu. Przyprawa geniatryczna. Jest to narkotyk prawdomówczyni. To trucizna!

Zesztywniała. Głos jego przycichł i Pauł powtórzył:

— Trucizna...jakże subtelna...Jakże zdradliwa...jakże nieodwracalna. Ona cię nawet nie zabi|e, chyba że przestaniesz ją zażywać. Nie możemy opuścić Arrakis, chyba że zabierzemy część Arrakis ze sobą.

Potworny despotyzm |ego głosu wykluczał wszelki) dyskusję. l

— Ty i przyprawa — mówił Paul. — Przypływa zmienia każdego, kto zażywa ja w takich ilościach, ale to dzięki tobie mogłem dopuścić tę zmianę do świadomości. Nie mogę zostawić JCJ w podświadomości, gdzie taki niepokoi da|c się wygłuszyć. Ja ją widzę.

— Paul. ty...

— Ja ią widzę! — powtórzył.

Słyszała szaleństwo w]ego głosie, nie wiedziała, co robić. Ale kiedy odezwał .się znowu, spostrzegła, ze wraca mu zimne opanowanie.

— Jesteśmy w potrzasku.

Jesteśmy w potrzasku — przyznała w myśli. I przyjęła zawartą w jego słowach prawdę. Żaden nacisk Bcnc Gessent. żaden wybieg ani podstęp nic mogły ich oderwać i uwolnić całkowicie od Anakłs — przyprawa wywoływała uzależnienie. Je| ciało po]ęlo ten takt na długo przed obudzeniem się umysłu. A więc tuta) spędzimy życie — pomyślała. — W tym piekle, "l o miejsce)est gotowe na nasze przylęcie. |esli tylko zdołamy się ustrzec Hurkonnenów I moja rola nie podlega żadne) wątpliwości — jestem klaczą zaiodowq. która ma zachować linię tak ważną dla planu Bene Gessent.

— Muszę ci opowiedzieć o moim śnie na jawie — powiedział Paul (teraz w |ego głosie była wściekłość). — Dla pewności, że przyjmiesz mo]a słowa, powiem ci na|-pierw. że wiem, iż urodzisz tuta| na Arrakłs córkę, moją siostrę.

Jessika odepchnęła się dłońmi od podłogi namiotu, w|eżdzaiąc plecami w półkolistą ścianę namiotu, aby opanować nagły skurcz strachu. Wiedziała, że |C) brzemienności leszcze nie widać. Jedynie trening Bene Gessent pozwalał |C| odbierać pierwsze nikłe sygnały ciała, odkryć istnienie parotygodniowego zaledwie embriona.

— Tylko, by służyć — wyszeptała czepiając się dewizy Bene Ge.s.serit. — Istniejemy t\lko. by służyć.

— Znajdziemy dom u Frcmenów — powiedział Paul — wśród których wasza Missionan;) Protectiva przygotowała nam schronienie.

Przygotowali nam drogę w pustynię — powiedziała sobie Jessika. — Ale skąd on może wiedzieć o Missionana Piotectiva? Coiaz trudniej przychodziło jej zapanować nad stłachem pized przemożną dziwnością Paula.

Przyglądał się]e| mi oczne) sylwetce, dzięki swej nowej świadomości widząc jej każdą reakcię, również ten strach, |akby jej postać naszkicowano liniami oślepiającego światła Złobiło mu się JC| żal.

— Trudno mi opowiedzieć ci o rzeczach, które mogą się tutaj wydarzyć — powiedział. — Trudno mi opowiedzieć o nich nawet sobie, chociaż je widziałem. Ten

zmysł przyszłość i... wydaje się, że ja nad nim nic panuję. To coś się po prostu dziele. Najbliższą przyszłość...rok powiedzmy...mogę coś z tego dojrzeć: droga tak szeroka Jak Aleja Centralna na naszym Kaladame. Niektórych miejsc nie widzę... mieisc zacienionych...|akby droga biegła z drugiej Strony pagórka...(i znowu pomyślał o chuście na wietrze)... ma też odnogi... Zamilkł na wspomnienie tego widzenia. Żaden proroczy sen, żadne doświadczenie jego życia nic przygotowało go na ten zmysł świadomości rozchodzącej się na zewnątrz jak pęczniejąca bańka... przed którą ustępuje czas...

Jessika odnalazła wyłącznik liszki Jarzeniowe) namiotu, włączyła ją. Nikłe zielone światło oddaliło cienie, kojąc Jej strach. Utkwiła wzrok w twalzy Paula. w [ego oczach. . zapatrzonych do wewnątrz, l po|ęta, gdzie uprzednio spotkała .się z takim wyrazem twarzy: w lilmach o klęskach żywiołowych — na twarzach dzieci, które zaznały głodu albo strasznej krzywdy. Oczy miał |ak studnie, usta i.ik piosta kreska, policzki zapadnięte. To |est wyraz straszliwe) świadomości — myślała — u kogoś, kto

musiał zrozumieć własną śmiertelność. Tak, dzieciństwo ma)uz za sobą.

Podstawowe znaczenie słów Paula zaczęło dominować w)e| myślach. spycha|ąc na bok wszystko inne. On potrali patrzeć naprzód, w ten sposób mogą się uratować.

— Istnieje sposób uniknięcia Harkonnenów — powiedziała.

— Harkonnenów' — powtórzył z szyderstwem w głosie. — Wyrzuć te zwyrodniałe istoty ludzkie z myśli.

Wpatrzył się w matkę, studiując rysy jej twarzy w świetle liszki jarzeniowej. Te rysy ją zdradzały.

Powiedziała:

— Nic powinieneś wyrażać się o ludziach jako o istotach ludzkich bez...

— Nie bądź taka pewna, że wiesz, gdzie przebiega granica — przerwał. — Nosimy w sobie naszą przeszłość. I, matko moja, jest coś. o czym nic wiesz, a powinnaś — my icsleśmy Harkonnenami.

Z ICJ umysłem stało się coś strasznego: zgasł, jakby się zamknął przed wszelkimi doznaniami. Lecz glos Paula biegł dalej w tym nieubłaganym rytmie, wlokąc go za ' sobą.

— Kiedy przy najbliższej okazji znajdziesz lustro, przyjrzyj się swojej twarzy, przyjrzy) się ITIOJCJ teraz. Znaidzicsz w niej ślady, jeżeli nic zamkniesz na nic oczu. Spójrz na moje dłonie, układ kości. A jeżeli nic z tego cię nie przekona, to uwierz mi na słowo. Schodziłem przyszłość, widziałem świadectwa, patrzyłem na miejsce, mam wszystkie dane. Jesteśmy Harkonnenami

— Jakąś...zaprzańczą gałęzią rodu — powiedziała. — O to chodzi, nieprawdaż? Jakiś kuzyn Harkonncn. który...

— Jesteś rodzoną córką barona — rzekł i obserwował, jak przyciska dłonie do ust. — Baron zakosztował wiele uciech w młodości i kiedyś pozwolił się uwieść. Ale został uwiedziony dla genetycznych celów Bene Gesserit. przez |cdną z was.

Sposób, w |aki wymówił „was", odczula |ak policzek. Lecz ożywiło to jej umysł i nie mogła zaprzeczyć)ego słowom Tak wiele ślepych zaułków w labiryncie jej przeszłości otworzyło się tciaz i powiązało w całość. Żądana pizez Bene Gesserit córka — nie po to. by położyć kres starej waśni Atrydów z Haikonnenami. lecz dla umocnie-

nią jakiegoś genetycznego czynnika w ich rodach. Jakiego? Po omacku szukała odpowiedzi.

Jakby zaglądając do wnętrza jej umysłu Pauł powiedział:

— One myślały, że sięgają po mnie. Jednak ja nie jestem tym, czego oczekiwały, w dodatku zjawiłem się przed swoim czasem. I o n e o tym nie wiedzą.

Jessika zatkała dłońmi usta. Wielka Macierzy! On jest Kwisatz Haderach! Poczuła się przed nim obnażona, uświadamiając sobie w tym momencie, że spoglądają na nią oczy, przed którymi niewiele mogło się ukryć. I wiedziała, że to jest właśnie przyczyna jej lęku.

— Ty myślisz, że jestem Kwisatz Haderach — powiedział. — Wybij to sobie z głowy. Jestem czymś nieoczekiwanym.

Muszę dać znać którejś ze szkół — pomyślała. — Ceduła doboru może wykazać, co się stało.

— Dowiedzą się o mnie, jak już będzie za późno — powiedział.
Próbowała odwrócić jego uwagę, opuściła ręce i zapytała:

— Czy znajdzie się dla nas miejsce wśród Fremenów?

— Fremeni mają powiedzenie pochodzące od shai-huluda. Praojca Wieczności — "rzekł. — Mówią: „Bądź gotów cieszyć się tym, co napotkasz". I pomyślał: Owszem, matko moja, wśród Fremenów. Nabawisz się błękitnych oczu i odcisków pod swym ślicznym noskiem od rurki filtrfraka...i zrodzisz moją siostrę Św. Alię od Noża.

— Jeżeli nie jesteś Kwisatz Haderach — powiedziała Jessika — to co...

— W żaden sposób nie mogłaś wiedzieć — rzekł. — Nie uwierzysz w to, dopóki nie zobaczysz.

I pomyślał: Jestem nasieniem. Nagle pojął, jak żyzny jest grunt, na który go rzucono, i wraz z tą świadomością ogarnęło go straszliwe przeznaczenie, wpełzając przez puste miejsce w jego jestestwie, grożąc mu zadławieniem z rozpaczy. Na drodze przed sobą widział dwie główne odnogi — na jednej stawał przed nikczemnym starym baronem i mówił: „Cześć, dziadku". Myśl o tej ścieżce i o tym, co go na niej czeka, zemdliła go.

Druga ścieżka składała się-z długich odcinków szarej ciemności, z wyjątkiem wybuchów przemocy. Widział tam religię wojowników, płomień ogarniający wszechświat, i zielono-czarną flagę Atrydów powiewającą na czele fanatycznych legionów, upojonych przyprawowym trunkiem. Był tam Gurney Halleck i garstka innych ludzi ojca — żałosna garstka — wszyscy naznaczeni symbolem jastrzębia ze świątyni czaszki jego ojca.

— Nie mogę iść tą drogą — wyszeptał Paul. — Tego w gruncie rzeczy chcą właśnie stare wiedźmy z waszych szkół.

— Nie rozumiem cię, Paul — powiedziała matka.

Nie odzywał się — myślał jako nasienie, którym był, myślał ze świadomością gatunku, której po raz pierwszy doświadczył jako straszliwego przeznaczenia. Odkrył, że dłużej nie potrafi nienawidzić Bene Gesserit czy Imperatora, ani nawet Harkonnenów. Porwało ich wszystkich dążenie gatunku do odnowy rozproszonego dziedzictwa, do krzyżowania, mieszania i łączenia linii genetycznych w nowe wielkie zlewisko

genów. Zaś gatunek znał na to tylko jeden skuteczny sposób — odwieczny, wypróbowany i niezawodny sposób, który obalał wszystko na swej drodze: dżihad.

Z całą pewnością nie mogę wybrać tej drogi — myślał. Lecz znów widział oczami duszy świątynię czaszki ojca i przemoc, z zielono-czarną flagą -powiewającą nad tym wszystkim.

Jessika odchrząknęła, zaniepokojona jego milczeniem.

— Więc Fremeni zapewniają nam azyl?

Podniósł oczy, poprzez zielono oświetlony namiot wpatrując się w dziedziczne patrycjuszowskie rysy jej twarzy.

— Tak — powiedział. — To jedna z dróg. — Kiwnął głową. — Tak. Oni nazwą mnie...Muad'Dib, Ten Kto Wskazuje Drogę. Tak... tak właśnie będą mnie nazywać.

Zamknął oczy i pomyślał: Teraz, mój ojcze, mogę cię opłakiwać.
I poczuł spływające mu po policzkach łzy.

KONIEC TOMU I